ŁUKASZ GIBAŁA KANDYDAT NA PREZYDENTA KRAKOWA:

JESTEM PRAWDZIWĄ ZMIANĄ, MAM SZACUNEK DLA WSZYSTKICH

JANECKI PO WYBORACH SAMORZĄDOWYCH: PIS MOCNO STOI NA NOGACH

ZNAK CZASÓW: MEDIALNI PROMOTORZY JUDASZA

CZY BIAŁORUŚ PRZYGOTOWUJE SIĘ DO WOJNY?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

16 (594) 2024
15–21 kwietnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

POLACY, IDŹMY Z TRUMPEM!

RYSZARD CZARNECKI W ZASKAKUJĄCYM WYWIADZIE:

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

zprasa.pl 7734906608

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

Książka o wrogach Chrystusa i życiu w czasach pierwszych chrześcijan:

- Kto odpowiadał za oskarżenie i śmierć Jezusa?
- Jaka była prawdziwa historia Judasza?
- Co o Piłacie mówią historyczne źródła?
- Dlaczego Neron mordował chrześcijan?

WAŻNA LEKTURA DLA KATOLIKÓW
| 300 LAT HISTORII | 296 STR.

100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Znak, któremu sprzeciwiać się będą”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **349 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 77349d6db8

PiS trzyma się mocno

Oficjalne wyniki wyborów do sejmików wojewódzkich prezentują się następująco: PiS – 34,27 proc., KO – 30,59 proc., Trzecia Droga – 14,25 proc., Konfederacja – 7,23 proc., Lewica – 6,32 proc. Co wynika z tych liczb? Co przyniosło głosowanie 7 kwietnia?

Po pierwsze, obóz Jarosława Kaczyńskiego może mówić o dużym, a nawet – biorąc pod uwagę kontekst – o wielkim sukcesie. Dziewiąte z rzędu zwycięstwo na poziomie ogólnopolskim – bez względu na to, jak ostatecznie przełoży się to na władzę w regionach – ma swoją moc. Koncepcja, że PiS wystarczy zabrać posady w spółkach z udziałem Skarbu Państwa i pozbawić wszelkich wpływów w mediach, a formacja zawali się jak spróchniała buda, była wielkim złudzeniem opozycji. Plan, że pałą i uchwałą, czasami zwykłym terrorem, wsadzaniem porządnych ludzi do więzienia, gazowaniem protestujących rolników anihiluje się opozycję, nie udał się. Po 7 kwietnia 2024 r. opozycji będzie nieco łatwiej, rządzącym trochę trudniej. Tym bardziej że wewnętrzne spory w ramach czwórkoalicji to już coś więcej niż drobne utarczki w dobrej atmosferze. To realne napięcia.

Po drugie, przy całkowitej niezdolności realizacji własnych obietnic przez obecny reżim, nawet braku chęci pójścia w tym kierunku, a szerzej – jakiegokolwiek pozytywnego programu, można się spodziewać zemsty władzy za wyniki wyborów. Będzie więcej napaści na domy uczciwych ludzi, wyłamywania drzwi, absurdalnych śledztw i komisji śledczych. Potwierdzają to słowa pana Lisa, który wściekły na wyniki wyborów nawołuje do zemsty na PiS i domaga się, by „depisizacja była szybsza, głębsza i bezlitosna". Ale Polacy już dostrzegają okrucieństwo władzy i pustkę zarzutów – to najważniejsze.

Po trzecie, wielkie miasta są i były liberalne lub superprogresywne. To zjawisko ogólnoświatowe, trzeba na nie szukać sposobu, nowych ludzi, pomysłów programowych, ale nie można się nadmiernie frustrować. Prawica wygrywa w nich w momentach zmiany lub gdy pojawi się charyzmatyczny, zaskakujący lider, przegrywa zaś nawet na Węgrzech i w Turcji. Ciekawy eksperyment warszawski potwierdził, że PiS ma na zapleczu dobre kadry – Tobiasz Bocheński pokazał się jako inteligentny i pracowity polityk, z dobrymi umiejętnościami komunikacyjnymi. Powinien mieć ważną rolę w PiS.

Ale potwierdziło się też, że wyborów nie wygrywa się bez wydania walki, twardego boju, ostrego sporu. A w PiS były takie złudzenia – mówiono, że w 2023 r. wystarczyło być miłym i byłaby władza. Otóż nie – byłby jeszcze większy łomot. Także i w tej kampanii za najważniejsze wydarzenie na poziomie ogólnopolskim z punktu widzenia PiS uważam kampanię „100 konkretów to 100 kłamstw" (a więc klasyczną kampanię opozycji atakującej rządzących) oraz pokazanie, w tym przez wPolsce.pl, brutalności władzy wobec chorego Zbigniewa Ziobro.

Po czwarte, Konfederacja nie zyskuje na odsunięciu PiS od władzy. Sądzono tam, że wystarczy, by obóz Zjednoczonej Prawicy stracił narzędzia rządzenia, a ludzie Bosaka przejmą jego wyborców. Dziś coraz wyraźniej widać, że wzrost Konfederacji powyżej 10 proc. był wynikiem frustracji części wyborców, a nie świadomym, trwałym wyborem. Politycy tej formacji powinni wyciągnąć z tego wnioski i szukać dla siebie miejsca przy PiS, porzucając szaleńczą koncepcję widzenia w obozie Kaczyńskiego głównego wroga.

Po piąte, znacząco niższa frekwencja niż w ub.r., a nawet niższa niż w 2018 r., oznacza utratę przez potężny obóz lewicowo-liberalny zdolności do mobilizacji ludzi na co dzień niepolitycznych. Czy to trwałe zjawisko? To pytanie najważniejsze, kluczowe w ocenie dalszych wydarzeń. Czy w 2023 r. mieliśmy do czynienia z kumulacją wielu lat kampanii nienawiści, potężnych strumieni finansowych, także z zagranicy, i szantaży zewnętrznych, zmęczenia ludzi putinflacją i pandemią, które nigdy już razem w tej skali się nie powtórzą? Czy wtedy zaczadzili Polaków, także z mniejszych ośrodków, profitentów okresu pisowskiego, by ci zagłosowali wbrew własnym interesom? Czy też odwrotnie – to teraz coś im nie wyszło i za chwilę znowu to zrobią?

Intuicja podpowiada mi to pierwsze, ale pewności nie mam. A od odpowiedzi zależy bardzo, bardzo wiele.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 77349d6db8

SIECI

spis treści

32 Wybór Polek
Dorota Łosiewicz

54 Prawnuk wodza apaczów broni podboju białych ludzi
Małgorzata Wołczyk

60 Instrukcja PAP, czyli nowa mowa uśmiechniętego Polaka
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BAŚNIE RUDEGO CYGANA**
Krzysztof Feusette

9 **UCHO MARSZAŁKA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **MOTYW ZEMSTY**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **WSPÓŁCZUCIE DLA ZDRAJCY**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA HENRYKA DĄBROWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MATEJKO PATRZY NA ZACHĘTĘ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **BRONIATOWSKI JAK KOCHANKA PUTINA NA MOSKIEWSKIM ARBACIE**
Samuel Pereira

19 **KONFLIKT POKOLEŃ**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

24 **WYPROSTOWANI I GOTOWI**
Stanisław Janecki

28 **CHORE MIASTA**
Konrad Kołodziejski

32 **WYBÓR POLEK**
Dorota Łosiewicz

34 **Z ŁUKASZEM GIBAŁĄ**
rozmawia Marek Pyza

38 **CZAS JUDASZÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

40 **TO MAŁŻEŃSTWO NIE MIAŁO SZANS**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

43 **KAMIENI MILOWYCH KUPA**
Aleksandra Rybińska

46 **DYLEMATY SPIKERA MICHAELA JOHNSONA**
Jan Rokita

49 **CZY BIAŁORUŚ PRZYGOTOWUJE SIĘ DO WOJNY?**
Marek Budzisz

52 **ZAPAŚĆ GRUPY WYSZEHRADZKIEJ**
Grzegorz Górny

54 **PRAWNUK WODZA APACZÓW BRONI PODBOJU BIAŁYCH LUDZI**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

58 **BRONIMY WARTOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKO-EUROPEJSKICH**
Rozmowa Gorana Andrijanicia

60 **INSTRUKCJA PAP, CZYLI NOWA MOWA UŚMIECHNIĘTEGO POLAKA**
Dariusz Matuszak

SIECI KULTURY

63 **POWRÓT AMY**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **DOŚWIADCZYMY NIENAWIŚCI**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

70 **OSTATNI TAKI UŁAN**
Andrzej Rafał Potocki

NATURA DLA LUDZI

72 **NASZ WIELKI GRYZOŃ**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

74 **MOJE SMAKI: KAROL FRANEK NOWIŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 **SPORT, IGRZYSKA, POLITYKA, BOJKOT**
Ryszard Czarnecki

78 **CYFROWE PATELNIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 20/0324/F

eprasa.pl 77349d6db8

NARODOWY BANK POLSKI

Narodowy Bank Polski informuje:

Reakcja NBP na złożenie politycznego wniosku o Trybunał Stanu dla Prezesa NBP

Dziś stoimy wobec próby złamania niezależności polskiego banku centralnego podjętej przez stu kilkudziesięciu posłów, a to przez wniosek o postawienie prezesa NBP Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. To nie jest sprawa personalna jednej osoby, to rozbijanie podstaw państwa polskiego i jego gospodarki.

Podstawowy zarzut to zakup na rynku wtórnym obligacji emitowanych lub gwarantowanych przez Skarb Państwa, co, jak twierdzą oskarżyciele, stanowi złamanie Konstytucji.

NBP, tak jak FED, BoE i ECB, dokonywał skupu obligacji w okresie covidu; w latach 2020-21 skupił ok. 144 mld zł obligacji. Operacje te były przeprowadzane z zachowaniem najwyższych standardów, na otwartych aukcjach ogłaszanych publicznie, dostępnych dla wszystkich banków mających dostęp do systemu transakcyjnego NBP.

W okresie COVID NBP podjął szereg działań nadzwyczajnych: RPP obniżyła podstawową stopę procentową do 0,1%, poziom rezerwy obowiązkowej banków, na wniosek NBP zniesiono bufor ryzyka systemowego. Działania te odniosły skutek: inflacja powróciła do celu, PKB jest większy o 10% wobec 2019 r., mamy historycznie niskie bezrobocie.

Jak wyglądałaby alternatywa wobec tego, co zaszło w latach 2020-21? Wystąpiłby głęboki spadek PKB (mieliśmy tylko 2%, we Francji i Hiszpanii 7-11%), brak warunków dla stabilności cen, kryzys systemu finansowego, upadek tysięcy firm, bezrobocie i ze względu na dużą mobilność Polaków kolejna fala emigracji. Słowem: podmycie fundamentów naszej gospodarki i waluty. Tak osłabiona Polska stanęłaby wobec ataku hybrydowego na granicę z Białorusią, a następnie inwazji Rosji na Ukrainę.

Działania NBP były uzasadnione ekonomicznie i zgodne z prawem. Artykuł 227. Konstytucji stanowi, że NBP przysługuje wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej. To prawo wyłączne, NBP nie ma obowiązku uzgadniania polityki pieniężnej, a inne instytucje nie mogą wkraczać na ten obszar. Ponadto Ustawa o NBP jasno stwierdza, w artykule 48., że NBP może skupować i sprzedawać dłużne papiery wartościowe w ramach operacji otwartego rynku.

Jesteśmy oskarżani za to, co możemy i powinniśmy robić. Wnioskodawcy tworzą stan, w którym w przypadku podobnych zagrożeń w przyszłości, Polska będzie bezbronna, a osoby zajmujące funkcje publiczne będą się bały podejmowania decyzji. Komunikat, który dziś został wysłany brzmi: Jeżeli w chwili zagrożenia, wykażesz spokój, odwagę i wiedzę, podejmiesz konieczne decyzje, odniesiesz sukces, wyciągniesz kraj z opresji, to zwycięzca kolejnych wyborów będzie chciał wsadzić Ciebie do więzienia.

Ten atak się nie powiedzie, niezależności NBP nie da się złamać ani zniszczyć.

eprasa.pl 77349d6db8

Sygnalista nadaje

Jednoznacznego, większego od oczekiwań zwycięstwa PiS w wyborach samorządowych nie sposób przecenić. „Tuż po ogłoszeniu wyników w sztabie było słychać, jak kamienie spadają z serc" – powiedział nam jeden z polityków. Prawo i Sprawiedliwość nie tylko ustało, lecz także zadało czwórkoalicji pierwszy mocny cios. Legitymizacja bezprawia opartego na triadzie „gaz, pała i uchwała" jest znacząco mniejsza niż przed wyborami. Nowa władza zużywa powyborczy kapitał szybciej, niż się spodziewali najwięksi optymiści. Tusk też to wie, a jego mina w czasie wieczoru wyborczego mówiła wszystko.

„Szanowna Platformo! Nie ma żadnego »pokolenia 15 października«" – podsumował wyniki wyborów redaktor Grzegorz Sroczyński. I ostrzegł rządzących: „Politycy koalicji powinni wreszcie odczepić się od myśli, że Glapiński przed trybunałem ostatecznie skompromituje PiS, a wtedy cały naród wszystko zrozumie i rzuci się im w ramiona. Nic takiego nie nastąpi. I to właśnie pokazały niedzielne wybory, kiedy elektorat PiS – ponownie zaproszony do tanga polaryzacji – potrafił się bardziej zmobilizować niż przygodni wyborcy z 15 października". 15 października miała miejsce kumulacja wielu lat hejtu i nienawiści. Ale co rzeczywiście zaskakujące, nagle skumulowała się i rozpłynęła. Gra o Polskę trwa.

Jak zareaguje PO na porażkę 7 kwietnia? Redaktor ***Tomasz Lis*** ma prostą receptę: „PiS jest wciąż potężny. Depisizacja musi być szybsza, głębsza i bezlitosna". Cóż, niech próbują. Będą ofiary, może kolejni ludzie trafią do więzień, ale im mocniej ekipa Tuska uderzy, tym szybciej upadnie. Już dziś w narodzie narasta przekonanie, że PiS mimo swoich wad dbał o zwykłych Polaków, zasuwał, starał się, biegał za każdą bolączką, a PO zajmuje się własnymi obsesjami i urojeniami, nie hańbiąc się realną, ciężką pracą nad poprawą losu przeciętnego obywatela. To będzie ta płaszczyzna, która przyniesie Polsce zmianę. Potrzebną, a wręcz niezbędną, jeśli mamy przetrwać jako niepodległe państwo.

Jarosław Makowski, były dyrektor Instytutu Obywatelskiego, think tanku PO, obecnie wiceprezydent Katowic, tak skomentował wyborczy werdykt Polaków: „Tak jak po przegranej Trumpa w wyborach prezydenckich nie zniknął w Ameryce trumpizm, tak po odsunięciu przez koalicję 15 października PiS od władzy nie zniknął w Polsce pisizm. Bez dobrej edukacji, bez wysokiej kultury, bez wiarygodnych mediów publicznych, a więc bez pracy nad polską duszą, pisizm wciąż będzie czaił się za każdym rogiem". Brzmi zabawnie, biorąc pod uwagę to, co zrobiono z mediami publicznymi, oddając je klice towarzysko-orientacyjnej, która w dodatku nie ma za grosz talentu.

Na wpis Makowskiego zareagował Dariusz Lipiński, były polityk PO i Porozumienia, dziś w Partii Republikańskiej. „Ci ludzie z wyższościowymi urojeniami niczego się nie nauczyli. Facet (słusznie) zauważa, że »trumpizm nie zniknął«, ale tego, że dzięki wyższościowej głupocie amerykańskich lewolibów Trump za chwilę w cuglach wygra wybory już nie łączy. To przerasta możliwości intelektualne miejscowych lewolibów. Panie Makowski, podpowiem: analogia. Analogia nastąpi w Polsce wcześniej, niż się ktokolwiek spodziewa. Jeszcze bar-

eprasa.pl 77349d6db8

dziej pogardzajcie ludźmi. I piszcie więcej, jeszcze bardziej demonstrujcie wasze wyższościowe urojenia (zapewniam, że absolutnie nieuzasadnione). Upadek będzie bolesny. Jak zawsze w przypadku głupców, którzy nie uczą się na własnych błędach". To prawda. Ale to nie tylko pogarda. To straszna pustka. Ludziom, którzy wyrzekają się świętej polskiej sprawy, pozostają jedynie pozy i miny.

Pismo „Nowy Obywatel" zwróciło uwagę na niepokojący trend w Polsce. Okazuje się, że wiele firm planuje w najbliższym czasie spore zwolnienia pracowników. Oto fragment zestawienia: „Pierwszy kwartał 2024: polski oddział Nokii – 800 osób do zwolnienia; polski oddział Levi-Strauss – likwidacja zakładu, 650 osób do zwolnienia; Eltwin w Stargardzie – 71 osób zwalnianych, większość załogi; Backer OBR w Stargardzie – 90 osób do zwolnienia; Poczta Polska – zapowiedź zmniejszenia zatrudnienia o 6 tys. osób, zdaniem związkowców będzie to 10 tys.; MA Polska S.A. i BCube Poland Logistics w Tychach – 370 osób do zwolnienia; krakowski oddział PepsiCo – ok. 200 osób do zwolnienia". Redakcja komentuje: „W powietrzu znowu czuć Zieloną Wyspę". Rzeczywiście czuć. PiS ostrzegało, że Tusk to bieda i bezrobocie.

Czy po porażce czwórkoalicji w wyborach samorządowych jest szansa na odwrócenie sojuszy w Sejmie? W rozmowie z portalem wPolityce.pl ***prof. Przemysław Czarnek*** ujawnił ciekawe informacje: „Ok. dwa miesiące temu zostałem zaproszony przez jednego z polityków PSL z centrali partii do rozmowy, która trwała dłuższy czas. Spekulowaliśmy na temat tego, co może być po wyborach samorządowych i jak to się może układać. Otwieraliśmy sobie drogę do współpracy i ta droga jest otwarta. Konkluzje były takie, że oczywiście nikt z nas nie wie, jak ułożą się głosy w wyborach do sejmików wojewódzkich, ale w żaden sposób nie zamykamy sobie drogi do współpracy bez względu na to, jak ułoży się wynik wyborczy, kto będzie miał większość. Nie wykluczyliśmy możliwości współpracy po wyborach do sejmików, dlatego otwarcie o tym mówię". Dziś to jednak mało realny scenariusz. Ale coś tam zgrzyta ponad poziom rytualnych sporów. Jeśli PiS wywalczy prezydenturę, ten układ padnie.

O relacjach między koalicjantami wiele mówi to, że sejmowa telewizja transmitowała na żywo zamknięte posiedzenie klubu parlamentarnego Lewicy. Można je było obejrzeć np. w hotelu sejmowym. W czasie posiedzenia rozmawiano nie tylko o projektach ustaw, w tym zapalnym dla koalicji temacie aborcji, lecz także o Trzeciej Drodze. „Jakiekolwiek tłumaczenia w sprawie tego skandalu są dla nas trudne do przyjęcia. Nawet jeśli to był przypadek, to przecież nikt w to nie uwierzy. A my nie wierzymy, że to był przypadek" – podkreślił w rozmowie z wp.pl jeden z polityków Lewicy. A szefowa klubu Anna Maria Żukowska komentowała: „Jaką mamy gwarancję, że taka sytuacja się już nie powtórzy?". Gwarancji brak. Tusk i Hołownia mordują Lewicę, ale ona woli udawać, że to przypadki.

Wbrew logice konstytucji i ustaw Daniel Gorgosz został wpisany w KRS jako likwidator TVP. Minister kultury ***ppłk Bartłomiej Sienkiewicz*** tak skomentował ten „sukces": „Koniec sporu o prawomocność likwidacji tej ohydy, którą była telewizja PiS. Dziękuję wszystkim, którzy w tym pomogli, a tym, którzy bronili tej patologii, mam tylko jedno do powiedzenia: walec nie dyskutuje z asfaltem, którędy ma jechać". Pytanie: kto „pomógł" w doprowadzeniu do takiego rozstrzygnięcia? Czyżby służby? I wniosek: pracowicie torujecie drogę do prawdziwej rewolucji, która postawi państwo polskie na nogi w ciągu miesiąca. Wasze zdrowie!

Mateusz Morawiecki został zapytany o obecność Jacka Kurskiego na scenie w czasie wieczoru wyborczego PiS. „Byłem wśród kierownictwa zwycięskiej partii, a kto jeszcze tam na sam koniec podbiegł, to tego nawet nie zauważyłem" – komentował były premier. Na uwagę, że Kurski przygotował analizę po jesiennych wyborach parlamentarnych i jednym ze wskazanych winnych porażki PiS był właśnie Morawiecki, poseł PiS odpowiedział: „Zostawiam to do przemyślenia, ale ten wynik, który osiągnęliśmy bez telewizji publicznej, nie tylko wszystkich nas cieszy, ale również daje do myślenia, jak przyczyniła się tamta agresywna kampania do naszego wyniku wcześniejszego". O wszystkim można dyskutować, ale jedno trzeba uznać: wierność i odporność wyborców PiS to także wynik jasnego przekazu TVP w ciągu owych ośmiu lat. Ta relacja między partią a wyborcami nie wzięła się znikąd.

Donald Tusk wypowiedział się w sprawie aborcji: „Aborcja nie jest niczym dobrym i w mojej ocenie nigdy niczym dobrym nie będzie. Trzeba z tym postępować bardzo ostrożnie. My tu mówimy o prawie kobiety do decydowania o własnym zdrowiu, macierzyństwie, o swoim poczuciu bezpieczeństwa" – ocenił, ale dodał: „Żeby nie polityk albo polityk w sukience decydował o tym. W sukience myślałem o czarnej, o księdzu myślałem, żeby było jasne, bo pani minister też jest politykiem w sukience aktualnie". Jak się ma ołtarzyk z kampanii 2005 r.? Ten człowiek nie istnieje. Widzimy jedynie kolejne kreacje. I nawet emocjonalna relacja z wnukiem, może jedyna prawdziwa, tego nie przesłoni.

Fot. Andrzej Wiktor, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 77349d6db8

Baśnie rudego Cygana

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Znacie to. Cygan zawinił, a kowala powiesili...
Kierwiński: Chyba odwrotnie?
Tusk: Odwrotnie to miały być dwa pierwsze miejsca. Więc dajcie mi kowala.
Kierwiński: Już po niego jadą...
Budka: Jezus Maria, przecież to miał być nasz pełnomocnik w Ukrainie...
Kierwiński: Mówi się „na".
Budka: Pełnonocnik?
Kierwiński: Na Ukrainie.
Tusk: Nie chodzi dosłownie o Kowala, tylko o kozła.
Budka: Tego wójta z „Rancza"? To Kowal nie zawinił?
Kierwiński: Słyszysz, że Cygan.
Budka: Rudy Cygan?
Tusk: A czemu rudy?
Budka: No, nie wiem, tak mi się skojarzyło. Pewnie z lufą do środka. Czterej pancerni i pies. No, wie pan przewodniczący, czterech liderów 13 grudnia, tfu, 15 października!
Tusk: To ty powiedziałeś w mediach, żeśmy przegrali?
Budka: A przegraliśmy? Ja nic nie wiem, ja w tych aktywach państwowych siedzę. To znaczy pasywach. Wiem tylko, że mi małżonka do drugiej tury w Gliwicach weszła...
Tusk: A startowała w ogóle?
Budka: No, tak. Mówię jej – idź, spróbuj, co będziesz tak całe życie na garach siedziała.
Kierwiński: Mówi się „przy".
Budka: Przysiadła?
Kierwiński: Przy garach.
Budka: A skąd ty wiesz, gdzie moja żona siedzi? Ty ją na listę do rady miasta wsadzałeś, i to tak, że struktury partyjne pękły? To znaczy, pięć lat temu, bo teraz to sobie sama wlazła.
Kierwiński: Całe szczęście, bo inaczej byłby, ten, jak się nazywa, nepotyzm.
Budka: Czyli Grabiec może mamę i syna do samorządów pakować?
Kierwiński: A to już jest akurat rodzina na swoim. Samorząd plus, rozumiesz?
Tusk: Kurczę, a jeśli myśmy przez to przegrali? Bo ludzie się zorientowali?
Kierwiński: To ja powiedziałem, nie Borysław.
Tusk: Ale co?
Kierwiński: No, w mediach. To żeśmy przegrali.
Tusk: A czemu?
Kierwiński: Bo lewica zaczęła kłótnię!
Biedroń: Bo nas premier zaprosił do rozmów o wspólnej liście, a potem mogliśmy go tylko w klamkę pocałować.
Kosiniak-Kamysz: Było nie chcieć czerwonej kartki dla nas. Teraz my wam pokażemy.
Biedroń: A co?
Hołownia: Sweterek czerwony. Ja wam laski nie oddam.
Czarzasty: Że jak?
Kosiniak-Kamysz: Że hak wam w smak. Kończymy z rotacyjnością. Prawda, panie premierze?
Tusk: Tylko pod warunkiem, że idziecie z nami w wyborach europejskich.
Hołownia: Ja nigdzie nie idę.
Tusk: Ciebie nikt nie zaprasza, do Władysława mówię.
Kosiniak-Kamysz: No, nie wiem, myśmy się już raz sparzyli na jednej liście.
Trzaskowski: Oj tam, oj tam, dawno i nieprawda.
Tusk: Ciebie ktoś pytał? Idź, sprawdź, czy cię nie ma w ratuszu.
Trzaskowski: Ja tam rzadko bywam.
Tusk: W rządzie jeszcze rzadziej. Podziękuj panom, że ci konkurencji w Warszawie nie wystawili i zmykaj do kuchni. To ja cię „bohaterem samorządowcem" nazywam, a ty potem na populistów w wystąpieniu plujesz?
Trzaskowski: Ale pisowskich.
Hołownia: Dość kłótni i do przodu.
Tusk: Kto do przodu, ten do przodu. A kto do tyłu, ten od tyłu...
Biedroń: Słucham?
Tusk: Nie trzeba było z aborcją wyjeżdżać.
Czarzasty: Ale przecież my się musimy jakoś odróżniać!
Tusk: No, to już się odróżniacie. Nie macie wyborców.
Czarzasty: To my wychodzimy.
Tusk: I dobrze. Najlepiej idźcie się naradzić.
Hołownia: Tak jest. „Ósemka" jest chyba wolna. Usiądźcie sobie spokojnie i pogadajcie. A my w międzyczasie pomyślimy, co z wami zrobić.
Kierwiński: Ty lepiej pomyśl, co bez Władysława zrobisz.
Hołownia: Władek?
Kosiniak-Kamysz: Szymon?
Hołownia: Idziesz z nimi?
Kosiniak-Kamysz: No, skąd. Tak sobie luźno rozmawiamy.
Hołownia: A znasz powiastkę o żabie i skorpionie?
Tusk: Ja nie znam.
Hołownia: Skorpion z PSL poprosił żabkę z Polski 2050, żeby go przeniosła nad progiem wyborczym. Żabka pyta, czy jej nie dziabnie po drodze, a skorpion na to, że nigdy w życiu, bo oboje zginą. Żabka przenosi, już prawie, prawie przeszli, wtedy skorpion ją nagle: dziab w udko. Żabka woła: „Jak mogłeś?! Przecież teraz oboje zginiemy!". A PSL jej na to: taka jest moja natura.
Kosiniak-Kamysz: Co to ma do rzeczy?
Kierwiński: Właśnie. Zamiast bajki opowiadać, kupcie sobie popcorn i obserwujcie, jak pan przewodniczący premier rady ministrów konsoliduje koalicję rządzącą. Mikrofony włączyliście w tej „ósemce"?
Hołownia: Oczywiście. O, już coś słychać... Żukowska coś krzyczy. Niecenzuralne, nie będę cytować. Żmija jedna, a jeszcze dzisiaj mi kwiaty dawała.
Biedroń: Ja to nie pamiętam, kiedy kwiaty od kobiety dostałem.
Tusk: A kolega czemu nie na tajnej naradzie lewicy?
Biedroń: Bo mnie aborcja nie dotyczy. Kolega poszedł, to opowie.

eprasa.pl 77349d6db8

WIEŻA BAB

Ucho marszałka

Do szerokiej publiczności nie przeciekło nagranie z zamkniętego spotkania klubu Lewicy, ale do ucha marszałka Hołowni dotrzeć już mogło

Anka, a czy ty [...] musiałaś temu [...] Hołowni kazać [...]?

– Aj, bo mnie on tak [...], że się nie mogłam powstrzymać!

– Ale teraz te [...] z Trzeciej Drogi chcą mnie pozbawić rotacyjnego [...]! Ten [...] Hołownia to może [...] ze swoim pomysłami renegocjowania umowy koalicyjnej!

– Włodziu, uspokój się. Ten [...] Tusk przecież podpisał [...] umowę koalicyjną. Przecież [...] nie użył chyba atramentu sympatycznego? Takim atramentem nie jest.

– Jest jeszcze większym [...]! To on nas tak [...] urządził z tym wynikiem. Jakby [...] była jedna lista, to by [...] wynik był inny!

– A niech mi tylko [...] zabiorą resort nauki! To ja tym [...] pokażę!

– Dareczku [...], nic ci nie zabiorą, weź się [...] tak nie emocjonuj.

– Niech tylko spróbują, to my [...] z tej [...] koalicji! I niech się [...].

Czy tak wyglądało zamknięte posiedzenie klubu parlamentarnego Lewicy, które odbyło się w jednej z sejmowych sal? Tego nie wiemy, ale możemy sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę poziom emocji w koalicji po zakończonej kampanii samorządowej, że między Lewicą a Trzecią Drogą miłości nie ma. A parlamentarzyści na zamkniętych spotkaniach wcale nie muszą używać parlamentarnego języka.

Do szerokiej publiczności nie przeciekło nagranie ze spotkania klubu, ale do ucha marszałka Hołowni mogło dotrzeć. Wszystko dlatego, że sejmowa telewizja na żywo transmitowała zamknięte posiedzenie klubu Lewicy. Taka sytuacja w historii polskiego parlamentu jeszcze nie miała miejsca. Ale też nigdy wcześniej showman rodem z TVN nie był marszałkiem Sejmu. Zamknięte posiedzenie lewicowych posłów, które odbyło się we wtorek 9 kwietnia, można było obejrzeć np. w hotelu sejmowym. A podczas tej narady rozmawiano nie tylko o projektach ustaw, w tym o zapalnym dla koalicji temacie aborcji, lecz także o Trzeciej Drodze.

W rozmowie z Wirtualną Polską jeden z polityków Nowej Lewicy nazwał to wydarzenie skandalicznym i poinformował, że już interweniowano w tej sprawie u szefa Kancelarii Sejmu Jacka Cichockiego, który miał przeprosić za zaistniałą sytuację. Miał także tłumaczyć, że do transmisji doszło z powodu błędów technicznych, przypadkowo.

Sprawy nie chciał komentować wicemarszałek Włodzimierz Czarzasty, ale swoją opinią na ten temat podzieliła się szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska. „Jaką mamy gwarancję, że taka sytuacja się już nie powtórzy? Będziemy interweniowali w tej sprawie w Ministerstwie Cyfryzacji, ponieważ to rzecz dotycząca potencjalnie bezpieczeństwa państwa" – zapowiedziała posłanka. I tłumaczyła, że przecież na posiedzeniu mogły być omawiane sprawy związane ze zbrojeniami. „Tego nie można zostawić bez interwencji" – oświadczyła Żukowska.

W klubie Lewicy mało kto wierzy, że do tej sytuacji doszło przypadkiem, nieintencjonalnie, zwłaszcza że coś takiego wydarzyło się po raz pierwszy w historii Sejmu, a dzięki transmitowaniu posiedzenia przez sejmową telewizję politycy innych partii mogli słyszeć, co mówią o nich posłowie Lewicy. Tym bardziej że powyborczy czas sprzyja szczerości.

Marszałek Hołownia zachęcał przecież Polaków, by kupowali popcorn i śledzili obrady Sejmu. Teraz sam mógł się zaopatrzyć w ten przysmak i dowiedzieć się, co takiego mówią o nim koalicjanci. W końcu to stacja TVN, z której wywodzi się Hołownia, jako pierwsza w Polsce emitowała reality show „Big Brother", w którym mieszkańcy domu Wielkiego Brata funkcjonowali pod czujnym okiem kamer. Okazuje się, że taki projekt z powodzeniem można realizować w Sejmie. Szkoda tylko, że sejmowego „Big Brothera", a może raczej „Ucha marszałka", mogła śledzić tak wąska publiczność. Mogło być naprawdę ciekawie.

Dorota Łosiewicz

USA

Nieudany eksperyment

Eksperyment z dekryminalizacją narkotyków w amerykańskim stanie Oregon przyniósł katastrofalne skutki. Po trzech latach od jego wprowadzenia demokratyczna gubernator Oregonu Tina Kotek podpisała ustawę ponownie penalizującą posiadanie niewielkich ilości narkotyków – głównie tych najgroźniejszych, jak heroina, metamfetamina i fentanyl.

Szczególnie ten ostatni okazał się silnie i szybko uzależniający oraz zabójczy. 50 razy silniejszy od heroiny fentanyl często jest mieszany z innymi środkami, co znacznie zwiększa ryzyko śmiertelnego przedawkowania. Oregon został po prostu zalany fentanylem w postaci małych niebieskich tabletek. W hrabstwie Multnomah, którego stolicą jest Portland – miasto najmocniej dotknięte plagą narkomanii, w latach 2018–2022 liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem syntetycznych opioidów wzrosła o 533 proc.

Nowe prawo to pewien kompromis pomiędzy pełną dekryminalizacją a poprzednim *status quo*, bo dopuszcza posiadanie pewnej ilości konopi indyjskich na własny użytek, ułatwia też dostęp do leków i terapii odwykowych, nakłaniając ludzi do leczenia, a nie od razu kierując ich do więzienia.

Eksperyment z dekryminalizacją narkotyków w Oregonie okazał się kompromitacją tez głoszonych przez zwolenników takiego rozwiązania. Inwestycje w służbę zdrowia, leczenie narkomanii, profilaktyka i kontrola korzystania z narkotyków w terapiach antydepresyjnych miały być – zdaniem liberalnej lewicy – skuteczniejszą formą walki z narkomanią niż ich ściganie przez policję i sądy. Przeforsowana przez lewicę ustawa weszła w życie trzy lata temu, a Oregon stał się pierwszym stanem w USA, który poszedł tą drogą. Jednak wraz ze wzrostem popularności syntetycznych narkotyków nastąpił tam jeszcze gwałtowniejszy i niekontrolowany wzrost liczby osób uzależnionych i zgonów, co dokumentowały reportaże pokazujące dziesiątki ludzi-zombie snujących się w śmiertelnym letargu po ulicach miast. Ostatecznie skłoniło to władze Oregonu do wprowadzenia na początku roku stanu wyjątkowego i wycofania się z liberalnej polityki narkotykowej. Władze w końcu się opamiętały, ale ofiarom narkotyków życia nikt już nie przywróci.

Maciej Walaszczyk

Przyjmijcie 20 tys. naszych słoni

Botswana

„Niech Niemcy przyjmą 20 tys. dzikich słoni. To nie żart. Niech żyją z nimi tak, jak nas do tego zmuszają". Taką propozycję złożył władzom Niemiec prezydent Botswany Mokgweetsi Masisi w rozmowie z tabloidem „Bild".

Przywódca tego południowoafrykańskiego kraju uzupełnił swoją wypowiedź stwierdzeniem o „neokolonialnym" podejściu Berlina. Jego deklaracje są związane z propozycją federalnej minister Steffi Lemke z formacji Zielonych, która zapowiedziała, że niemiecki rząd będzie dążył do zaostrzenia unijnych regulacji dotyczących wwozu na teren Wspólnoty trofeów myśliwskich, w tym pochodzących od zabitych afrykańskich słoni. Niemcy przywożą ich do Unii najwięcej, a zapowiedź ograniczeń nie na żarty zaniepokoiła władze Botswany, która przeżywa coraz poważniejsze problemy związane z gwałtownym wzrostem liczby słoni.

Jak się szacuje, w Botswanie żyje największa w Afryce populacja słoni, licząca 130 tys. zwierząt. „Słonie atakują i depczą ludzi, wsie są dewastowane, a plony niszczone" – powiedział prezydent Masisi, dodając przy tym, że chętnie by zobaczył, jak z tym problemem poradziłaby sobie minister Lemke.

Botswana jest paradoksalnie ofiarą własnego sukcesu. Jako jedna z niewielu afrykańskich stabilnie rozwijających się demokracji już w latach 70. ub.w. wprowadziła rygorystyczne przepisy regulujące polowania na słonie. Była też w stanie skutecznie je egzekwować. W efekcie populacja tych uznawanych za bardzo inteligentne zwierząt zaczęła szybko rosnąć, co skłoniło władze Botswany do przywrócenia w 2019 r. polowań (opłata 50 tys. dol.) dla bogatych, głównie europejskich myśliwych. Ponadto w 2022 r. Botswana podarowała 500 słoni Mozambikowi, a rok później przekazała kolejne 2 tys. Angoli.

To jednak nie rozwiązało problemu, bo lokalni rolnicy zagrożeni przez słonie nadal opuszczali swoje farmy. Władze Botswany obawiają się, że dalszy rozrost populacji słoni doprowadzi do wyludnienia prowincji i poważnych kłopotów gospodarczych. Nie rozumieją też, dlaczego w Europie ochrona zwierząt jest ważniejsza od życia i zdrowia ludzi.

Marek Budzisz

eprasa.pl 77349d6db8

Singapur

Długie łapy smoka

W Singapurze, położonym przy szlaku morskim łączącym Daleki Wschód z Oceanem Indyjskim, zdecydowaną większość mieszkańców stanowią Chińczycy. Coraz częściej wykorzystują to władze Chin do rozciągnięcia wpływów Pekinu na ten strategicznie ważny rejon świata.

Chińczycy masowo zasiedlali Singapur w XIX i XX w., gdy był on brytyjską kolonią. Według ostatnich spisów dzisiaj stanowią oni ponad 76 proc. ludności miasta. Wśród nich są zarówno potomkowie dawnych imigrantów z epoki kolonialnej, jak i zupełnie nowi przesiedleńcy. Wielu z nich pochodzi Hongkongu. Opuścili oni rodzinne miasto po tym, gdy w 1997 r. znalazło się ono pod kontrolą Pekinu. Wielu z nich podtrzymuje intensywne kontakty – zwłaszcza handlowe – z Chinami. Do niedawna nie budziło to żadnych podejrzeń, przeciwnie – w żyjącym z handlu Singapurze uchodziło za duży atut.

Okazało się jednak, że nie wszystkim z nich wystarcza zarabianie pieniędzy. Są bowiem i tacy, dla których jest to jedynie zasłona dymna do prowadzenia działalności politycznej, a być może również agenturalnej na rzecz Pekinu. Niedawno władze Singapuru wszczęły dochodzenie przeciwko biznesmenowi, któremu zarzucono „wspieranie cudzych interesów". 59-letni Philip Chan Man Ping pochodził z Hongkongu i od 30 lat mieszkał w Singapurze, gdzie zajmował się handlem. Jednak oprócz tego bardzo intensywnie wspierał politykę Pekinu. W 2019 r., gdy w Hongkongu doszło do demokratycznych manifestacji, organizował w Singapurze pikiety wspierające chińskie władze. Prowadził też działalność wśród singapurskich Chińczyków, aby ujawniać im „hipokryzję Zachodu" i „mobilizować prawych ludzi w obronie Chin".

Wiele wskazuje na to, że aktywność Chana była odpowiedzią na niedawne wezwanie chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, który zwrócił się do „chińskich synów i córek w kraju i za granicą", by działali na rzecz „zjednoczenia wszystkich Chińczyków w celu osiągnięcia wielkiego odmłodzenia narodu chińskiego". Za tym kwiecistym sformułowaniem kryje się plan wykorzystania chińskiej diaspory do wsparcia politycznych interesów Pekinu.

Nie jest to nic nowego. Władze chińskie zawsze postrzegały wszystkich Chińczyków niezależnie od ich miejsca zamieszkania jako swoich poddanych i żądały od nich lojalności. Chińska diaspora wpadała zresztą z tego powodu w poważne kłopoty. W 1965 r. władze Indonezji urządziły pogrom Chińczyków, oskarżonych o popieranie komunistycznej rebelii. Do zamieszek na tle etnicznym, choć na mniejszą skalę, doszło także w 1969 r. w Malezji.

W obliczu obecnej polityki Pekinu ostrożność władz Singapuru może być więc w pełni uzasadniona.

Konrad Kołodziejski

Schengen w Indochinach?

Rząd w Bangkoku chce stworzyć strefę wolnego handlu na wzór Schengen między krajami Azji Południowo-Wschodniej: Kambodżą, Laosem, Malezją, Mjanmą, Wietnamem i Tajlandią. Plan zakłada utworzenie w Indochinach obszaru wzorowanego na Unii Europejskiej, w którym obywatele wspomnianych sześciu państw mogliby podróżować bez konieczności posiadania paszportu. Przybysze z innych części świata otrzymywaliby z kolei wizy uprawniające ich do przemieszczania się po wszystkich krajach nowej strefy (wspólna wiza byłaby ważna 90 dni zamiast obecnych 30 dni do jednego kraju).

Tajskie władze nie ukrywają, że chcą w ten sposób pobudzić branżę turystyczną, która stanowi jeden z wiodących sektorów tamtejszej gospodarki. Oblicza się, że ogółem do sześciu państw Indochin w ub.r. przybyło ok. 70 mln gości z zagranicy, którzy zostawili tam ok. 48 mld dol. W Tajlandii z turystyki żyje 20 proc. społeczeństwa, zaś branża generuje 12 proc. zysków do budżetu. Rząd planuje zwiększyć jednak dochodowość sektora, dlatego od 1 marca Bangkok i Pekin zniosły obowiązek wizowy dla swoich obywateli. Od tej pory posiadacze tajskich i chińskich paszportów mogą przebywać w obu krajach do 30 dni bez wizy. Władze państw regionu liczą też na większy napływ turystów z Rosji, dla których po wybuchu wojny na Ukrainie zamknięte zostały inne kierunki podróży.

Specjaliści podkreślają, że oprócz woli politycznej największym problemem będzie stworzenie jednolitego systemu wizowego, który wymagałby standardowych kryteriów imigracyjnych i większej koordynacji w zakresie wydawania zezwoleń. Poza tym wspólna strefa obejmująca całe Indochiny, by przyciągnąć turystów, powinna być obszarem bezpieczeństwa i spokoju. Bez zakończenia krwawego konfliktu, który rozdziera od środka Mjanmę, będzie to jednak niemożliwe.

Grzegorz Górny

Tajlandia

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 77349d6db8

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Motyw zemsty

W moim wieku właściwie nic już nie powinno mnie dziwić, ale przyznam, że zdumiewa mnie motyw zemsty, która jakoby kieruje poczynaniami panującego nam niemiłosiernie premiera. Za co on się mści? Za karierę polityczną w Polsce, w Brukseli i w Niemczech, gdzie jest uwielbiany? Jego kuglarskie kampanie wyborcze, mające niewielki związek z rzeczywistością, chwytają jednak za serca (puste) rzeszę sympatyków political fiction, których w Polsce jest pod dostatkiem. Nigdzie poza naszym krajem nie ujechałby daleko na takim bajerze. A on, żeby brylować w Europie, musi być raz na parę lat wybrany w Polsce. Potrzebuje legitymizacji wyborczej. Ma tu grono dożywotnich fanów w rodzaju Neumana... À propos, co się stało z tym kolesiem? Ale zostawmy go na boku.

Skąd u Tuska potrzeba zemsty? Za co i na kim? Jestem tym osobiście zainteresowany, ponieważ od kilkudziesięciu lat jako felietonista, kabareciarz, satyryk zajmuję się osobistościami ze świecznika. Nie tylko, nie jedynie, ale między innymi. Wydaje się, że w naszej cywilizacji jest to zajęcie naturalne. „Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka, wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka" – pisał bp Ignacy Krasiński w liście do króla. W pewnym kabarecie z lat 70. padało zdanie: „Kiedyś królowie tolerowali błaznów, dziś królów nie ma i błaznów musi tolerować cały naród". Rozumieli to niektórzy komunistyczni dygnitarze, utrzymując jednocześnie instytucję cenzury, by jakiś śmiałek nie przykopał im w miękkie podbrzusze zbyt boleśnie.

Ostatnio wybrana władza jest szczególnie zainteresowana zakneblowaniem autorów niewygodnych poglądów. Media w dużym stopniu mają już opanowane. Za chwilę wprowadzą cenzurę, która w PRL działała przez system „zapisów" słów, których nie wolno wypowiadać. Np. „Moskwa". Pojechał po 13 grudnia Jaruzelski przebrany w jesionkę i kapelusz w tamtą stronę, jeszcze dalej i trochę w lewo... wyjaśniałem publiczności i ona kwitowała to śmiechem.

W obecnej sytuacji, kiedy ustawy nie są potrzebne, wystarczy uchwalić „zapis" na słowo „Niemcy" i premier będzie spokojniejszy, bo on prawdopodobnie żyje zemstą za Grunwald, za hołd pruski, za Rotę („nie będzie Niemiec pluł nam w twarz") itd.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Demony demokracji

Dominik Zdort

Obóz demokratyczny. To określenie jest jak medialny wytrych, używany przez polityków i dziennikarzy, mający odróżniać partie antypisowskie od PiS. No, trochę przesadzam. Nie wszystkie, gdyż najbardziej antypisowska – bo konkurująca o głosy prawicowych wyborców – Konfederacja to już nie obóz demokratyczny.

Problem polega na tym, że po wyborach cały ten tzw. obóz demokratyczny w bardzo wyrazisty sposób pokazał, że demokracji, parlamentaryzmu i państwa prawa nie szanuje. To, co wyczynia rząd, a w szczególności ministrowie Bartłomiej Sienkiewicz i Adam Bodnar, z demokracją i przestrzeganiem prawa nie ma nic wspólnego. Jeśli można użyć popularnego porównania, to ich rozumienie i przestrzeganie prawa jest takie, jak zestawienie krzesła z krzesłem elektrycznym.

I to nie jest tylko moja opinia, lecz także pogląd ludzi, którzy działają w tym samym środowisku i mają podobną wizję świata jak Sienkiewicz i Bodnar. Pewien renomowany warszawski prawnik, który kiedyś współpracował z obecnym ministrem sprawiedliwości, powiedział mi wprost, że gdyby dziś Adam Bodnar działał w fundacji helsińskiej, to by zaskarżył większość metod obecnego ministra, jego decyzji i rozporządzeń, uznając je za bezprawne. Jednak ów prawnik nie powie tego głośno, bo – jak sądzę – uważa (jak i większość jego środowiska), że cel uświęca środki. Bodnar może łamać prawo, aby przywrócić porządek w Warszawie, że zacytuję francuskich klasyków.

Słowo „demokracja", które tradycyjnie oznaczało rządy wybranej w uczciwych wyborach większości, zostało „wzbogacone" o liczne elementy, które niekoniecznie mają na celu równość, uczciwość, sprawiedliwość, raczej wnoszą wątpliwy walor politycznej poprawności, różnych wymyślonych przywilejów dla mniejszości.

Nie bądźmy więc hipokrytami. Nie nazywajmy ludzi, którzy rządzą dziś Polską, demokratami czy obozem demokratycznym. W rzeczywistości to polityczni gangsterzy, którzy zasady prawne mają w głębokim poważaniu, żerują wyłącznie na resentymencie swoich wyborców mających na celu tylko zemstę. Stąd wyroki więzienia dla polityków opozycji, rządzenie za pomocą sejmowych uchwał i inne niedopuszczalne – w demokratycznej rzeczywistości – metody działania.

Gdy poprzednia władza prawo naginała czy naciągała, urzędasy z Unii Europejskiej wyły w wniebogłosy. Kiedy obecna „demokratyczna" władza przepisy bezczelnie łamie, jest przez Brukselę głaskana po ryżej czuprynie.

eprasa.pl 77349d6db8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Współczucie dla zdrajcy

Tuż przed świętami w radiowej „dwójce" trafiłem na czytaną w odcinkach książkę Tomasza Terlikowskiego „To ja, Judasz. Biografia apostoła". Prowadząca rozwodziła się nad jej oraz autora wartością i przestawiła go jako filozofa. Książce poświęcona została osobna, poważna dyskusja.

Kiedyś, kiedy jeszcze znałem autora lepiej, w radiostacji tej mógłbym usłyszeć o nim wyłącznie jako o „prawicowym publicyście" – jeśli nie gorzej, a o czytaniu jego książek raczej mowy by nie było. No, ale od tego czasu Terlikowski dość radykalnie zmienił poglądy. Pewnie dlatego stał się filozofem.

Wysłuchałem odcinka. Dotyczył on zagadkowego ustępu z Ewangelii św. Jana zatytułowanego: „Ujawnienie zdrajcy". Podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus mówi do uczniów: „Jeden z was Mnie wyda". I wskazuje Judasza, mówiąc do niego: „Co masz uczynić, czyń prędzej". Judasz wychodzi, a apostołowie zastanawiają się, czy Jezus nie zlecił mu zakupów.

Terlikowski jest poruszony tym, że nie próbują pocieszyć Judasza, który jako zdrajca znalazł się w niekomfortowym położeniu. Pozostawiają go z ciężarem winy i nawet nie usiłują uspokoić.

Słuchałem zdumiony. Terlikowski nie zastanawia się nad najbardziej oczywistym pytaniem. Przecież zdrada nie dokonała się jeszcze, apostołowie mogą starać się jej przeszkodzić, powstrzymać Judasza, zapobiec najgorszemu. Dlaczego tego nie robią i zachowują się tak dziwnie? Autor „Judasza" nie zauważa tego. Można odnieść wrażenie, że z całej tragedii interesują go wyłącznie kłopoty zdrajcy.

Nie zajmuję się w tym miejscu teologią, tak jak nie zajmuje się nią Terlikowski. Tak jak on do sceny opisanej przez św. Jana podchodzę jako do wydarzenia z ludzkiego porządku. A jednak widzę ją zasadniczo inaczej, tak, jak sądzę, zwyczajny czytelnik.

Uczniowie dowiadują się, że ich ukochany mistrz zostanie zdradzony, a więc wydany wrogom, którzy chcą go zniszczyć. I nie robią nic, aby do tego nie dopuścić.

Ale Terlikowski przejmuje się wyłącznie tym, że apostołowie nie dbają o komfort psychiczny zdrajcy. Jest poruszony nie tym, że nie usiłują odwieść go od zdrady, ale tym, że nie starają się uczynić jej lżejszą do niesienia.

Czy nie należy współczuć zdrajcy, zbrodniarzowi, człowiekowi, który czyni zło? Chrześcijaństwo nawołuje do tego. Współczucie nie ma jednak kwestionować ciężaru nieprawości, wręcz przeciwnie – wskazuje jego straszne, niszczące również sprawcę konsekwencje. Podstawowy imperatyw to próba zapobieżenia złu, jeśli jednak zostanie ono dokonane, prawdziwe współczucie oznacza wezwanie złoczyńcy do skruchy, doprowadzenie do uzmysłowienia sobie przez niego własnych nieprawości i proporcjonalny do tego żal, który, jeśli jest autentyczny, stanowi największą karę. I współczucie ma także naturalną hierarchię: najpierw pochylamy się nad ofiarą, potem ewentualnie nad sprawcą.

Współczesna mentalność kwestionuje to. Człowiek ma być z natury dobry, jeśli więc już czyni zło, to widocznie został do niego zmuszony. Nie on odpowiada za nie, ale inne czynniki: okoliczności społeczne, nabyte w dzieciństwie kompleksy, brak właściwej edukacji. Nowoczesny fetysz wolności wydrążony jest ze swojego podstawowego warunku: odpowiedzialności za własne czyny. Na jakiej zasadzie marionetki, które zdeterminowane są w swoich fundamentalnych wyborach, uznać można za „wolne"? Pozostaje to tajemnicą naszych czasów.

Z pewnością jednak współczucie, które zdejmuje ciężar winy wydaje się niezwykle wygodne, gdyż odciąża nas od jej brzemienia. Mało kto zastanawia się nad tym, że dlatego właśnie nasz byt staje się nieznośnie lekki. Mamy wybaczać wszystko wszystkim i hurtowo.

Ponieważ jednak podejście takie nie jest możliwe ani w perspektywie egzystencjalnej, ani społecznej, należy powołać ośrodki, które decydować będą, co jest, a co nie jest wybaczalne. Zgodnie z nową ortodoksją roli tej nie mogą pełnić tradycyjne instytucje jak Kościół, który ma przekształcić się wyłącznie w rodzaj duchowej pralni, hurtowo czyszczącej wszystkie grzechy. Bezwzględnie rozliczają go z tego współczesne przedsiębiorstwa opiniotwórcze, głównie o ateistycznym charakterze. Nie zostawiają wątpliwości, co może, a co nie może być odpuszczone. Każdy, kto choćby otarł się o bardziej konsekwentny konserwatyzm czy poważniej traktuje religię, powinien tracić obywatelskie prawa. Takie wnioski musimy wyciągnąć, biorąc pod uwagę nieustanne piętnowanie takiej osoby, jeśli pojawia się ona w sferze publicznej. Chyba że ukorzy się i odwoła to, co głosiła wcześniej. Jak Terlikowski.

Dziś tak bardzo nachyla się on nad Judaszem, że traci z pola widzenia Jezusa jako ofiarę. To, że ofiara ta ostatecznie stanie się zwycięska nie ma w odniesieniu do opisywanych spraw znaczenia.

Czy chrześcijaństwo skoncentrowane na Judaszu pozostaje nim?

I skąd tak czuła troska Terlikowskiego dla zdrajcy?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 77349d6db8

Walizka Henryka Dąbrowskiego

byłego oficera BOR, aktora, miłośnika zwierząt

Po ukończeniu służby wojskowej w ośrodku sportowym Legii trafiłem na casting Biura Ochrony Rządu, które wśród wysportowanych chłopaków szukało kandydatów do służby. Ponieważ zawsze chciałem, żeby moja praca była związana treningami i podróżami, a ochrona osobista BOR wymagała najwyższej sprawności fizycznej, moje oczekiwania były tutaj spełnione. Po dwuletnim okresie próbnym byłem świadkiem przygotowań wizyty Gierka w USA, pierwszej wizyty komunistycznego przywódcy z Polski za oceanem. Pamiętna była też wizyta w Polsce Breżniewa w 1974 r., który najwyraźniej przywlókł do naszego kraju słynną „chorobę filipińską". Sekretarz generalny KC KPZR po wytoczeniu się z samolotu na Okęciu postanowił wsiąść za kierownicę czekającej na końcu czerwonego dywanu... limuzyny Ził. Negocjacje, żeby usiadł z tyłu, wymagały wyjątkowej delikatności i dyplomacji na najwyższym szczeblu. Niezapomnianym widokiem z lotu śmigłowcem były setki zwierząt na polanie – jeleni, saren, dzików zbierających się przy paśnikach, jednocześnie nieopodal do hotelu w Arłamowie zjeżdżali się dygnitarze z demoludów, a prywatnie niestety miłośnicy polowań. W mojej pracy, towarzysząc najważniejszym polskim i zagranicznym politykom, podróże były na stałe wpisane w jej charakter. Kolejne przejazdy limuzynami, przeloty śmigłowcami, jaczkami czy większymi czarterowymi samolotami spowszedniały. Ale jeden rozdział w pracy w BOR był prawdziwym sensem mojej służby, a zarazem przełomowym punktem w moim życiu: ochranianie papieża Jana Pawła II.

PIELGRZYMKA PAPIEŻA

Przez kilka lat pracy w BOR wyłoniła się specjalna grupa składająca się z najlepszych i najsprawniejszych ludzi. Dlatego naturalne było wyznaczenie jej do ochrony najważniejszego Polaka, Jana Pawła II, podczas pierwszej pielgrzymki po Polsce. To wyróżnienie miało też ogromny ciężar, zwłaszcza gdy otrzymaliśmy informacje, że przez czeską granicę do naszego kraju dostali się terroryści udający dziennikarzy. Na kopiach ich podrobionych akredytacji dziennikarskich widniały zarośnięte twarze à la Ali Ağca.

eprasa.pl 77349d6db8

KRAWATY

Gdy pracowałem w BOR, na wszystkich oficjalnych uroczystościach garnitur, jasna koszula i krawat były obowiązkowe. Wbrew wyobrażeniom fanów „Man in Black" nie zakładaliśmy czarnych krawatów.

ŚCISKACZ

Doskonale poprawia sprawność ruchową dłoni i mięśni całego przedramienia. Im człowiek starszy, tym bardziej trening jest potrzebny i stanowi świetne rozwiązanie.

KRZYŻYK

Fascynuje mnie Jezus i miłość, którą obdarzył nas, ludzi. Tak wielką, że dla odkupienia naszych grzechów poświęcił swoje życie.

SYGNET

Mogę się też poszczycić sukcesem z pogranicza ochrony wizerunku Ojca Świętego... i jubilerstwa. Kraków, Błonie, miliony wiernych, tysiące dłoni dotykających dłoni papieża. Za każdym dotknięciem sygnet z palca Jana Pawła II się zsuwa. Gdy już niewiele brakuje, żeby spadł, ujmuję dłoń Karola Wojtyły i wsuwam go na miejsce.

HESIA

Nasza ukochana sunia, która została przez jakiegoś... porzucona pod Wrocławiem. Mieszka z nami od lat i codziennie wynagradza nas miłością. Jest osłodą po odejściu poprzedniej suczki – Guci.

„PANOWIE, ZABIERZCIE GO JUŻ ODE MNIE..."

Dziennikarze nie odstępowali Jana Pawła II. Jeden z nich, Niemiec biegający dookoła nas z kudłatym mikrofonem na długiej tyczce, uprzykrzał się do tego stopnia, że papież dał zielone światło i dziennikarz z tyczką wylądował w krzakach.

AKTORSTWO

Po 15 latach służby poszedłem na wcześniejszą emeryturę. Prowadziłem różne interesy, ale coraz częściej byłem zapraszany do sesji reklamowych. Później zaczęły się epizody w filmach i w końcu poważna rola w serialu „Wydział zabójstw".

BROŃ

Samopowtarzalny pistolet **P-64** na amunicję Makarowa – standardową dla państw Układu Warszawskiego.

BERETTA 92 – mały włoski pistolet samopowtarzalny, stosowany w wojskach włoskich, izraelskich i egipskich. Kolejna wersja tej broni pojawiła się także w zbrojnych siłach amerykańskich.

PM-63, czyli RAK – pistolet maszynowy ze składaną kolbą był noszony w walizce. Używała go także milicja NRD i Kuby, a także armia wietnamska. Bardzo go sobie cenili terroryści.

Smith & Wesson – amerykański rewolwer, niezawodny.

SIATKÓWKA

Przez dłuższy czas moją pasją i stylem życia była siatkówka plażowa. Mimo że byłem amatorem, grałem z chłopakami grającymi wyczynowo w klubach. Fascynacja tym sportem została i kilka lat temu w turnieju oldboyów w Ełku zdobyłem brązowy medal.

GUMY DO ĆWICZEŃ

Lekkie, wygodne, można je zabierać wszędzie, żeby w dowolnym miejscu stworzyć minisiłownię. Bardzo pomocne, m.in. przy ćwiczeniach poprawiających skuteczność przy grze w siatkówkę.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, archiwalne zdjęcia z prywatnych zbiorów Henryka Dąbrowskiego, www.digitalmuseum.se, shutterstock

eprasa.pl 77349d6db8

OGNIEM NA WPROST

Opowieść korespondenta

Andrzej Rafał Potocki

Czeskie służby rozpracowały moskiewską siatkę agentury, której głównym zadaniem miało być wpływanie na wybory do Parlamentu Europejskiego. Do innych zadań kremlowskiej pajęczyny należało osłabianie międzynarodowej pozycji Polski (to, co konsekwentnie od dawna wyprawia Koalicja Obywatelska Silni Razem), promocja kacapskiego punktu widzenia i deprecjonowanie Ukrainy (część Konfederacji) oraz instytucji Unii Europejskiej. Ale tu Moskal nie za bardzo musi się starać, bowiem instytucje te praktycznie robią wiele, żeby się same zdeprecjonować. Ośrodkiem agentury miał być portal Voice of Europe, czyli szpiedzy udający dziennikarzy. Jedną z operacji było wykorzystanie publikacji czeskiego eurodeputowanego Miloša Zemana, w którym podał nazwiska polityków rozmawiających z portalem (wywiady). Tekst przekazał dalej portal @propertys, uchodzący do tamtej pory za wspierający Ukrainę, ale zmienił jego treść, dodając, że chodzi o polityków kupionych przez Kreml. Część nazwisk z listy rzeczywiście jest kojarzonych z promoskiewską postawą, lecz nie o nich tu chodziło. Trafił na nią również były premier Słowenii Jenez Janša. Wraz z Jarosławem Kaczyńskim był on w składzie delegacji jadącej do Kijowa na początku wojny. Nie cierpi Moskwy, podobnie jak Dominik Tarczyński, który również trafił na tę listę. W Polsce aferę z politykiem PiS od razu rozdmuchał Tomasz Piątek, zwany przez bliskich sobie redaktorem, a w rzeczywistości będący domorosłym łowcą szpiegów (Antoni Macierewicz), których tropi z faryzejskim zacięciem nawróconego alkoholika. Gość nie ma pojęcia, co robi i jeszcze się tym chwali. Problem polega jednak na tym, że ofiarą tej afery padł wielce zasłużony dla kraju gen. broni Jarosław Gromadziński, którego zgraja internetowych trolli już nazwała „pisowskim oficerem" i oskarżyła o sprzyjanie Moskwie. Ale tak jest z bydłem. Nie dość, że podśmierduje, to jeszcze potrafi wejść w szkodę.

Wywiadu dla ukraińskiego Radia NV udzielił korespondent Radia ZET w Kijowie Marek Sierat. Mówił o wyborach samorządowych w Polsce. Jego zdaniem Rafał Trzaskowski jest osobą, za którą „Polacy pójdą w ogień i zostanie on prezydentem RP". Ma o tym świadczyć wysokie poparcie w wyborach, które uzyskał w Warszawie. Ale to nie koniec. Sierat dopiero się rozkręcał. Dalej: „Na PiS głosują osoby głównie z terenów dawnego zaboru rosyjskiego". Co do Podkarpacia i Małopolski Sierat uważa, że „tereny te nie mają aspiracji europejskich" i są „zaściankowe". Natomiast województwa, w których wygrała KO, są „proeuropejskie". Powiem tak. Większa część głosujących na Trzaskowskiego w stolicy to „słoiki", czyli przyjezdni, często z głębokich, wschodnich prowincji. Wracając z weekendów od rodziców przywożą weki i stąd ich ksywa. Ich wyborczym długopisem często kierują nabyte przez nich na wsi czy małych miasteczkach kompleksy. W tym główny – kompleks europejskości. Poza tym wybitnie „europejskie" (absolutnie „niezaściankowe") są województwa takie jak lubuskie czy obfitujące w tereny i ludność postpegeerowską zachodniopomorskie. I po co tu bredzić Ukraińcom, mieszając im w głowach peowską propagandą? Panie Sierat, widzę, że bez mikrofonu w szafie szefa ciężko żyć. „Łubu dubu, łubu dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu. Niech żyje nam!".

Mimo postępów Moskali na froncie sytuacja nie jest tak zła, jak niektórzy próbują ją przedstawiać. Co prawda padły Bachmut i Awdijiwka, ale Truzyby wycofały się „na z góry upatrzone pozycje" i bronią się dzielnie w korzystniejszych warunkach terenowych. Ruscy podeszli pod miejscowość Czasiw Jar (na północny wschód od Bachmutu). Na szczęście po raz kolejny popełniają błąd, polegający na tym, że nie idą w miarę równym frontem, a pozwalają na wysunięcie się części swoich oddziałów do przodu, bez zabezpieczenia skrzydeł. To daje siłom ukraińskim punkty wyjściowe do ataków na tyły przeciwnika. Pod Awdijiwką trwa żółwi pochód Moskali do linii wzgórz i rzeki Durna. Odwrót Ukraińców niczego nie zmienia, bo cała równina po wschodniej stronie Durny jest pod ostrzałem SZU ze wzgórz po zachodniej stronie. Przepychanki trwają też na innych odcinkach frontu, nie mają jednak wpływu na ogólną sytuację. W marcu Kacapom udało się zająć ledwie całą jedną setną procenta (jedną dziesiątą promila!) terytorium Ukrainy. Wiele mówi również stosunek strat w sprzęcie, który w marcu dla Moskwy jest wręcz tragiczny. I tak: pojazdy opancerzone – 535 do 77 (ukraińskich), pojazdy cywilne 489 do 125, czołgi 205 do 68 i artyleria 129 do 70. Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 77349d6db8

Matejko patrzy na Zachętę

Marta Kaczyńska-Zielińska

W Wielki Czwartek w budynku galerii Zachęta w Warszawie zaprezentowano performans „Czyszczenie Zachęty" Katarzyny Krakowiak-Bałki. Zdaniem Andy Rotenberg za rządów Zjednoczonej Prawicy Zachęta przeżywała okres, w którym nastąpiła ideologizacja programu oraz powrót do stęchłych poglądów, które zabrudziły siedzibę jednej z najważniejszych narodowych przestrzeni wystawienniczych.

Warto przypomnieć, że w ciągu ostatnich kilku lat w Zachęcie można było oglądać tak zróżnicowane ekspozycje, jak m.in. retrospektywna wystawa norweskiej artystki Hege Lønne, prezentacja awangardy japońskiej lat 50. i 60. XX w., wystawę młodego pokolenia polskich artystek i artystów (urodzonych w drugiej połowie lat 80. i w latach 90. XX w.), przegląd XX-wiecznych alternatywnych modeli edukacji oraz koncepcji terapii (dzieci) poprzez sztukę, wystawę modernistycznej malarki austriackiej, designerki i projektantki, retrospektywę jednego z najbardziej cenionych polskich malarzy współczesnych Jerzego Nowosielskiego, dzieła „mistrza kreski z Kalisza" Tadeusza Kulisiewicza, „Co po Cybisie?" – wystawę polskiego malarstwa XX i XXI w., obejmującą szerokie spektrum dzieł wybitnych polskich twórców wpisujących się w kluczowe nurty historii sztuki i aktualne prądy artystyczne. Zdaniem aktualnych władz Zachęty wymienione wystawy i inne wydarzenia z ostatnich lat spowodowały, że galerię należy oczyścić.

Kilkaset metrów od poddanej „czyszczeniu" Zachęty, na Zamku Królewskim, trwa wystawa najwybitniejszego polskiego malarza historycznego, żarliwego patrioty, doskonałego rysownika, miłośnika zabytków i kolekcjonera „Matejko nieznany. Dzieła z kolekcji prywatnych". Wśród przedstawionych prac znajdują się m.in. portrety i rysunki, szkice do obrazów. Wystawa składa się z trzech części rozmieszczonych w pokojach matejkowskich, których historia odzwierciedla skomplikowane dzieje ostatnich kilkuset lat Rzeczypospolitej.

W pierwszej sali prezentowane są portrety Jana Matejki, które stanowią blisko jedną trzecią spośród namalowanych przez niego 323 obrazów. „Portret czworga dzieci artysty" – 6-letniego Jerzego z psem, 14-letniego Tadeusza, 12-letniej Heleny i 10-letniej Beaty z synogarlicą. W tej samej sali znajduje się także szkic do tejże pracy oraz obraz namalowany przez 17-letniego Matejkę, przedstawiający zamyślonego eremitę spod Krakowa – „Portret ostatniego pustelnika z góry św. Bronisławy", ukazujący niezwykły talent młodego artysty oraz jego przenikliwość pozwalającą na ukazanie psychologicznej głębi portretowanych postaci.

Na Zamku można zobaczyć niedawno odnaleziony portret pełnej subtelności i wdzięku Marii, siostry artysty oraz podobiznę Antoniego Serafińskiego, który w „Kazaniu Skargi" wcielił się w postać królewicza Władysława. Ciekawym świadectwem zawiłej historii naszej ojczyzny jest malowidło zatytułowane „Św. Stanisław karcący Bolesława Śmiałego".

W drugiej sali pokazano dzieła sklasyfikowane jako „Dzieje cywilizacji w Polsce". To 12 szkiców poświęconych najważniejszym wydarzeniom oraz najważniejszym bohaterom od czasów dynastii Piastów przez złoty wiek XVI do końca I Rzeczypospolitej. Na wystawie można zobaczyć także „Powtórne zajęcie Rusi. Bogactwo i oświata. R.P. 1366" czy „Założenie Szkoły Głównej przeniesieniem do Krakowa ugruntowane. R. P. 1361–1400" z królową Jadwigą w niezwykle strojnych szatach oraz „Zaślubiny Świętopełka z córką Bolesława Chrobrego".

Wystawę zamykają obrazy ze stałej ekspozycji Zamku Królewskiego: „Batory pod Pskowem", wielopostaciowa scena sejmu rozbiorowego w 1773 r., „Rejtan – Upadek Polski", „Konstytucja 3 maja 1791 r." oraz „Kazanie Skargi", które w 1865 r. zdobyło złoty medal na dorocznym Salonie w Paryżu, a ówcześni krytycy sztuki uznali polskiego malarza za jednego z najwybitniejszych europejskich twórców podejmujących tematykę historyczną. W 1867 r. prezentowany obecnie na Zamku Królewskim „Rejtan" zdobył najwyższe uznanie na wystawie powszechnej w Paryżu.

Panu

BOGDANOWI ŚWIĘCZKOWSKIEMU

Sędziemu Trybunału Konstytucyjnego
wyrazy współczucia z powodu śmierci

ŚP.

MAMY

ALICJI ŚWIĘCZKOWSKIEJ

składają
Prezes, sędziowie oraz pracownicy
Trybunału Konstytucyjnego

6/0424/F

eprasa.pl 77349d6db8

Broniatowski jak kochanka Putina na moskiewskim Arbacie

Samuel Pereira

Po tym, jak rządowi najemnicy w telewizji publicznej na stanowisku dyrektora TVP World obsadzili rodzinnie dobrze umocowanego Michała Broniatowskiego (mama pracowała w Wydziale Propagandy KC PZPR, tata był w UB majorem „do zadań specjalnych", później pułkownikiem SB, który szkolił młodych esbeków), zrobiło się głośno.

Niezauważone zostało za to jego tłumaczenie ze swojej przeszłości w Onecie. Do rozmowy wideo zaprosił go również rodzinnie umocowany Witold Jurasz. Były dyplomata zaczął kpić, że „prawica zawyła" po nominacji Broniatowskiego, ponieważ w przeszłości był on wiceszefem rosyjskiego Interfaksu. W odpowiedzi ten zaczął snuć opowieść, jak w 2003 r. „po rozmaitych przejściach trafił do Moskwy z misją zakupu firmy medialnej dla jednej z dużych polskich grup medialnych", która chciała mieć w Rosji swoją gazetę, „a właściwie całą grupę medialną". Chodzi zapewne o Edipresse, szwajcarską grupę medialną, która mając swoją spółkę w Polsce, chciała wejść na rosyjski rynek i w 2003 r. przejęła tamtejszy Kone-Liga Press.

Gdy Broniatowski dopiął deal, postanowił pozostać w Rosji i tłumaczy to kuriozalnie. „Miałem bardzo ładne mieszkanie w Moskwie i nie chciało mi się wyjeżdżać. Ci, którzy znają Moskwę, wiedzą, że jak ktoś ma mieszkanie na Arbacie, tuż przy pomniku Okudżawy, to ciężko mu stamtąd wyjeżdżać. No i w ten sposób trafiłem na mojego starego znajomego, który był i dalej jest prezesem agencji Interfax" – stwierdził Broniatowski. Abstrahując od miejsca, w którym dostał mieszkanie, „gdzie ceny za metr kwadratowy nie odstraszają tylko wybitnych bandytów i czołowych kremlowskich kleptokratów" (to cytat z „Gazety Wyborczej") i gdzie dostała nieruchomość też kochanka Putina, dlaczego Witold Jurasz nie drąży wątku napotkanego „starego znajomego"? Pewnie dlatego, że chodzi o Michaiła Komissara, który w 2013 r. został odznaczony przez Władimira Putina Orderem Zasługi dla Ojczyzny III stopnia. Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach poznał się z Broniatowskim? O to niedobrze pytać.

Fot. TVP

Odległe echo Franka

Z aktorem Karolem Franciszkiem Nowińskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak blisko panu do Michała Rubina z serialu „Matylda"?

Karole Franciszek Nowiński: Bardzo lubię Michała, nie tylko dlatego, że to moja pierwsza duża rola na ekranie. Niesamowitą przygodą było zmierzenie się z taką postacią, założenie przysłowiowych butów kogoś, kto jest tak odległym echem mnie, Franka (używam drugiego imienia), na co dzień.

Michał jest zahukany i przez długi czas zdominowany przez despotycznego ojca.

Gdybym był na jego miejscu, szybko ukróciłbym tę toksyczną relację.

Co jeszcze was różni?

I prywatnie, i zawodowo (także podczas pracy w moim macierzystym Teatrze Polskim w Bydgoszczy) jestem bardzo energetyczny. I do tej dynamicznej, ekstrawertycznej energii zdecydowanie mi bliżej niż do tej Michała, która jest piękna i z przyjemnością się z nią mierzyłem, by wydobyć z bohatera delikatniejsze tony i nuty.

Jaki element stroju przeniósłby pan z XIX w. do współczesności?

Wysokie buty do jazdy konnej. To też było wielką przygodą. I wyzwaniem. W łódzkiej filmówce tylko raz znalazłem się na obozie jeździeckim i na tym zakończyło się moje doświadczenie hippiczne. Natomiast podczas zdjęć do „Matyldy" pojawił się i galop, i sceny akcji na koniu. Plan serialu stał się znakomitą szkołą jeździecką.

Czytaj też na str. 74

eprasa.pl 77349d6db8

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WITKOR, J.ELKOWITZ / SHUTTERSTOCK, MAT.PRASOWE, SHUTTERSTOCK 5X

Konflikt pokoleń

„To wasze pokolenie narobiło tego całego gnoju! To przez was my, młodzi, będziemy teraz taplać się w tym szambie” – ten nienawistny wyrzut w ustach wytatuowanego, roszczeniowego faceta w rurkach bardziej mnie zdziwił niż zabolał. Czy będąc w jego wieku, ośmieliłbym się wyrzygać swe frustracje na ludzi, którzy przeżyli wojnę i represje komuny? Nie, bo – mówiąc kolokwialnie – od razu zainkasowałbym plaskacza z liścia. Bezczelność też ma swoje granice!

Urodziłem się w wykrwawionym, ograbionym i zrujnowanym wojną kraju, pod sowiecką okupacją. Rodzice dorabiali się od zera, od przysłowiowej łyżeczki. Moim jedynym majątkiem było wykształcenie zdobyte dzięki ich wyrzeczeniom. W kraju panowała bieda, brakowało dosłownie wszystkiego: od papieru toaletowego po wolność. Żyło się bardzo skromnie, z miesiąca na miesiąc. Ciężka praca była szansą, trud nauki nie stresował uczniów, dzieci nazywano błogosławieństwem, a nie „udręką”. Tak funkcjonowała wtedy większość polskich rodzin. Gdyby zrodzonych na przełomie XX i XXI w. dumnych właścicieli licencjatów z marketingu i zarządzania przenieść w tamte czasy, bez latte i telefonu komórkowego, przetrwaliby może dwa tygodnie. A potem popełniliby seppuku, bo jako ateiści nie znaleźliby pocieszenia w konfesjonale (psychoterapia w naszym kraju była wtedy w powijakach).

Dlaczego o tym piszę? Bo jest światełko w tunelu! Do Europy zbliżają się cwałem czterej jeźdźcy Apokalipsy (przypominam: Wojna, Zaraza, Głód i Śmierć. Każdy średnio rozgarnięty człowiek dostrzega już ich symptomy). Idą zatem trudne czasy, a (powtarzając za szejkiem Dubaju) trudne czasy tworzą silnych ludzi! Już wkrótce czeka nas prawdziwy wysyp herosów: ludzi odważnych, mądrych, dobrych, skłonnych do poświęceń. Skąd ich brać? Wystarczy przejrzeć instagramy... (sarkazm!).

PS Dlaczego nie powstają filmy o realnej przyszłości Europy? O skutkach niekontrolowanej migracji, Zielonego Ładu, demoralizacji dzieci itd.?

Lech Makowiecki

eprasa.pl 77349d6db8

Trump jest nadzieją prawicy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 77349d6db8

Z polskiego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby wygrał Donald Trump. Bo obecna sytuacja ustawia nas w podwójnym uścisku: naszą wolność duszą Unia i zachodni sąsiad, a ten zza oceanu przypatruje się temu bez reakcji

Michał Karnowski rozmawia z Ryszardem Czarneckim, posłem do Parlamentu Europejskiego

Czy świat Zachodu, nasi sojusznicy, akceptują to bezprawie i tę przemoc, które wprowadza każdego dnia Donald Tusk? Czy to w ogóle jest dostrzegane?

Ryszard Czarnecki: Środowiska konserwatywne to widzą. Same często doświadczają podobnych represji, prześladowań, bezprawia. Są ośrodki liberalne i lewicowe, które może podzielają cele Tuska, ale przyjęte metody im się nie podobają. Natomiast gorzka prawda jest niestety taka, że dużej części światowego establishmentu to pasuje, bo „cel uświęca środki". Uważają, że to, co nazywają „populistyczną prawicą", w polskim przypadku znienawidzone przez nich Prawo i Sprawiedliwość, musi być zniszczone za wszelką cenę, nawet metodami *de facto* totalitarnymi.

Można usłyszeć opinie, że europejska i amerykańska lewica testują w Polsce możliwość użycia przemocy wobec prawicy, tak by całkowicie wyeliminować ją z polityki. Uważa pan to za możliwe?

Marzy im się taki scenariusz. Łączy ich przekonanie, że „nie ma wolności dla wrogów wolności", a to, kto jest tym wrogiem, określają też oni. Jeżeli to przeprowadzą, nadejdzie nie tylko koniec demokracji, lecz także wolności słowa, świętości prawa własności. W końcu każdemu oponentowi zabiorą wszystko, tak samo jak komuniści.

Dlaczego aż tak nienawidzą Prawa i Sprawiedliwości?

Po pierwsze dlatego, że jest od nich niezależne, bo za suwerena uważa polski naród, a nie Brukselę czy Berlin. Po drugie, bo PiS było skuteczne, dobrze rządziło przez osiem lat, wygrało dziewięć wyborów z rzędu. Po trzecie – i to jest najważniejsze – bo pokazało obywatelom ich państw, wszystkim Europejczykom i nie tylko, że możliwa jest inna polityka, że ich elity ich okłamują.

W jakim sensie?

W takim, że PiS pokazało wszystkim, jak wielkie jest „kłamstwo migracyjne", którym karmi się Europejczyków i Amerykanów. Przez lata wmawiano milionom ludzi, że trzeba sprowadzać migrantów z Afryki i Azji, bo inaczej gospodarka upadnie i wszyscy zubożeją. Okazało się, że Polska i w jakiejś mierze Węgry mogą się świetnie rozwijać, oferować dobrą jakość życia bez tego piekła masowej migracji z Afryki i Azji, którego doświadcza Europa Zachodnia.

> PiS pokazało wszystkim, jak wielkie jest to „kłamstwo migracyjne", którym karmi się Europejczyków i Amerykanów. Lewicowy establishment nie umie tego wybaczyć

Dlatego nasi bliżsi i dalsi sąsiedzi są zdziwieni, że wieczorem nie boimy się wyjść z domu, a w metrze jest czysto?

Bardzo często słyszę głosy zachwytu nad tym, co dla nas dzięki rządom PiS jest tak oczywiste. Koncerty bez przemocy, kąpieliska bez napaści, szkoły bez walki o to, by jedzenie było zgodne z kulturą muzułmańską. Ci, którzy wygrywali wybory, okłamując ludzi, którzy otwierając granice dla każdego imigranta, ściągnęli na swoje narody tyle bólu i cierpienia, dziś najbardziej nienawidzą tych, którzy udowodnili, że można inaczej. Także broniąc wschodniej granicy, co pokazało, że granic można skutecznie bronić przed migracją.

Parlament Europejski przegłosował właśnie pakt migracyjny, także głosami posłów koalicji rządzącej. Ale Donald Tusk obiecuje, że on nie wejdzie w życie. To możliwe?

On już wchodzi w życie. Albo zapłacimy w sumie miliardy, albo będziemy przyjmować gości z Afryki i Azji. Tusk może ugrać co najwyżej jakiś okres przejściowy, bo koledzy z Zachodu będą mu chcieli pomóc wyborczo. Ale potem ruszy lawina. Niestety, pod tą władzą skręcamy w bardzo złą stronę. Przemoc, którą stosuje ona w kraju, służy temu, by podporządkować polskie interesy siłom zewnętrznym.

Na tę przemoc i bezprawie patrzy też ambasador Stanów Zjednoczonych Mark Brzezinski. W obecnym systemie władzy jego zakulisowa rola jest ogromna. Za rządów PiS był zatroskany o prawa człowieka, praworządność i stan demokracji, obecnie albo milczy, albo sygnalizuje zadowolenie z obrotu spraw. Dlaczego?

Bo jest pasem transmisyjnym obozu, który również stosuje metody odległe od demokracji, choćby używając wymiaru sprawiedliwości do próby politycznego zabicia największego konkurenta, czyli Donalda Trumpa. Przecież w Ameryce byłego prezydenta próbowano utopić w zarzutach, pozwach, przeszukaniach jego posiadłości, przeciekach do mediów. To się wiele nie różniło od tego, co u nas po przejęciu władzy zastosował Tusk. Na pewno możemy powiedzieć, że Mark Brzezinski nie kojarzy się

eprasa.pl 77349d6db8

z amerykańską wolnością, nie działa jak przedstawiciel kraju, który ma wolność na sztandarach. Jest przedstawicielem establishmentu, dla którego ograniczanie wolności jest dobre, jeżeli służy ich politycznym przyjaciołom czy ludziom z podobnych politycznie środowisk.

Może chodzi o interesy?

Te akurat miały się świetnie za poprzedniego rządu, który wbrew ówczesnej opozycji postawił na zakupy amerykańskiej sprawdzonej broni i odrzucał niebezpieczne mrzonki o „strategicznej suwerenności Europy". A nawet gdyby chodziło o interesy, o to, by obecny rząd też kupował broń, to tak ostentacyjnie nie powinno się tego robić.

Czy ambasador Brzeziński pana zawiódł?

Myślę, że jest bardzo dobrym przykładem tego, że ambasadorowie USA zachowują się czasem jak słonie w składzie porcelany. Jednak najbardziej zadziwia jego oburzenie na każde krytyczne słowo, każde zwrócenie uwagi, że stał się stroną sporu politycznego w Polsce. Przy całym szacunku, żądanie, byśmy tego nie widzieli i nie nazywali po imieniu jest niemożliwe do spełnienia.

Powinien publicznie protestować przeciw bezprawiu Tuska?

Żyję już długo i wiem, że to niemożliwe. Ale na presję na obecne władze, by tego nie robiły, nie łamały tak otwarcie konstytucji, nie wsadzały do więzienia posłów opozycji nie było go stać. Tym upartym milczeniem zburzył budowany przez dekady tak bliski mojemu sercu wizerunek Ameryki, będącej strażnikiem demokracji na całym świecie. Ambasador Brzezinski porzucił tę rolę na rzecz roli funkcjonariusza partyjnego Partii Demokratycznej. Przypominają mi się słowa Henry'ego Kissingera, że ciężko jest być wrogiem Ameryki, ale przyjacielem też niełatwo.

Polacy wciąż ufają Ameryce – i dobrze!

Ale ziarno nieufności zostało zasiane. Gdy trzeba zareagować w imię wartości, pan ambasador umywa ręce, jest co najmniej Poncjuszem Piłatem. Patrzę na postawę Marka Brzezinskiego ze smutkiem, bo budzi ona nastroje niechętne USA i pewnie wbrew jego intencjom może zmierzać do dołączenia Polski do wielkiego antyamerykańskiego frontu w Europie Zachodniej. Dotąd byliśmy od tego wolni, a ambasador Brzezinski, nie wiem, na ile świadomie, pracuje, by to się zmieniło. Nie jest wielkim pocieszeniem, że nie on jeden działa w ten sposób. Mieliśmy ambasadora Ukrainy, który budził nastroje antyukraińskie, mamy ambasadora Izraela, który nie sprzyja budowaniu dobrych relacji izraelsko-polskich. Jak widać, dyplomacja to trudna sztuka, nie wszyscy się do niej nadają.

> Robienie dziś z Bidena „antyputinowskiego jastrzębia", a z Trumpa „przyjaciela Putina" jest obrazą dla intelektu i ludzkiej pamięci. Patrzmy na fakty i czyny, a nie tylko na słowa

Czy ludzie, którzy bronili amerykańskiego przywództwa w świecie przeciw planom zbudowania osi Moskwa–Berlin, walczyli o silne NATO, odrzucając niemieckie koncepcje samodzielnej Europy, dziś mają prawo czuć się zdradzeni przez Amerykę?

Mogą mieć poczucie, że Stany Zjednoczone w wydaniu prezydenta Joe Bidena i jego nominatów odeszły od amerykańskich ideałów, pozwalają, wręcz przyklaskują tłumieniu wolności w Polsce. Lecz apeluję, żeby broń Boże nie porzucać marzenia o wielkim sojuszu polsko-amerykańskim na gruncie wspólnych wartości: umiłowania wolności i obrony prawdziwej demokracji dla wszystkich. Ten sojusz będzie można realizować, gdy do władzy wróci Donald John Trump. I dlatego mówię jasno: Polsko, Polacy, idźmy z Trumpem!

Często pada argument: lepszy taki Biden niż Trump, który sugeruje zawarcie jakiegoś porozumienia z Putinem, dogadania się z Rosją w 24 godziny. Nie dziwię się, że niektórym ciarki przechodzą po plecach, gdy to słyszą. A pan mówi „Polsko, idźmy z Trumpem".

Bo patrzę na fakty, czyny, a nie tylko na słowa. Pamiętam, gdy Joe Biden był wiceprezydentem u Baracka Obamy i jedną z twarzy resetu z Rosją, który pośrednio przybliżył nas do obecnej wojny, dał Moskwie pieniądze i czas na zbrojenia. Robienie z niego zawsze antyrosyjskiego polityka jest bardzo śmieszne. Pamiętamy też Donalda Trumpa, który jako prezydent prowadził politykę powstrzymywania Rosji, hamowania jej wpływów, zdecydowanie stanął za naszym regionem, a zwłaszcza za Polską. To wówczas na naszej ziemi pojawili się amerykańscy żołnierze, to on zażądał, by NATO wzięło się do roboty, zaczęło się zbroić. To ten prezydent co najmniej dwukrotnie wygłosił przepiękne, prawdziwe przemówienia o polskiej historii: w Warszawie, gdzie nawiązał do powstania warszawskiego i w USA z okazji Dnia Kościuszki. Robienie dziś z Bidena „antyputinowskiego jastrzębia", a z Trumpa „przyjaciela Putina" jest obrazą dla intelektu i ludzkiej pamięci.

To dominująca narracja mediów, które wmawiają, także wyborcom prawicy, że albo Biden, albo przyjaciel Rosji, czyli albo demokraci i lewacka polityka, albo triumfujący putinowscy zbrodniarze.

To jest budowanie gmachu kłamstwa! Mam wielką pretensję do premiera Tuska i obu jego wicepremierów, że za jakieś nędzne koraliki, pochwałę w Berlinie sami biegną do antytrumpowego obozu. W tym samym czasie były brytyjski premier, obecnie szef dyplomacji, David Cameron, spotyka się najpierw z Donaldem Trumpem, a zaraz potem z Joe Bidenem. Polska jako państwo musi grać na dwa fortepiany, utrzymywać relacje z obiema stronami politycznej sceny amerykańskiej. Natomiast z polskiego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby wygrał Trump. Bo obecna

eprasa.pl 77349d6db8

sytuacja ustawia nas w podwójnym uścisku: naszą wolność duszą Unia Europejska i zachodni sąsiad, a ten zza oceanu przypatruje się temu bez reakcji. W tej sytuacji Trump jest nadzieją prawicy.

Wiem, że w PiS są nawet koncepcje objazdu po Stanach Zjednoczonych i mobilizowania Polonii, by głosowała za kandydatem republikanów. Popiera pan ten plan dania pełnej mocy na Trumpa?

To nie powinna być oficjalna polityka Prawa i Sprawiedliwości, żadna uchwała, ale jako samodzielni politycy mamy prawo do takiej opinii i takiego działania. Nie powinniśmy unikać kontaktów ze środowiskiem Donalda Trumpa, powinniśmy je świadomie budować, powinniśmy postawić na Trumpa. Jedną z takich okazji będzie spotkanie na Węgrzech w ramach CPAC – Conservative Political Action Comference. Doprawdy, nie jest to wielce ryzykowna inwestycja.

A co, jeśli dzień po przejęciu władzy, czyli w styczniu 2025 r., Trump pojedzie do Putina i „sprzeda" część Ukrainy czy całą?

A jakie ma pan gwarancje, że tego samego w pewnym momencie nie zrobi prezydent Biden? Nie ma żadnych.

Jednak administracja Bidena zapewnia, że nie pozwoli Ukrainie upaść, wdraża pakiety pomocy – blokowane przez Kongres z republikańską większością.

Mam tu złe wiadomości. Przypomnę wypowiedź prezydenta Bidena sprzed kilku miesięcy, że „trzeba dogadać się z Putinem". Jak potem pospiesznie dodał: „pod pewnymi warunkami". Ale ona padła! Trump mówi dziś językiem, który niestety nie jest obcy także dużej części demokratycznego establishmentu, świadomego, jak wielkim wyzwaniem jest rywalizacja z Chinami. Ogólnie rzecz biorąc, musimy mieć świadomość, że bez względu na to, kto wygra tegoroczny wyścig do Białego Domu, będzie szedł w kierunku zakończenia wojny w Europie Środkowo-Wschodniej. Główne cele polityczne i militarne Ameryki zostały już osiągnięte.

Republikanie będą szli szybciej?

Niekoniecznie. Republikanie blokują pakiety pomocy dla Kijowa, bo chcą wymusić na administracji Bidena ochronę granicy z Meksykiem. Argumentują, że nie rozumieją, dlaczego mają płacić na walkę o bezpieczeństwo Ukrainy, gdy przez ich granicę wlewa się rzeka nielegalnych migrantów. Kiedy więc wygrają i zabezpieczą granicę USA, ten argument zniknie. Sprawa jest więc bardziej skomplikowana niż nam się przedstawia.

Jak w pańskiej ocenie może się zakończyć ta wojna? Jak może wyglądać Trumpowy pokój?

Brak traktatu pokojowego, bo Ukraina nie zgodzi się i nikt na niej nie wymusi formalnego zrzeczenia się Krymu i Donbasu. Ciągnące się latami zawieszenie broni z jednoczesnym silnym wsparciem militarnym Ukrainy przez Zachód i nasyceniem tego kraju amerykańskimi inwestycjami, co siłą rzeczy zwiąże bezpieczeństwo Ukrainy z interesem USA. Żeby było jasne: mam bardzo krytyczny stosunek do wypowiedzi wielu polityków ukraińskich na temat Polski, ich orientację na Berlin uważam za fatalną, ale uważam, że nikogo nie wolno przymuszać do pokoju za wszelką cenę. W naszym interesie jest przetrwanie samodzielnej Ukrainy, która broni swojej integralności terytorialnej.

> Niestety ambasador Mark Brzezinski nie kojarzy się z amerykańską wolnością, nie działa jak przedstawiciel kraju, który ma wolność na sztandarach. Porzucił tę rolę na rzecz roli funkcjonariusza partyjnego Partii Demokratycznej

Już słyszę głosy krytycznych czytelników, którzy wyciągają niedawną wypowiedź Trumpa, że nie będzie bronił tych, którzy nie wydają na obronność obiecanych 2 proc. PKB.

I bronię w tej sprawie Trumpa! Co ma mówić były, a może i przyszły prezydent państwa, które za pieniądze swoich podatników zapewnia bezpieczeństwo krajom Europy, a te śmieją mu się w twarz, wprost z niego kpią? Rządzona przez socjalistów Hiszpania jeszcze niedawno wydawała na obronność poniżej 1 proc. PKB! Włochy rządzone przez lewicę wydawały 1,17 proc., Niemcy od 1,2 do 1,4 proc. Kraje bardzo zamożne, jak Holandia, Belgia, a także RFN mówią, że nie zamierzają osiągać ustalonego poziomu 2 proc. PKB nawet przez najbliższe kilka lat. Na Trumpa można się wściekać, tupać i oburzać, ale on ma rację. Więcej – dzięki presji, którą wywiera, w niektórych krajach te wydatki wzrosły, np. w Niemczech. Poza Polską z jej 4 proc. PKB na obronność, Grecją, Turcją, Wielką Brytanią, państwami bałtyckimi – resztę trzeba poganiać. Trumpowi powinno się zatem dziękować za wymuszanie większych wydatków na obronność. Chwalić go, a nie krytykować.

Jak ocenia pan szanse Trumpa na zwycięstwo? Nominacje wywalczył w brawurowym stylu, po prostu rozniósł konkurentów. Ale ma słabe punkty – duży elektorat negatywny, słabsze poparcie wśród kobiet. Choć próbuje to zmieniać, np. niuansując swoje stanowisko wobec postulatu zakazu aborcji na poziomie federalnym, chce to pozostawić poszczególnym stanom.

Na sondaże należy patrzeć z dystansem, bo w amerykańskim systemie wyborczym decydują głosy elektorów wybieranych w poszczególnych stanach. Najważniejsze są nastroje w tzw. swing states, czyli w tych stanach, które nie są jednoznacznie prodemokratyczne lub prorepublikańskie. Tam Trump na razie ma przewagę. Dziś wydaje się faworytem.

eprasa.pl 77349d6db8

Wyprostowani i gotowi

Co nam mówią wyniki wyborów samorządowych 7 kwietnia 2024 r.? Wbrew marzeniom Donalda Tuska partia Jarosława Kaczyńskiego nie jest liczona, tylko mocno stoi na nogach, gotowa do walki w kolejnych rundach

Fot. PiS

STANISŁAW JANECKI

Pierwsza tura wyborów samorządowych (7 kwietnia 2024 r.) miała być negatywnym szokiem dla polityków i zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, a jest szokiem dla ich politycznych przeciwników, czyli obecnej koalicji rządzącej.

Głosując, Polacy mieli „zabrać" Prawu i Sprawiedliwości nawet Podkarpacie. Wyniki miały dobijać tę partię i wskazywać, że nie ma ona przyszłości. Zresztą hasła ugrupowań rządzącej obecnie koalicji w ogromnej większości dotyczyły likwidacji wpływów PiS w samorządach, anihilacji tej partii. To miała być nie walka o Polskę, o lokalne sprawy, lecz wojna przeciwko partii kierowanej przez Jarosława Kaczyńskiego. Wybory miały pokazać, że PiS ma przeciwko sobie przede wszystkim młodych wyborców i kobiety, że utraciło wpływy na polskiej wsi. Wyniki wyborów samorządowych pokazały, iż nie tylko nie przetrącono kręgosłupa Prawu i Sprawiedliwości, ale już w wyborach europejskich (9 czerwca 2024 r.) będzie ono mogło przejść do ofensywy.

eprasa.pl 77349d6db8

Partia Jarosława Kaczyńskiego nie tylko „ustała" pod wielką lawiną ciosów, lecz także jest wyprostowana i gotowa do zadawania punktowych uderzeń. Nawet niemieckie media, np. „Frankfurter Allgemeine Zeitung", po wyborach 7 kwietnia 2024 r. zauważyły, że PiS trzyma się mocno, wbrew oczekiwaniom premiera Donalda Tuska i rządzącej obecnie koalicji, a żadna inna partia w Polsce nie ma tak wiernego elektoratu.

Nie utrzymała się wielka mobilizacja z wyborów parlamentarnych 15 października 2023 r. (głosowało wtedy 74,38 proc. uprawnionych), skoro frekwencja 7 kwietnia 2024 r. wyniosła 51,94 proc. Oznacza to rozczarowanie obecnie rządzącymi nawet wśród tych, którzy pół roku temu stali w kolejkach do urn jeszcze grubo po północy.

Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Nowa Lewica tworzą wprawdzie 248-mandatową większość, ale jeszcze w 2024 r. może się ona okazać bardziej krucha niż 235-mandatowa większość Prawa i Sprawiedliwości po wyborach w 2015 i 2019 r. W rządzącej koalicji zaczynają się już wewnętrzne wojenki o wpływy i podział łupów, a to dopiero cztery miesiące rządzenia. Gdyby rządzący przegrali w 2025 r. wybory prezydenckie z kandydatem PiS, mogłoby dojść do rozpadu koalicji i przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jedno jest pewne: mimo przewagi w sejmikach wojewódzkich i w zdecydowanej większości miast rządząca koalicja nie ma powodów do triumfalizmu, a prawdziwe kłopoty dopiero przed nią.

ZWYCIĘZCY W WOJEWÓDZTWACH
POPARCIE DLA TYCH UGRUPOWAŃ (W %)

Źródło: PKW

KOLEJNY REKORD PiS

Kobiety nieznacznie (wedle exit poll Ipsosu, ale innych danych na razie nie ma), ale jednak częściej głosowały na PiS (33,4 proc. w stosunku do 33 proc. głosów na KO).

Wśród wyborców w grupie wiekowej 18–29 lat najwięcej głosów (24,2 proc.) oddano na kandydatów KO, ale przewaga nad PiS (21,6 proc.) jest niewielka, choć miała być ogromna.

Podstawy do optymizmu w przypadku PiS i pesymizmu w przypadku partii rządzącej koalicji są mocne: Prawo i Sprawiedliwość osiągnęło najlepszy „partyjny" wynik w historii wyborów samorządowych od 1998 r., gdy zaczęły obowiązywać obecne reguły gry. W wyborach do sejmików wojewódzkich 7 kwietnia 2024 r. partia ta uzyskała rekordowe od 1998 r. 34,27 proc. poparcia. Drugi najlepszy wynik też należy do PiS – w 2018 r. poparło je 34,13 proc. głosujących. Następne pod względem najlepszych wyników w sejmikach wojewódzkich są Akcja Wyborcza Solidarność w 1998 r. (33,32 proc.), Sojusz Lewicy Demokratycznej w 1998 r. (31,83 proc.), Platforma Obywatelska w 2010 r. (30,89 proc.) i dopiero na szóstym miejscu Koalicja Obywatelska w 2024 r. (30,59 proc.). W przypadku rad powiatów rekord padł w 2018 r. – na PiS oddano wtedy 30,46 proc. głosów (wobec 12,29 proc. na KO), ale i w 2024 r. różnica między PiS (29,94 proc.) a KO (16,21 proc.) jest nokautująca.

Zwraca uwagę nie tylko bardzo wysokie poparcie rolników dla partii Jarosława Kaczyńskiego, lecz także zjednanie sobie robotników (cały czas wedle badania exit poll Ipsosu). Aż 57,3 proc. rolników głosowało na PiS, 15,1 proc. poparło Trzecią Drogę, a KO zdobyła w tej grupie zaledwie 9,6 proc. poparcia, czyli mniej więcej tyle, co Konfederacja (9,3 proc.). Gdy chodzi o głosy mieszkańców wsi, czyli nie tylko rolników, to największym poparciem wśród nich również cieszy się PiS (43,2 proc.) i jest to o 3,3 pp. więcej w porównaniu z wyborami samorządowymi w 2018 r. Druga na wsi KO

eprasa.pl 77349d6db8

uzyskała 20,6 proc. poparcia. Jak rolnicy głosowali w pierwszej kolejności na PiS, tak i wśród robotników największe poparcie otrzymała partia Jarosława Kaczyńskiego – zdobyła 44,5 proc. ich głosów. KO poparło 19,6 proc. robotników. Wynik głosowania rolników i robotników jest o tyle ważny, że to grupy społeczne mające realne możliwości zmiany władzy, choćby poprzez protesty na wielką skalę.

Wcale nie jest tak, że Prawo i Sprawiedliwość to tylko partia emerytów i rencistów. W tej grupie ugrupowanie uzyskało wprawdzie poparcie 42,6 proc. wyborców, ale Koalicja Obywatelska niewiele mniej – 36,2 proc. 50-latkowie (50–59 lat), uważani za grupę najbardziej stabilną pod względem preferencji, najczęściej głosowali na PiS – 38,3 proc. (na KO – 31,5 proc.). W miarę stabilni są też wyborcy w wieku 40–49 lat i ci najczęściej głosowali na KO (32,8 proc.), ale wynik PiS jest niewiele gorszy (29,8 proc.). Niewielkie są też różnice w preferencjach wyborców w wieku 30–39 lat – na KO głosowało 28,3 proc., a na PiS – 26,4 proc.

Nie takie proste jak się wydaje politykom, zwolennikom i sympatykom Platformy Obywatelskiej ze świata akademickiego są preferencje wyborcze ze względu na wykształcenie. PiS wprawdzie wygrywa w grupie z wykształceniem podstawowym (53 proc.), ale także wśród osób z wykształceniem średnim i pomaturalnym – 35,1 proc. (KO – 30,3 proc.). Wyborcy z licencjatem lub dyplomem wyższej uczelni w większości głosowali na KO (39,2 proc. wobec 22,4 proc. głosów na PiS), ale to raczej wynik politycznego ukierunkowania własnych aspiracji i kompleksów, a nie dowód na to, że ugrupowanie Tuska wykształconymi stoi. Zresztą odsetek osób mających wyższe wykształcenie przekroczył już w Polsce 50 proc. i nie jest to czynnik zasadniczo wpływający na polityczne wybory, a tym bardziej nie wskazuje to na większą polityczną świadomość osób z licencjatami i dyplomami.

LICZBY PRZESILENIA

Koalicja Obywatelska cieszy się największym poparciem w miastach, i to właściwie niezależnie od liczby mieszkańców. Według sondażu Ipsos KO zdobyła 48 proc. głosów w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców, gdzie PiS ma ok. 20 proc. zwolenników. To wynika głównie z fałszywego podziału klasowego, czyli przekonania dużej części mieszkańców miast (także tych, którzy niedawno się do miast przeprowadzili), że przez samo miejsce zamieszkania wyróżniają się klasowo i statusowo. A skoro za strażniczkę tego statusu podaje się partia Donalda Tuska, to „lepiej" na nią głosować.

> Nie utrzymała się wielka mobilizacja z ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych (głosowało wtedy 74,38 proc. uprawnionych), skoro frekwencja 7 kwietnia 2024 r. wyniosła 51,94 proc. Oznacza to rozczarowanie obecnie rządzącymi nawet wśród tych, którzy pół roku temu stali w kolejkach do urn jeszcze grubo po północy

W porównaniu do wyborów w 2018 r. PiS odnotowało niższy wynik w miastach między 51 tys. a 200 tys. mieszkańców (spadek z 29,7 proc. do 26,5 proc.) oraz w miastach między 201 tys. a 500 tys. mieszkańców (spadek z 26,3 proc. do 22,7 proc.). Oznaczałoby to, że miejskość nabiera coraz bardziej klasowego zabarwienia i jest traktowana jako awans społeczny bądź przynależność do grupy społecznej mającej wyższy status.

Interesujące są jednak inne dane, czyli te dotyczące miast do 50 tys. mieszkańców. Tam KO uzyskała 33,5 proc. głosów, a PiS 31,4 proc. W wyborach samorządowych w 2018 r. KO przegrała z PiS w miastach do 50 tys. mieszkańców (25,9 proc. wobec 31,2 proc.). Ta zmiana w miastach do 50 tys. mieszkańców była też widoczna w wyborach parlamentarnych w październiku 2023 r. To oznacza podobne przekształcenia świadomości jak w wielkich miastach i chęć uzyskania przez wyborców miejskiego (prawie wielkomiejskiego) statusu. Wpływ na zmianę preferencji głosowania miały też niektóre rozwiązania w ramach Polskiego Ładu, które w miastach tej wielkości zostały przyjęte negatywnie, szczególnie wśród drobnych przedsiębiorców.

Frekwencja w 2024 r. była niższa niż przed sześcioma laty (wtedy 54,9 proc.), co oznacza, że nastąpiło skumulowane (biorąc pod uwagę wysoką frekwencję w wyborach parlamentarnych w 2023 r. – 74,38 proc.) zniechęcenie i do sensu mobilizowania się, i do skutków takiej nadzwyczajnej aktywności wyborczej. Część wyborców poczuła się oszukana, a co najmniej okłamana, bo zrobili swoje, a obecnie rządzący praktycznie niczym im się nie odpłacili. Albo tym, na czym im aż tak bardzo nie zależało, np. finansowaniem z budżetu procedury in vitro.

W ciągu czterech miesięcy rządów koalicji 13 grudnia okazało się też, że systematycznie i z uporem zabija ona szanse rozwojowe Polski, o czym świadczy choćby zagrożenie ważnych inwestycji, np. Centralnego Portu Komunikacyjnego czy fabryki Intela. Ta koalicja podnosi podatek na żywność, nie chce zastopować skokowego wzrostu cen energii od 1 lipca 2024 r., okpiła wyborców z cenami paliwa, a jeszcze bardziej oszukała z kwotą wolną od podatku (60 tys. zł). To wszystko miało wpływ na frekwencję, szczególnie gdy rządzący liczyli na to, że będzie ona manifestacyjnie rekordowa i przypieczętuje wsparcie

eprasa.pl 77349d6db8

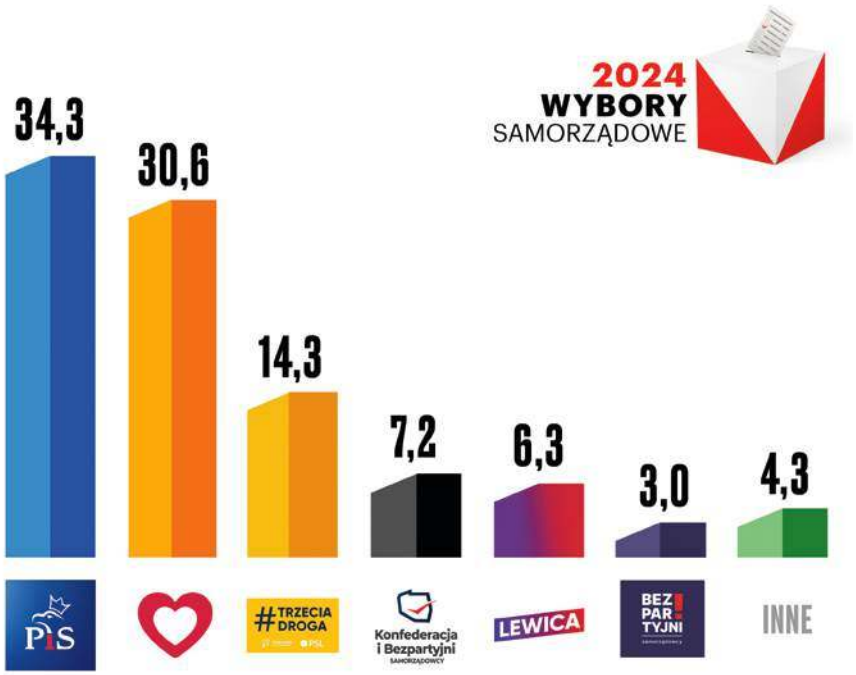

GŁOSOWANIE DO SEJMIKÓW WOJEWÓDZKICH
POPARCIE DLA POSZCZEGÓLNYCH PARTII

Źródło: PKW

dla nich. Nieprzypadkowo najwięcej, jeśli chodzi o frekwencję, straciły miasta liczące 101–200 tys. mieszkańców, gdzie do urn poszło 47,48 proc. uprawnionych, te liczące 51–100 tys. mieszkańców – 47,50 proc. oraz 201–500 tys. mieszkańców – 49,51 proc., a najmniej – wieś. Frekwencja była najwyższa w gminach do 5 tys. mieszkańców – 57,87 proc.

Gdy chodzi o poszczególne województwa, to najniższa frekwencja była w opolskim – 46,43 proc. oraz śląskim – 48,66 proc., zaś najwyższa w mazowieckim – 56,99 proc. oraz świętokrzyskim – 55,36 proc. Na wsi do urn poszło 54 proc. uprawnionych, co oznacza najniższy spadek w stosunku do 2018 r. – o 0,3 pp. W miastach powyżej 500 tys. mieszkańców frekwencja spadła o 5,6 pp., w miastach mających 201–500 tys. - o 3,7 pp., w miastach do 50 tys. mieszkańców spadek wyniósł 2,6 pp., a w miastach liczących 51–200 tys. mieszkańców frekwencja spadła w stosunku do 2018 r. o 2 pp.

> Aż 57,3 proc. rolników głosowało na PiS, 15,1 proc. poparło Trzecią Drogę, a KO zdobyła w tej grupie zaledwie 9,6 proc. poparcia, czyli mniej więcej tyle, co Konfederacja (9,3 proc.). Gdy chodzi o głosy mieszkańców wsi, czyli nie tylko rolników, to największym poparciem wśród nich również cieszy się PiS (43,2 proc.)

REWANŻ ZA OSZUSTWA

Wybory samorządowe (tylko pierwsza tura, ale ona decyduje o tendencjach) nie okazały się dobiciem Prawa i Sprawiedliwości, ale wyraźnym odbiciem tej formacji. Wbrew marzeniom Donalda Tuska partia Jarosława Kaczyńskiego nie jest liczona, tylko mocno stoi na nogach, gotowa do walki w kolejnych rundach. To nastraja jej zwolenników optymistycznie przynajmniej przed wyborami europejskimi (9 czerwca 2024 r.), do prezydenckich w 2025 r. jest jeszcze zbyt daleko, żeby coś przesądzać.

Po czterech miesiącach rządzenia Tuska widać, że u wyborców nastąpiła konfrontacja kampanijnej fikcji z rzeczywistością rządzenia. Wielu pojęło, że rządzenie okazuje się oszustwem, a nawet gorzej, bo bezprecedensowym łamaniem prawa, konstytucji i kanonów demokracji, niszczeniem instytucji i firm. Niewątpliwie przed i w czasie wyborów parlamentarnych wielu Polaków zostało zaczadzonych bezprecedensowymi kłamstwami oraz niebywałym poziomem nienawiści wobec politycznych przeciwników. I wydaje się, że u części zwolenników obecnego układu rządzącego to zaczadzenie mija. Część wyborców nie chce przykładać ręki do tego, do czego przyczynili się 15 października 2023 r. Ale inna część wyborców rządzącego układu na brak sukcesów może reagować jeszcze większymi naciskami, by brać odwet i mścić się na poprzedniej władzy, prezydencie Andrzeju Dudzie, prezesie NBP prof. Adamie Glapińskim oraz tysiącach innych osób. To zresztą chyba plan samego Donalda Tuska, który uważa, że tylko w ten sposób jest w stanie udowodnić, iż naprawdę rządzi, a nie tylko symuluje rządzenie. Że utrzyma w społeczeństwie antypisowską psychozę, która mobilizuje zwolenników i nadaje sens ich politycznej aktywności.

Widać, że w PiS marginale są już pesymizm i poczucie bezradności, że partia odzyskuje zaufanie wyborców, a wśród rolników jest bardzo silna, na co wpływ mają protesty tej grupy, wobec których władza wykonuje tylko pozorne ruchy. Już mamy odmowę części wyborców legitymizowania rządów koalicji 13 grudnia, a następnie będzie rewanż za zawiedzione nadzieje i zwyczajne oszustwa.

eprasa.pl 77349d6db8

Chore miasta

Podczas wyborów w dużych miastach nie chodzi o sprawne zarządzanie ani wielkie wizje rozwoju. Aspirujący wielkomiejski wyborca potrzebuje raczej taniego blichtru, który stłumi jego kompleksy. To jest prawdziwa przyczyna sukcesu partii Tuska w walce o miejski elektorat

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Demokracja opiera się na politycznej rywalizacji różnych, niekiedy przeciwstawnych, wizji państwa i społeczeństwa. Co do zasady wybory wygrywa więc ten, kto przekona do swojej koncepcji większą liczbę głosujących. Taki schemat został mocno utrwalony w naszych głowach i bardzo dobrze, bo jest prawidłowy. Jednak mało kto dostrzega, że dzisiejsza demokracja, czy raczej to, co z niej zostało, ma z tym schematem niewiele wspólnego. Dotyczy to w równej mierze Europy Zachodniej i Polski.

PROGRAM SIĘ NIE LICZY

Dzisiaj wybory to bardziej rytuał niż starcie różnych wizji politycznych. Właściwa walka odbywa się bowiem gdzie indziej: w mediach lub na polu kultury. I to właśnie tam dochodzi do rozstrzygnięć, które ostatecznie przekładają się na wyniki wyborów. Dowodzą tego chociażby niedawne wybory samorządowe w Polsce. Gdyby bowiem chodziło w nich wyłącznie o ocenę dotychczasowych dokonań władz samorządowych – sposobu, w jaki zarządzają powierzoną im gminą czy o wizję jej rozwoju, to właściwie niemal w całej Polsce powinno dojść do politycznego pogromu obecnych burmistrzów, pre-

Fot. Wojciech Olkuśnik/East News

eprasa.pl 77349d6db8

zydentów miast lub radnych. Jednak nic takiego się nie stało. Przeciwnie – większość władz samorządowych, zwłaszcza w miastach, otrzymała kredyt zaufania od wyborców na kolejne pięć lat.

Podczas głosowania wyborcy kierowali się więc zupełnie innymi kryteriami, niż wynikałoby to z przytoczonego na wstępie schematu. Nie chodziło o sprawczość władz samorządowych, wizję rozwoju miast ani przedstawiony program, lecz o coś zupełnie innego i niemającego nic wspólnego z samorządem. Tym, co przesądziło o wynikach wyborów w miastach, były kulturowe aspiracje miejskich wyborców, a te – w mniemaniu większości z nich – najlepiej zaspokajała partia Donalda Tuska.

Nie są to aspiracje zbyt wygórowane, bo przeciętny miejski wyborca nie jest przecież szczególnie wyrafinowany, jednak wystarczająco silne, aby odebrać mu choćby szczątkową zdolność samodzielnego, krytycznego myślenia. Co jednak znacznie gorsze, taki wyzbyty zdolności intelektualnych wyborca staje się przyczyną powolnej agonii demokracji. Polityk nie musi się z nim liczyć, dobrze bowiem wie, że i tak zostanie wybrany.

W Warszawie Rafał Trzaskowski nie musiał się fatygować na debaty kandydatów, mógł je po prostu ignorować (wystąpił jedynie w rządowej TVP), bo zdawał sobie sprawę z tego, że i tak zostanie wybrany na kolejną kadencję. Złośliwi mawiają, że w Warszawie (i wielu innych miastach) PO mogłaby wystawić w wyborach nawet wiadro, a zostałoby ono wybrane na prezydenta. To niestety prawda. Nie świadczy to dobrze ani o stanie demokracji, ani – tym bardziej – o wyborcach, zwłaszcza tych z dużych miast, którzy uważają się, zresztą zupełnie bezpodstawnie, za awangardę demokracji i wolności w Polsce.

STODOŁA Z FLAGĄ UNII

Tegoroczne wybory samorządowe – co pokazały ich wyniki – były kolejną odsłoną wojny kulturowej między miastem a prowincją. W małych ośrodkach i na wsi górą było konserwatywne PiS, podczas gdy w miastach triumfowała Platforma lub – nieco rzadziej – różnej maści reprezentanci obyczajowej lewicy.

Miasta w Polsce oderwały się od reszty kraju mentalnie, ekonomicznie oraz politycznie i szybują teraz na zatracenie. Ich mieszkańcy w większości chcą uciec od swojej tożsamości i rozpuścić się w unijnym kotle, byleby nic nie pozostało z ich własnych korzeni, których się wstydzą i którymi pogardzają.

Dzięki zręcznemu marketingowi politycznemu rządy PO dają miejskiemu wyborcy poczucie przynależności do innego, „lepszego" świata i gwarantują mu, że nikt już nie cofnie tego procesu. Że wkrótce wyleczy się on ze swoich kompleksów i na zawsze zniknie w unijnym tyglu. W takiej optyce PiS – ze swoją obroną polskiej tradycji i tożsamości – dla wielu miejskich lemingów jest przeszkodą na ich drodze do celu, egzystencjalnym wrogiem i powodem do wstydu.

> Miasta w Polsce oderwały się od reszty kraju mentalnie, ekonomicznie i politycznie. Ich mieszkańcy w większości chcą uciec od swojej tożsamości i rozpuścić się w unijnym kotle

O potędze tych kompleksów mogą świadczyć wyniki wyborów na prezydentów miast. Poczesne miejsce zajmują tutaj Warszawa, Gdańsk i Łódź, gdzie dotychczasowi włodarze Rafał Trzaskowski, Aleksandra Dulkiewicz i Hanna Zdanowska z impetem wygrali już w pierwszej turze. Trójkę wspomnianych zwycięzców łączy nie tylko przynależność do PO, lecz także nieudolność w zarządzaniu miastem. Nie przeszkodziło im to jednak w zdobyciu ponad połowy głosów wszystkich wyborców.

Kilka obrazków ze wspomnianych miast. Łódź jest dzisiaj smutnym cieniem dawnej przemysłowej metropolii, od lat rozkopana, z podupadłą komunikacją i przede wszystkim coraz bardziej wyludniona. Co bardziej ambitni już dawno z niej uciekli, sam mam w Warszawie wielu znajomych pochodzących z tego miasta, którzy ze smutkiem obserwują jego degradację.

Gdańsk – teoretycznie bardzo bogate miasto portowe, jedno z polskich okien na świat. W praktyce wygląda to inaczej. Każdy, kto przyjeżdża pociągiem do tego miasta, pierwsze, co widzi, to brudne, wiecznie remontowane przejście podziemne, pozbawione schodów ruchomych i wind przy wyjściu w stronę Starego Miasta oraz od lat nieczynny dworzec. Znacie jakieś dobrze zarządzane miasto, które przez kilka lat nie potrafiłoby ukończyć remontu przejścia podziemnego (o niewielkim dworcu nie wspominając)? Jeśli tak wyglądają inwestycje w reprezentacyjnym centrum Gdańska, to lepiej nie myśleć, jak jest w głębi miasta.

Wreszcie Warszawa. Komunikacja miejska jest może lepsza niż w Gdańsku, gdzie na wielu liniach autobusy kursują zaledwie kilka razy w ciągu dnia, ale w Śródmieściu jest już równie „europejsko", co w stolicy Pomorza. W Warszawie od ćwierćwiecza mamy dziurę nad stacją metra Centrum oraz wciąż niezagospodarowany pl. Defilad przed Pałacem Kultury. Nowe inwestycje w mieście wyglądają ładnie wyłącznie na wizualizacjach. Ostatecznie zawsze kończy się tak samo – kupa betonu i asfaltu oraz rachityczne drzewka (niektóre z nich sprowadzano aż z Niemiec). Symbolem rządów Trzaskowskiego była październiowa „strefa relaksu" na pl. Bankowym – kilka drewnianych leżaków na parkingu postawionych za 1 mln zł. Jeden z użytkowników platformy X (d. Twitter) napisał szyderczo, że szanuje Trzaskowskiego za to, że ten „w jedną małą kadencję robi takie rzeczy, na które dwóch szwagrów na działce potrzebuje całego popołudnia".

Rafał Trzaskowski nie wywiązał się z większości swoich obietnic, ale nie musiał tego robić. Wystarczyło bowiem, że przed wyborami przejechał się tramwajem i otworzył kładkę przez Wisłę, aby wygrać w cuglach. Po co ma się więc starać i przemęczać, skoro wyborcy i tak oddadzą na niego głos?

eprasa.pl 77349d6db8

Tak samo jest w większości pozostałych miast. Wszyscy dobrze wiemy, że miejskim wyborcom nie chodzi o dobre rządy ani wspólną przestrzeń. Możemy mieszkać choćby w rozklekotanej stodole na błocie, byleby tylko obok powiewała europejska flaga.

POZNAŃSKI WYJĄTEK

Od tej zasady są drobne wyjątki. Dużym zaskoczeniem ostatnich wyborów okazał się Poznań – miasto bardziej platformerskie niż gdański matecznik Tuska. Miejscowi zawsze mi tłumaczyli, że to taka poznańska specyfika. Tutejsi wyborcy zawsze głosowali z prądem, zachowawczo, bo poznaniacy nie lubią jakichkolwiek zmian i rewolucji. A Platforma była dla nich siłą zachowawczą.

Przed wojną podobną rolę odgrywała tu endecja. Poznańscy mieszczanie nie darzyli sympatią Piłsudskiego i sanacji – nie tylko dlatego, że marszałek pochodził z Kongresówki, lecz także dlatego, że wywodził się z radykalnego nurtu politycznego i uchodził tu za politycznego obsesjonata. Dziś wielu z nich z takim samym dystansem patrzy na PiS.

Dużą niespodzianką był więc sukces Zbigniewa Czerwińskiego, kandydata tej partii na prezydenta miasta, który z rezultatem 20 proc. głosów zdołał wejść do drugiej tury wyborów. Umożliwił to relatywnie słaby wynik rządzącego miastem od dwóch kadencji Jacka Jaśkowiaka z PO, który otrzymał 43 proc. głosów. Jaśkowiak, choć z Platformy, został ukarany przez poznaniaków za tragiczny remont Starego Rynku, który, ciągnąc się w nieskończoność, pozbawił mieszkańców ulubionego miejsca spotkań, a miejscowych restauratorów dochodów. Jego ostateczny efekt okazał się zresztą równie odległy od wizualizacji, co inwestycje w Warszawie.

Oczywiście Jaśkowiak nadal jest faworytem wyborów, ale w porównaniu do swoich równie nieudolnych kolegów i koleżanek z innych miast wypadł bardzo blado. Czasami więc zbyt ostentacyjne lekceważenie wyborców może skończyć się żółtą kartką.

Niewykluczone jednak, że i tym razem dała o sobie znać specyfika Poznania. W odróżnieniu od pozostałych dużych metropolii (być może za wyjątkiem Krakowa) to miasto utrzymało swoją oryginalną tkankę społeczną. Bo choć tak jak wszędzie przybywa tutaj przyjezdnych, to nadal przeważają mieszkańcy żyjący w Poznaniu od pokoleń. A tym zależy na ich mieście. I choć w większości popierają PO, to tym razem lokalna tożsamość wzięła górę nad „europejskimi aspiracjami". Jaśkowiak po prostu przesadził z bałaganem i nieudolnością.

> Dzisiejsze miasta wcale nie są bastionami wolności, kultury i demokracji. Jest dokładnie odwrotnie – to skupiska egoizmu, chamstwa, drobnomieszczańskiej głupoty, zaścianka i kompleksów

POJEDYNKI W DRUGIEJ TURZE

Ciekawe są przypadki Krakowa i Gdyni. W obu miastach – podobnie jak w Poznaniu – dojdzie do drugiej tury. Będą to jednak zupełnie inne pojedynki niż w stolicy Wielkopolski. Przede wszystkim w żadnym z nich nie wystąpi dotychczasowy prezydent miasta. Jacek Majchrowski z Krakowa nie kandydował w tych wyborach, a Wojciech Szczurek z Gdyni nie dostał się do drugiej tury.

Zarówno w Krakowie, jak i w Gdyni w drugiej turze znaleźli się kandydaci PO, którzy zmierzą się z lewicowymi aktywistami. Przy czym jest to dość specyficzna lewica. W Gdyni reprezentuje ją bezpartyjna prawniczka i działaczka tzw. strajku kobiet Aleksandra Kosiorek. Z kolei w Krakowie naprzeciwko Aleksandra Miszalskiego z PO stanie Łukasz Gibała, aktywista miejski popierany przez partię Razem i zarazem syn zamożnego, lokalnego dewelopera. Nie ma więc mowy o starciu dwóch kultur politycznych tak jak w Poznaniu, bo w Gdyni i Krakowie po obu stronach mamy przedstawicieli tej samej elity. Co więcej, w Gdyni faworytką jest osoba bardzo wyrazista światopoglądowo i radykalna, co raczej trudno uznać za atut w przypadku prezydenta miasta. Chyba że wyborcom w Gdyni nie chodzi o załatwianie lokalnych spraw, ale o ideologię. Potwierdza to jedynie tezę, że w tych wyborach nie idzie o czyste ulice, lecz o walkę kulturową.

W Krakowie sytuacja jest nieco inna. W tym sensie, że to kandydat PO Aleksander Miszalski odgrywa rolę radykalnego antypisowca. Zadziwia fakt, że w dość zachowawczym i konserwatywnym mieście, jakim ciągle jest Kraków, fawory mieszkańców zdobywa człowiek, który prezentował się w internecie z narysowanymi na czole wulgarnymi ośmioma gwiazdkami. Miszalski był również właścicielem hosteli w Krakowie, nazywano go nawet z tego powodu „turystycznym baronem".

Trzeba wiedzieć, że krakowskie hostele są plagą miasta, to właśnie do nich ściągają, ze względu na niską cenę, najbardziej dokuczliwi klienci, hałaśliwa młodzież i spragnieni taniej wódki proletariusze z Europy Zachodniej. Krakowski dziennikarz Wojciech Mucha, mówiąc o kandydaturze Miszalskiego, porównał ją do właściciela wysypiska śmieci. „To trochę tak, jakby na wójta gminy kandydował ktoś, kto jest właścicielem wysypisk śmieci, albo jakichś innych biznesów, które trwale zatruwają życie mieszkańcom. No, ale przynajmniej nie jest z PiS".

W odróżnieniu od Poznania Kraków zdaje się więc zatracać swój instynkt samozachowawczy. Być może ma na to wpływ rosnąca liczba napływowej ludności, która rozmywa tożsamość miasta i nie odczuwa z nim żadnego związku. Podobnie jak to od dawna dzieje się w Warszawie i wielu innych metropoliach. Jak tak dalej pójdzie, to również Kraków szybko rozpuści się w bezbarwnej magmie i przestanie się wyróżniać czymkolwiek poza zabytkami. Wyniki tych wyborów pokazują, że ten proces już trwa.

eprasa.pl 77349d6db8

Na koniec tego z konieczności krótkiego przeglądu wyników wyborów w polskich miastach warto jeszcze wspomnieć o Wrocławiu, gdzie także dojdzie do drugiej tury. Tutaj urzędujący prezydent Jacek Sutryk zmierzy się z kandydatką Trzeciej Drogi Izabelą Bodnar.

Sutryk to polityk – mówiąc eufemistycznie – dość kontrowersyjny. Zarzucano mu nepotyzm, on sam z kolei w dość specyficzny sposób kreował swój wizerunek, a to pokazując swoje półnagie zdjęcia z sauny, a to mówiąc od kamery wyborcom, aby pocałowali się w d...pę. Ostatecznie stracił wsparcie Koalicji Obywatelskiej, z której „rekomendacji" startował w 2018 r., co kosztowało go teraz utratę głosów z Jagodna. Widocznie partia Donalda Tuska uznała, że Sutryk jest dla niej obciążeniem – podobnie jak kiedyś było z Ryszardem Grobelnym w Poznaniu i Pawłem Adamowiczem w Gdańsku.

W tym sensie wyniki drugiej tury we Wrocławiu będą bardzo ciekawe. Jeśli bowiem mimo braku wsparcia PO wygra ją Jacek Sutryk, to okaże się, że partia Donalda Tuska nie ma pełnej kontroli nad aspirującym „europejskim" elektoratem.

INNA RZECZYWISTOŚĆ

Wyniki wyborów samorządowych w miastach wskazują na to, że ich mieszkańcy w większości są impregnowani na jakiekolwiek zmiany. Chcą tego samego, co do tej pory, tylko w jeszcze większym natężeniu. W rezultacie zarządzający miastami politycy PO nie muszą się o nic starać, wystarczy że tak jak dotąd będą serwować swoim wyborcom tani blichtr i fałszywe poczucie elitarności. Oderwanie głosujących od lokalnych spraw skutkuje brakiem odpowiedzialności polityków i prowadzi do degeneracji miast oraz samorządu jako takiego, który zamienia się w siatkę udzielnych księstw, zarządzanych przez przedstawicieli tej samej politycznej dynastii.

Dotychczasowe próby przełamania monopolu PO w miastach okazały się nieudane. W tym roku PiS wystawiło mało wyrazistych i często mało znanych kandydatów, co mogło się przełożyć na ich słabe wyniki. Jednak nawet mocne nazwiska niewiele mogłyby zdziałać. Prawo i Sprawiedliwość nie dysponuje bowiem najbardziej pożądaną walutą w mieście, jaką jest swoiście rozumiany prestiż. A ten dla przeciętnego miejskiego leminga nie polega na czystych ulicach, sprawnej komunikacji, dostępie do usług czy urbanistycznych wizjach. Do tego wszystkiego konieczne jest myślenie w kategoriach wspólnoty, jaką jest miasto. Natomiast leming od wspólnoty ucieka, odcina się od niej, brzydzi się jej. Jest skoncentrowany wyłącznie na własnym, indywidualnym – zwykle finansowym – sukcesie i jest gotów osiągnąć go za każdą cenę. Jest jednostką aspołeczną, mentalnym dzikusem.

Prestiż to dla miejskiego leminga poczucie przynależności do elity, a elitarność rozumie on na swój własny, karykaturalny sposób. Wypchany portfel, wakacje za granicą, skończone studia, znajomość języka obcego i umiejętność gry na fortepianie lub w golfa. No i butelka dobrego wina. Wszystko to, czego jego dziadkowie nigdy nie widzieli i nie zaznali. Partia Tuska w dużym stopniu składa się właśnie z takich ludzi i dlatego dobrze rozumie ich potrzeby. Jest też namaszczona przez unijną oligarchię, więc dla lemingów stanowi rodzaj pomostu łączącego ich symbolicznie z „europejskimi salonami". Jedyne, co mogłoby zmienić ten stan rzeczy, to zawalenie się dotychczasowego świata i całkowita zmiana jego hierarchii.

> Wyborca pozbawiony zdolności krytycznego myślenia staje się przyczyną powolnej agonii demokracji. Polityk nie musi się z nim liczyć, dobrze bowiem wie, że i tak zostanie wybrany

Prezydencka dogrywka

W tych miastach 21 kwietnia 2024 r. odbędzie II tura wyborów na prezydenta

Będzin	Ruda Śląska
Bielsko-Biała	Rybnik
Częstochowa	Rzeszów
Elbląg	Siedlce
Gdynia	Siemianowice
Gliwice	Śląskie
Gorzów Wielkopolski	Sieradz
Inowrocław	Skarżysko-Kamienna
Jastrzębie Zdrój	Słupsk
Jelenia Góra	Suwałki
Jaworzno	Świdnica
Kielce	Świętochłowice
Konin	Tarnobrzeg
Koszalin	Tarnów
Kraków	Tczew
Legnica	Toruń
Mielec	Tychy
Mysłowice	Wejherowo
Nowa Sól	Włocławek
Olsztyn	Włodzisław Śląski
Ostrołęka	Wrocław
Piła	Zabrze
Piotrków Trybunalski	Zakopane
Poznań	Zamość
Przemyśl	Zawiercie
Racibórz	Zielona Góra
Radom	Zgierz

Dlatego sympatyczny Tobiasz Bocheński ani żaden inny kandydat PiS nie mógł niczego ugrać w tych środowiskach. Bo nie jest ich częścią, nie mówi w ich języku, posługuje się innym kodem kulturowym, ma inną hierarchię wartości. Bocheński równie dobrze mógłby zabiegać o głosy mieszkańców Dortmundu albo Marsylii.

Dzisiejsze miasta – wbrew temu, co sądzą o nich ich najbardziej „europejscy" mieszkańcy – wcale nie są bastionami wolności, kultury i demokracji. Jest dokładnie odwrotnie – to skupiska egoizmu, chamstwa, drobnomieszczańskiej głupoty, zaścianka i kompleksów. Jeśli ktoś chce szukać mądrości, to prędzej znajdzie ją na prowincji niż w mieście. I dlatego to na prowincję trzeba dziś chuchać z troską. Jeśli ją ocalimy, być może kiedyś uda się uratować także miasta.

eprasa.pl 77349d6db8

Wybór Polek

Wybory samorządowe obaliły mit, że aborcja jest dla kobiecego elektoratu kluczowym tematem. Polki najczęściej głosowały na PiS, a sporadycznie wybierały Lewicę, która prawo do zabijania dzieci na życzenie do 12. tygodnia ciąży uczyniła głównym tematem kampanii, mocno się przy tym konfliktując z koalicjantami z rządu, zwłaszcza z Trzeciej Drogi

DOROTA ŁOSIEWICZ

Najwięcej kobiet, bo aż 33,4 proc., oddało głos na Prawo i Sprawiedliwość. W kobiecym elektoracie druga była Koalicja Obywatelska z wynikiem 33 proc. Na Trzecią Drogę głosowało 14,1 proc. kobiet, a na Lewicę jedynie 7,5 proc. z nich. Jak się okazało, to kobiety były liczniejszą grupą, która oddała głos – w wyborach wzięło udział o 4 proc. więcej kobiet niż mężczyzn.

Wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy przyznał po wyborach w rozmowie z PAP, że jego ugrupowanie „przegrzało" temat aborcji oraz spraw światopoglądowych. „Wynik wyborów pokazuje, że sprawy dotyczące aborcji czy praw kobiet nie mobilizują elektoratu Lewicy, trzeba dodać kolejne cegiełki" – ocenił. Tę diagnozę podziela Piotr Kusznieruk z Zarządu Krajowego Nowej Lewicy, który w telewizji wPolsce.pl powiedział: „Temat aborcji był ważny dla tych kobiet, które głosowały na Lewicę, ale przestał być tematem aktywnym, więc Lewica uzyskała dosyć słaby wynik w tych wyborach i trzeba z tego wyciągnąć wnioski".

Wyniki wyborów samorządowych nie pokryły się z badaniami socjologicznymi, z których wynika, że w ostatnich latach preferencje wyborcze Polek mocno się przesunęły w lewą stronę, a bardziej prawicowi są mężczyźni. W 2020 r. odsetek młodych kobiet, które deklarowały lewicowe sympatie, wzrósł ponaddwukrotnie w porównaniu z badaniami z roku poprzedniego. Z badania CBOS opublikowanego w 2022 r. wynika zaś, że w ciągu ostatnich pięciu lat odsetek młodych Polek, które deklarują lewicowe poglądy, wzrósł z 9 do 40 pp. Wśród mężczyzn w wieku 18–24 takie sympatie deklaruje 22 proc. badanych.

„Kobiety w ostatnich wyborach najchętniej głosowały na PiS, a wynik Lewicy jest katastrofą. Świadczy to o tym, że ani całe społeczeństwo, ani kobiety w Polsce nie są tak proaborcyjne, jak chciałaby tego Lewica" – uważa Barbara Socha, była wiceminister rodziny i polityki społecznej. „Polki chcą się rozwijać. Jesteśmy pracowite, ambitne i wykształcone. Chcemy też mieć rodziny. Większość z nas chce być mamami, więc najważniejsze tematy dla Polek to są takie warunki, które pozwolą łączyć różne cele i aspiracje. Dlatego w kampanii mówiliśmy z Tobiaszem Bocheńskim o stworzeniu Centrum Rozwoju Kobiet, które byłoby miejscem podnoszenia kompetencji dla pań" – mówi Socha, która wspierała w kampanii kandydata PiS na prezydenta Warszawy. Ostatecznie nie została wiceprezydentem stolicy, ale dostała się do rady miasta. „Cieszę się, że w warszawskim klubie radnych PiS będzie cztery razy więcej kobiet, bo była jedna, a teraz będzie nas czwórka. To dobry prognostyk i chcemy ten program dla kobiet realizować, choć w Radzie Warszawy będziemy w opozycji" – dodaje Socha.

Fot. Andrzej Wiktor

ABORCYJNY WALEC

Po tym, gdy Donald Tusk ogłosił, że nie będzie wspólnej listy Koalicji Obywatelskiej i Lewicy, ta druga, szukając sposobu na odróżnienie się od koalicjantów, uczyniła z tematu aborcji motyw przewodni swojej kampanii. W lutym współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty twierdził, że Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz blokują legalną aborcję.

„Nie będziemy brali na siebie tego, że ustawy, które złożyliśmy pierwszego dnia w Sejmie, dotyczące tak naprawdę prawa do własnego ciała, do aborcji do 12. tygodnia oraz depenalizacji całego procesu aborcyjnego, blokują Szymon Hołownia z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem" – powiedział polityk w TVN24.

eprasa.pl 77349d6db8

Hołownia szybko odpowiedział, że lider Lewicy kłamie, a potem było już tylko ostrzej. Gdy w pierwszych dniach marca marszałek Sejmu oświadczył, że projekty aborcyjne będą procedowane po wyborach samorządowych, reakcja polityczek Lewicy była zdecydowana. Na konferencjach prasowych apelowały, by pokazać przy urnach „czerwoną kartkę" Trzeciej Drodze, a z mównicy sejmowej przewodnicząca klubu parlamentarnego Lewicy Anna Maria Żukowska wycelowała czerwony piorun, będący symbolem Strajku Kobiet, w Hołownię. Zaś na platformie X (d. Twitter) na słowa marszałka, który stwierdził, że w kwestii aborcji „potrzeba spokoju", Żukowska zareagowała agresywnym wpisem: „Wyp...aj z tym spokojem".

Po wyborach spór wcale nie przycichł. Po słabszym niż się spodziewano wyniku wyborczym wszystkich partii tworzących rządową koalicję to właśnie Lewica została obarczona winą za taki wynik. Ze strony Trzeciej Drogi pojawiły się żądania, by partia Czarzastego i Biedronia oddała jeden z resortów. Pojawiły się też sugestie, że Czarzasty wcale nie musi, zgodnie z umową koalicyjną, zostać w połowie kadencji Sejmu jego marszałkiem (po Hołowni).

„Ci, którzy mówili również w ostatnich dniach, żeby pokazać czerwoną kartkę Trzeciej Drodze, nie zagrali w porządku. Nie chodzi o to, że się obrażamy. Ale sami, jak widzę, nie osiągnęli efektu" – mówił podczas wieczoru wyborczego lider PSL. „Nie sprawy światopoglądowe są na pierwszym miejscu, tylko gospodarka i bezpieczeństwo jest na pierwszym miejscu" – podkreślał Kosiniak-Kamysz. Znacznie bardziej dosadny był w Radiu ZET Piotr Zgorzelski, wicemarszałek Sejmu: „Czy sprawy światopoglądowe i związane z aborcją musiały wejść na agendę kampanii? Lewica musiała podgrzewać ten temat, licząc na to, że dzięki temu, iż będzie uderzała w Trzecią Drogę, nabije sobie punktów procentowych. Jak wyszło, widzimy" – komentował polityk PSL. „Kazali marszałkowi Hołowni, roztropnemu, mądremu człowiekowi, który dobrze zrobił, że to przeniósł po wyborach, kazali wy... i teraz ..., wiadomo, o co chodzi. Tymczasem społeczeństwo jakby im powiedziało to samo, więc karma wraca" – oceniał Zgorzelski. Sugerował również, że może nie dojść do rotacji na stanowisku marszałka Sejmu. Wtórował mu Hołownia podczas konferencji prasowej: „Umowa koalicyjna to nie jest Pismo Święte. Jak trzeba ją będzie renegocjować, to będziemy renegocjować" – mówił.

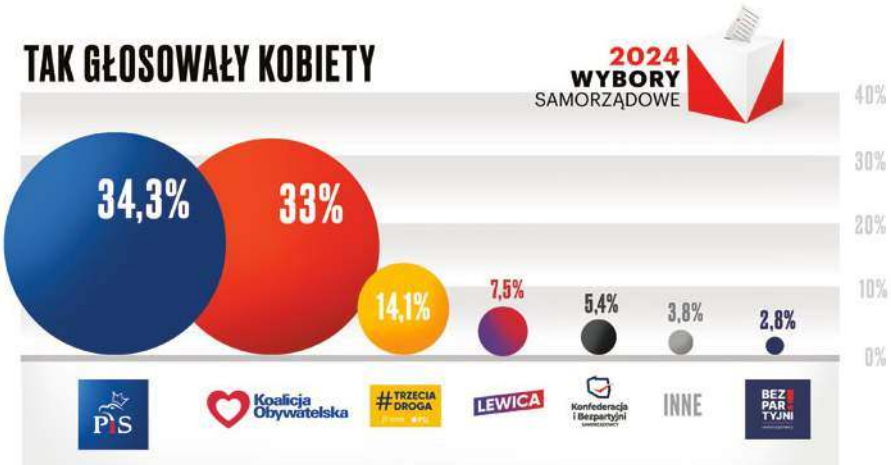

Źródło: IPSOS

> Wyniki wyborów samorządowych nie pokryły się z badaniami socjologicznymi, z których wynika, że w ostatnich latach preferencje wyborcze Polek mocno się przesunęły w lewą stronę

SZUKANIE WINNYCH

W kuluarach politycy koalicji rządzącej sugerują, że to wpływowe działaczki Lewicy wymusiły dyskusję o aborcji w trakcie kampanii samorządowej. Pierwotnie ani Czarzasty, ani Gawkowski nie planowali antagonizować koalicjantów, a wyszła draka na sto fajerek.

„Trzeba uwzględniać, że nie wszyscy Polacy i nie wszystkie Polki mają takie samo podejście do liberalizacji prawa aborcyjnego jak kobiety Lewicy. Dlatego uważamy, że cenniejszy i ważniejszy jest głos kobiet polskich niż głos kobiet Lewicy" – mówił Zgorzelski w Onet Rano w dzień, na który w Sejmie marszałek Hołownia wyznaczył debatę w sprawie projektów aborcyjnych.

A co na to kobiety Lewicy? W sprawach światopoglądowych raczej nie zmienią zdania. „W czasie parlamentarnej kampanii wyborczej zarówno my, jak i KO, obiecywaliśmy kobietom liberalizację prawa aborcyjnego. Obietnica nie została zrealizowana, do tego mamy dużą demobilizację młodego elektoratu" – tłumaczyła portalowi Interia.pl posłanka Daria Gosek-Popiołek. „Czy to nie ma nic wspólnego z brakiem realizacji obietnic wyborczych? Nad tym powinniśmy się zastanowić".

Kończę pisać ten tekst, gdy w Sejmie trwa debata nad czterema projektami aborcyjnymi złożonymi przez Lewicę, KO i Trzecią Drogę. Nie wiadomo więc, czy proaborcyjny czerwony piorun z koszulki Anny Marii Żukowskiej dosięgnął Hołownię, czy może kwiaty, które szefowa klubu Lewicy wręczyła marszałkowi w ramach przeprosin, złagodziły atmosferę. Ostatecznie trzeba się cieszyć, że wybory pokazały, iż większość Polek nie popiera radykalnych pomysłów kobiet Lewicy.

eprasa.pl 77349d6db8

Zmiana to ja

Łukasz Gibała, kandydat na prezydenta Krakowa, mówi Markowi Pyzie o tym, jak jego rywal nabrał wyborców przed pierwszą turą, jak zlikwiduje partyjne synekury i dlaczego mieliby go poprzeć sympatycy Prawa i Sprawiedliwości

Trudne były rozmowy z Prawem i Sprawiedliwością przed poparciem dla pana w drugiej turze wyborów samorządowych?

Łukasz Gibała: Nie rozmawiałem z nikim z władz Prawa i Sprawiedliwości. Cały czas jestem za to w kontakcie z wyborcami. I często spotykam osoby, które głosowały na Łukasza Kmitę. Przekonuję, że z ich punktu widzenia lepiej by było, gdyby prezydentem nie został ktoś, kto maluje sobie na czole osiem gwiazdek i w ten wulgarny sposób pokazuje kompletny brak szacunku dla nich, lecz kandydat niezależny, niezwiązany z żadną opcją polityczną, który będzie szanował wszystkich na równi.

Jeszcze zanim krakowskie struktury dały panu wsparcie, była premier Beata Szydło stwierdziła, że nie miałaby problemu, by na pana zagłosować.

Słyszałem tę wypowiedź i wydaje mi się, że duża część wyborców PiS myśli podobnie. W czasie rozmów z nimi na ulicach słyszę, że choć nie jestem dla nich idealnym kandydatem, to znacznie lepszym niż mój rywal.

Bitwa o prezydenturę Krakowa z pewnością jest najważniejszym starciem wyborczej dogrywki. Możemy usłyszeć komentarze, iż po długiej epoce Jacka Majchrowskiego krakowianie stanęli przed wyborem między rewolucją a kontynuacją. Ale wydaje się, że mieszkańcy nie chcą żadnej kontynuacji – przecież Jacek Majchrowski się wycofał, bo i tak stopniało mu poparcie, a jego kandydat sromotnie przegrał przed tygodniem.

To rzeczywiście jest paradoks. Krakowianie chcą zmiany, a jednocześnie w pierwszej turze wielu głosowało na kandydata oznaczającego kontynuację, czyli Aleksandra Miszalskiego – kogoś, kto był radnym wybranym z list Jacka Majchrowskiego, jest szefem struktur partii długie lata rządzącej z nim, która w obecnej administracji prezydenta ma wielu prominentnych działaczy, choćby jednego z wiceprezydentów. Aleksander Miszalski zdołał trochę nabrać część krakowian, przedstawiając się jako kandydat zmiany. A to przecież zmiana farbowana. Dlatego przed drugą turą wyborów przyjęliśmy strategię pokazywania, że Miszalski to kandydat kontynuacji. Mieszkańcy często są zdziwieni, gdy im mówię, że on był radnym wybranym z list Majchrowskiego. Jeśli krakowianie będą mieli pełną wiedzę, to jestem przekonany, że nie poprą mojego konkurenta.

To rzeczywiście jest paradoks. Krakowianie chcą zmiany, a jednocześnie w pierwszej turze wielu głosowało na kandydata oznaczającego kontynuację, czyli Aleksandra Miszalskiego – kogoś, kto był radnym wybranym z list Jacka Majchrowskiego

Zdarza się panu, że podchodzi ktoś i mówi: czy między panem a Aleksandrem Miszalskim jest więcej różnic, czy jednak podobieństw? Obaj mówicie, że chcecie walczyć z patodeweloperką, że chcecie zielonego Krakowa, metra, opłaty turystycznej. Sporo tych zbieżności.

Odpowiadam wtedy, że Aleksander Miszalski ma bardzo podobny program do mojego, bo w dużej mierze jest z niego skopiowany. Nasz program tworzyła ponad setka ekspertów, trwało to wiele miesięcy. W tym czasie Miszalski przygotowywał kampanię, ale do Sejmu. To kwestia wiarygodności. Ja ją mam – od dawna krytykowałem to, co się dzieje w Krakowie i proponuję alternatywę, a on jest zupełnie niewiarygodny. Miszalski tylko mówi, że chce zmienić

eprasa.pl 77349d6db8

Fot. Materiały prasowe

pewne rzeczy. A dlaczego tego nie zrobił, gdy jego partia współrządziła z Jackiem Majchrowskim?

Co ma pan na myśli?

Dlaczego wtedy nie walczył z patodeweloperką, „turystyfikacją" miasta, nieustannym podnoszeniem cen biletów komunikacji miejskiej, wydawaniem pieniędzy na drugą miejską telewizję czy 250 tys. zł na ławeczkę na pl. Biskupim? Gdy mówię o tym mieszkańcom, to w odpowiedzi słyszę: rzeczywiście, coś tu nie gra.

Jedną z największych zmór Krakowa jest „alkoturystyka". Pan mówi bez przerwy o niej, zarzuca rywalowi, że na niej korzysta. On odpowiedział w internetowym nagraniu, wymieniając swoje działania w tym obszarze: „Ograniczenie działalności klubów go-go w centrum, złożenie rezolucji o regulację najmu krótkoterminowego, przyczynienie się do zmniejszenia spożycia alkoholu w mieście". I dodał: „Łukaszu, przestań kłamać".

Oto fakty: w poprzedniej kadencji Aleksander Miszalski zagłosował za zwiększeniem liczby punktów, które mogą handlować alkoholem. Co więcej, sam nim wtedy handlował, bo był współwłaścicielem jednego z pubów i baru w swoim hostelu, więc był w ewidentnym konflikcie interesów. Inny radny, Łukasz Słoniowski z PiS, który był w podobnej sytuacji, nie wziął udziału w tym głosowaniu, a Miszalski się tym nie przejmował. Kto tu więc kłamie – ja czy mój kontrkandydat, twierdzący, że przyczynił się do zmniejszenia spożycia alkoholu w Krakowie? Papier przyjmie wszystko. Cóż z tego, że głosował za wspomnianą rezolucją, skoro zawarte w niej ograniczenia nigdy nie weszły w życie? Realnie Platforma Obywatelska współrządziła z Jackiem Majchrowskim i realnie mieszkańcom żyje się coraz gorzej, bo pijanych turystów nieustannie przybywa.

Dlatego Aleksander Miszalski proponuje powołanie instytucji burmistrza nocnego. Czy w mieście jest już aż tak źle, że nie radzą sobie policja i Straż Miejska?

To ciekawa koncepcja, tylko pytanie brzmi, kto miałby zostać tym burmistrzem. Boję się, że byłby to ktoś reprezentujący interes branży turystycznej, której częścią jest Aleksander Miszalski.

W czym przeszkadzają panu dorożki?

W niczym, ale ciężko mi się pogodzić z tym, że zaprzęgnięte w nie konie bardzo często się męczą, zwłaszcza w lecie. To już nie są lekkie dorożki jak przed 100 laty, lecz wręcz karoce – zdobne, bardzo ciężkie pojazdy. Teoretycznie mamy przepisy zabraniające ich powożenia przy wysokich

eprasa.pl 77349d6db8

temperaturach, lecz ich egzekwowanie wygląda słabo, dorożkarze mogą się tłumaczyć, że temperatura szybko się zmienia. Uważam, że w XXI w. z tej rozrywki dla turystów – podobnie jak z cyrków ze zwierzętami – spokojnie można zrezygnować.

Ale nie chce pan narzucać tego poglądu.

Tak, zaproponowałem referendum w tej sprawie. Jeśli większość mieszkańców uzna, że to bardzo ważny element tradycji, przyjmę ten werdykt z pokorą.

Co będzie ważniejsze dla krakowian 21 kwietnia, gdy ponownie pójdą do urn – partyjny szyld, emocje, pryzmat polityki centralnej i wsparcie od takich osób jak Donald Tusk albo Radosław Sikorski czy jednak sprawy miasta, o których ci politycy z Warszawy często nie mają pojęcia?

To jest kluczowe pytanie: czy krakowianie pozwolą na to, by wybierał im prezydenta gdańszczanin mieszkający w Warszawie albo właściciel dworu w Chobielinie pod Bydgoszczą, który też nie ma nic wspólnego z naszym miastem? Jestem oburzony tym, że przyjeżdża tu Donald Tusk i próbuje mianować prezydentem kogoś, kto będzie *de facto* wykonawcą jego woli. Wszyscy wiemy, że Miszalski jako prezydent będzie zupełnie niesamodzielny. Jeśli Platforma zrobi coś niekorzystnego dla Krakowa, to on jako prezydent nie będzie protestował. Nie znam przypadku, by zagłosował lub nawet wypowiedział się wbrew linii swojej partii. Nigdy nie miał na to odwagi.

Czy krakowianie pozwolą na to, by wybierał im prezydenta gdańszczanin mieszkający w Warszawie albo właściciel dworu w Chobielinie pod Bydgoszczą, który też nie ma nic wspólnego z naszym miastem? Jestem oburzony tym, że przyjeżdża tu Donald Tusk i próbuje mianować prezydentem kogoś, kto będzie *de facto* wykonawcą jego woli

Wydaje się, że w pierwszej turze to turbodoładowanie od premiera miało znaczenie.

Zdecydowanie. Nieraz usłyszałem: „Głosowałem na Miszalskiego, bo poparł go Tusk, a ja jestem za Platformą". Staram się przekonywać takie osoby, że mój rywal ma mieszane sukcesy, że wybory samorządowe to co innego niż polityka ogólnopolska, że warto głosować trochę inaczej, zerknąć na programy kandydatów. Trzeba z tym przekazem dotrzeć do wszystkich, dlatego ciężko pracujemy przed drugą turą.

A może te związki z partią to dla niektórych nie wada, lecz atut? Nie będzie panu trudniej niż Aleksandrowi Miszalskiemu dogadywać się z radnymi, których większość stanowią działacze Koalicji Obywatelskiej?

Trudniej, ale to też argument, by na mnie głosować. Jeśli wygra Aleksander Miszalski, będziemy mieli w Krakowie sytuację monopartyjną – pełna władza znajdzie się w rękach jednego obozu. A to często oznacza odklejenie się od rzeczywistości i nieliczenie z głosem mieszkańców. Czy nie lepsza jest sytuacja, w której niezależny prezydent musi negocjować z większością radnych? To zmusza do poszukiwania kompromisu, zwłaszcza w sytuacji takiego rozproszenia sympatii. Co czwarty wyborca w Krakowie głosował na Prawo i Sprawiedliwość, część na Konfederację, część popiera Trzecią Drogę, a część głosuje na Łukasza Gibałę. Byłoby fatalnie, gdyby ci wszyscy ludzie zostali wykluczeni, bo wszelkie decyzje podejmowaliby działacze Platformy Obywatelskiej.

Kraków ma 6 mld zł długu. Jak się z tym uporać?

Jeśli do tej liczby dołożymy długi spółek miejskich, to zadłużenie sięgnie prawie 10 mld zł. To kwota nie do spłacenia w jednej kadencji. Mój cel, który i tak jest ambitny, to zatrzymanie przyrastania długu.

W jaki sposób?

Szukając oszczędności, które nie uderzą w krakowian. Trzeba przeprowadzić audyty w instytucjach oraz spółkach miejskich i zlikwidować w nich partyjne synekury. Zaprzestać bizantyjskich wydatków, jak 20 mln zł na drugą miejską telewizję, która nie jest nikomu potrzebna. Nie można remontować placów, wydając 250 tys. zł na jedną ławeczkę. Mówię o elementarnej gospodarności, która by szybko pokazała, że Kraków nie musi mieć deficytu budżetowego.

A ile pan ma długów?

Jako osoba fizyczna nie mam żadnego długu poza – jak wielu Polaków – kredytem hipotecznym, ale zapewne chodzi panu o moją spółkę produkującą filamenty do drukarek 3D oraz deski kompozytowe. Jako firma wziąłem 230 mln zł pożyczki i jest to kwota, która może robić wrażenie, dlatego moi przeciwnicy polityczni starają się to wykorzystać przeciwko mnie. Ale to przecież naturalne, że gdy spółka się rozwija, zaciąga kredyty. Eksportujemy do ponad 70 krajów innowacyjne towary z naklejką „Made in Poland", z czego jestem dumny. Zatrudniamy ponad 50 osób pod Krakowem, a będziemy się rozwijać. W specjalnej strefie ekonomicznej w Niepołomicach (nie w Krakowie, by nie narażać się na konflikt interesów) chcemy wybudować nową halę, w której zatrudnimy kilkaset osób.

eprasa.pl 77349d6db8

Pożyczkę wziął pan u własnego ojca.

Tak, dzięki temu jest ona bezpieczniejsza niż zaciągnięta u obcej osoby. Nie ma zagrożenia, iż wierzyciel nagle będzie się domagał spłaty. Wziąłem ją na wiele lat i będę miał dużo czasu, by spłacić ją z przyszłych zysków mojej firmy.

Pańskimi finansami zostało zainteresowane Centralne Biuro Antykorupcyjne. Nie boi się pan jakiejś brudnej gry w końcówce kampanii? Parę ich już było – wymierzone w pana szkalujące reklamy na przystankach zamówione przez dewelopera, audycja internetowa autorstwa – jak pan mówił – patoyoutubera kolegującego się z Aleksandrem Miszalskim. Ciężko tu mówić o zasadach fair play.

To nie była kampania fair play, to jest jasne. Trzy godziny przed ciszą wyborczą ktoś, kto spędził sześć lat w więzieniu za gangsterkę, nakręcił materiał, który składał się z samych kłamstw. Prezentowała je osoba, która 29 razy przegrała w postępowaniach sądowych i administracyjnych, ani razu nie wygrała. Teraz chce pieniędzy od mojego ojca i próbuje go szantażować, szkalując mnie. Kolejna sprawa – deweloper wydający 1 mln zł na plakaty, ulotki, reklamę internetową, które mnie pomawiają. To jednocześnie nielegalne finansowanie kampanii spoza środków komitetów wyborczych. A zatem spodziewam się brudnych zagrywek również przed drugą turą. Co się zaś tyczy CBA, to zgłoszenie do Biura – zupełnie chybione – trafiło we wrześniu i od tego czasu, o ile wiem, nie podjęto żadnych działań. Mam nadzieję, że nie będzie nacisku politycznego, by CBA na siłę się uaktywniło w mojej sprawie. Ale muszę być gotowy na wszystko.

Panu też zarzuca się nieczyste zagrania – nazywanie Miszalskiego baronem hostelowym, choć wie pan, że udziały w tych biznesach przepisał on na rodzinę.

A dokładnie na brata – tuż po ogłoszeniu, że będzie kandydował. Te spółki prowadzą w Krakowie tanie hostele. Takie obiekty przyczyniają się do tego, że mamy coraz więcej turystów przyjeżdżających się zabawić, wypić alkohol, zorganizować wieczór kawalerski. Gwałtowne przepisanie tych biznesów nie unieważnia faktu, że Aleksander Miszalski przez długi czas był tym hostelowym baronem. Nie wyprze się tego.

Na koniec wróćmy do być może kluczowego czynnika w drugiej turze wyborów, czyli „sierot" po Łukaszu Kmicie. Jak chce pan przekonać wyborców Prawa i Sprawiedliwości, by poparli człowieka, który był we władzach Ruchu Palikota, a ich ulubioną partię chciał otaczać „kordonem sanitarnym"?

Tak, w kwestiach światopoglądowych mam odmienne poglądy niż wyborcy PiS. U Janusza Palikota zajmowałem się gospodarką, napisałem ponad 20 projektów ustaw, które miały zmniejszać podatki czy biurokrację, ale nie weszły w życie, bo Ruch Palikota był w opozycji. Lecz przecież prezydent Krakowa nie jest od decydowania w takich sprawach jak np. aborcja. Możemy się tu różnić. Gwarantuję, że w Krakowie Łukasza Gibały będzie miejsce dla sympatyków każdej formacji politycznej. Nie będziemy forsowali żadnych wojen ideologicznych. Dla wyborców PiS naprawdę jest lepsze, by prezydentem był ktoś niezależny, a nie działacz formacji, która jest na drugim biegunie politycznym. Czasami w życiu trzeba wybrać mniejsze zło. A dla nich wybór Łukasza Gibały na pewno jest mniejszym złem niż wybór Aleksandra Miszalskiego.

Gwarantuję, że w Krakowie Łukasza Gibały będzie miejsce dla sympatyków każdej formacji politycznej. Nie będziemy forsowali żadnych wojen ideologicznych. Dla wyborców PiS jest lepsze, by prezydentem był ktoś niezależny, a nie działacz formacji, która jest na drugim politycznym biegunie

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ANDRZEJA KOSTRZEWY

Wyrazy szczerego współczucia

Rodzinie, Bliskim i Przyjaciołom

składa

redakcja tygodnika „Sieci"

Wspomnie o śp. Andrzeju Kostrzewie na str. 70

eprasa.pl 77349d6db8

Czas Judaszów

Gdy poziom zdrady i wiarołomstwa osiąga stan krytyczny, w debacie publicznej pojawia się pomysł zrehabilitowania nawet Judasza. Wiadomo, łatwiej jest uznać podłość za cnotę, niż przejść trudny proces skruchy i pokuty

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Właśnie ukazała się książka Tomasza Terlikowskiego poświęcona Judaszowi. Autor pochyla się nad apostołem, który sprzedał Jezusa za 30 srebrników, odnajduje dla niego współczucie, dalej nawet oskarża otoczenie Jezusa, a nawet samego Mesjasza o tchórzostwo i ignorancję. Czy w ten sposób autor próbuje usprawiedliwić samego siebie?

TOMASZ ISKARIOTA

Publicysta sam przyznaje, że czuje się trochę Judaszem, skoro od obrony wartości katolickich przeszedł na pozycje liberalnego celebryty, atakującego Kościół i wiernych. „Trudno mi nawet zliczyć, ile razy usłyszałem to od ludzi, którzy byli przekonani, że [...] wypełniają swój chrześcijański obowiązek, rzucając w moją stronę pytanie, w jakiej walucie dostałeś swoje srebrniki, Judaszu?" – pisze w swojej książce. Ale wbrew pozorom wybielanie Judasza nie jest niczym nowym dla ludzi, którzy się z nim *de facto* utożsamiają.

JUDASZ ZDRADZIŁ PYJASA

Pierwszym polskim publicystą, który zachwycił się Judaszem, był Lesław Maleszka, który na łamach „Gazety Wyborczej" promował, recenzował i obszernie cytował opublikowany wcześniej w Anglii apokryf „Ewangelia Judasza". Maleszka fascynował się 12. apostołem i opowiadał o jego... wielkości. Tak Bronisław Wildstein streszczał poglądy dziennikarza „Gazety Wyborczej": „Jeśli Judasz był wybrany, spełniał wyroki boskie, to nie tylko był bez winy, ale wziął na siebie największą odpowiedzialność, największy ciężar, a więc nie tylko nie może być potępiony, ale i..." – czytamy w „Dolinie nicości".

Wszystkie te intelektualne konstrukcje i uzasadnienia, cała ta głęboka filozofia analizująca determinizm, wolną wolę i dylematy wierności rozbija się w pył o oczywisty epizod życia Lesława Maleszki, który w latach 70. ochoczo donosił Służbie Bezpieczeństwa pod pseudonimem „Ketman", informując m.in. o swoich najbliższych przyjaciołach, np. Staszku Pyjasie. To po takich donosach komunistyczna bezpieka postanowiła zabić Pyjasa, a morderstwo zatuszować. Trudno nie dostrzegać analogii między Judaszem a Maleszką, z tą jednak różnicą, że Judasz żałował swojej zdrady, cierpiał z jej powodu, a Maleszka woli ją postawić na piedestale jako bohaterstwo.

WSZYSCY WINNI, ALE NIE JUDASZ

Co innego bowiem analizować zdradę Judasza, a co innego dostrzegać w niej cnotę i wielkość. Terlikowski uważa, że to apostołowie zdradzili Judasza. Jego zdaniem podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus wskazał na Judasza jako na zdrajcę, a zrobił to po to, by inni jego druhowie wybiegli za nim i zatrzymali go w swoim gronie, powstrzymując od zdrady. Terlikowski pyta: „Czy rzeczywiście ponosi on odpowiedzialność? Czy rzeczywiście mógł wybrać inaczej? Czy nie był tylko [...] marionetką w wielkim przedstawieniu historii zbawienia?".

Mało tego, katolicki niegdyś autor zastanawia się, czy Jezus wiedział o zdradzie Judasza. Jeśli tak, to jego zdaniem było to częścią planu (o, wspaniały Judaszu!), a jeśli nie, to nie jest z niego – zdaniem Terlikowskiego – taki wszechwiedzący Bóg. I oto lepiej odebrać boskość Jezusowi, niż przyznać Judaszowi wolną wolę i decyzję o wydaniu przyjaciela, nauczyciela i mistrza.

Terlikowski szuka usprawiedliwienia dla Judasza także w inny sposób, podejrzewając u niego chorobę psychiczną, a konkretnie chorobę afektywną dwubiegunową, która przechodzi od entuzjazmu i manii po depresję i próby samobójcze. „Tego rodzaju myśli ma niemal 80 proc. osób cierpiących na zaburzenie afektywne, a 35 proc. kobiet i 27 proc. mężczyzn podjęło przynajmniej jedną próbę samobójczą". Wpisuje się to w lewicowe postrzeganie ludzkiej odpowiedzialności: nikt nie jest winny, nie ma własnej woli, za kradzieże odpowiada społeczeństwo, za zabójstwa – trudne dzieciństwo, a za nieuctwo albo ignorancję – choroby psychiczne. W ten sposób lewica nie karze żadnych Judaszów, Kainów czy Herodów, ale chce ich resocjalizować i leczyć, odzierając człowieka z wolnej woli i ludzkiego pierwiastka decyzyjnej autonomii.

eprasa.pl 77349d6db8

JUDASZE, ŁĄCZCIE SIĘ

Patrząc w ten sposób, można usprawiedliwić wszystko. Przecież Szczęsny Potocki, który zainicjował Targowicę i przybijał gwoździe do trumny Rzeczypospolitej, był człowiekiem – jak dowodził Jerzy Łojek – mało inteligentnym, surowo traktowanym przez rodziców, z rozerwaną w młodości miłością. Miał tylko bogactwo i serwilistyczne, uniżone otoczenie, żony i kochanki, brakowało mu szczerej, ludzkiej życzliwości. Idąc tym tropem, może warto współczuć niewolnym Polakom, a zdrajcom, którzy cierpieli w dzieciństwie? Jeden dyktator, w młodości odrzucony na studiach plastycznych, też mógł mieć traumę, poczucie samotności, bez wymordowania milionów Europejczyków jego osobowość by się załamała. Inny był nawet w seminarium prawosławnym, bardzo surowym, ciasnym – nie mógł odreagować inaczej niż łagrami i deportacjami.

Jak lewica głosi dziś, że to społeczeństwo zaniedbało tych, którzy łamią prawo, tak judaszolodzy oskarżają apostołów albo nawet samego Jezusa o lekceważenie problemu.

ZDRADA JAKO CNOTA

Sympatia do Judasza za każdym razem budzi się u innego Judasza. Jeffrey Archer napisał powieść w podobnym duchu usprawiedliwiającą 12. apostoła, wyszedł mu z tego bestseller, a dzieło powstało po tym, jak jego polityczna kariera legła w gruzach przez kłamstwa, łamanie przysiąg, zdradzanie żony i przyjaciół, fałszywe oskarżenia i oszustwa finansowe. Kariera Archera jako konserwatywnego polityka skończyła się w aurze skandali i zarzutów o zdradę ideałów. I wtedy Archer odnalazł w sobie zrozumienie i sympatię dla Judasza, napisał poświęconą mu i usprawiedliwiającą go powieść. Książka została przetłumaczona na język polski w 2007 r., czyli w tym samym czasie, gdy Lesław Maleszka został zdemaskowany jako dawny tajny współpracownik SB ps. Ketman.

Do obrony Judasza Terlikowski włącza jeszcze koronny argument „Gazety Wyborczej". Potępienie apostoła zdrajcy to... uwaga: antysemityzm. Bo przecież nawet imię Judasza pochodzi od plemienia Żydów, a wyobrażenia Judasza w malarstwie czy rzeźbie często oddają jego twarz jako semicką.

ZDRADA DLA WTAJEMNICZONYCH

Ale i pisarze ostatnich dekad nie czynią nic oryginalnego z postacią 12. apostoła. Już w starożytności bliskowschodnie sekty gnostyków odnajdywały i zachwycały się fragmentami apokryficznej „Ewangelii Judasza", widząc w złu zdrajcy boski plan, boską konieczność albo wręcz dzieło samego Boga. Lecz w tym gnostyckim podejściu był jeden przepis na sukces, po który sięgnęli i Archer, i Maleszka, i Terlikowski. Gnoza bowiem oznaczała „wiedzę" i „wtajemniczenie", jej mędrcy przekonywali, że dysponują sekretną wiedzą, której nie jest w stanie pojąć zwykły śmiertelnik (tu: zwykły katolik). Gnostyczne podejście do Jezusa i Judasza, a istnieją nawet wersje, że Jezus wtajemniczył Judasza w ten plan zdrady i sam kazał mu na siebie donieść, pozwala autorom z wyższością patrzeć na tych, którzy starają się oddzielić dobro od zła i żyć zgodnie z naukami wiary. „Wyznawcy Judasza" wiedzą jednak lepiej od nas, maluczkich, co jest dobre, a co złe.

> Do obrony Judasza Terlikowski włącza jeszcze koronny argument „Gazety Wyborczej". Potępienie apostoła zdrajcy to... uwaga: antysemityzm

Przez całe 2 tys. lat z tego przekonania wytryskały kolejne herezje albigensów czy husytów, którzy byli przekonani, że mają lepszy dostęp do boskich tajemnic niż sami apostołowie. Zresztą Terlikowski oskarża ewangelistów o to, że nie pisali całej prawdy, że usprawiedliwiali siebie kosztem Judasza, że to oni byli tchórzami, którzy porzucili przyjaciela.

I oto katolicki publicysta potępia już nawet nie konkretnych duchownych, stanowisko Kościoła, lecz samych świętych apostołów, którzy są niewiarygodni, gdy wiarygodny jest sam Tomasz Terlikowski. A co ze słowami Jezusa? Są przecież jednoznaczne: „Biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził".

Abstrahując już od tego, że kolejny admirator Judasza zaraz znowu poczuje się szykanowany i prześladowany, rzecz w usprawiedliwieniu 12. apostoła jest jeszcze gdzie indziej. Mało to już Polacy usprawiedliwiali zdrajców kraju i Kościoła? Komu jeszcze przysłuży się „zrozumienie" Judasza w społeczeństwie, gdy nadchodzą czasy próby i wierności?

eprasa.pl 77349d6db8

Polska małżonka dostała od swojego byłego izraelskiego męża w pysk, bo jak mówi – „sama się prosiła". To małżeństwo od początku było nieporozumieniem, choć oboje mieli szansę stworzyć normalny związek. Na partnerskich warunkach, bo były i wciąż istnieją dla niego ważne powody

To małżeństwo nie miało szans

MACIEJ WALASZCZYK

Relacje polsko-izraelskie to jak historia dziwnego małżeństwa, w które Polska została wepchnięta po 1989 r. Zawarte niby z rozsądku, z powodu interesów i koligacji stojących za nimi rodzin – znających się od wieków, ale też poróżnionych, obcych, z inną wrażliwością, religią, wizją historii i rachunkami krzywd. Małżeństwo z Izraelem okazywało się dla Polski relacją raczej toksyczną, na odległość, jednostronnie korzystną, a teraz nawet przemocową. O to ostatnie – jak to w małżeństwie – oskarżają się obie strony. Polska małżonka dostała od swojego byłego izraelskiego męża w pysk, bo – jak ten twierdzi – „sama się prosiła". Mimo próśb o zgodę, ale też faktycznego rozwodu, walczy o swoje prawa i dobre imię, które ten nieustannie szarga, oskarżając ją i jej rodzinę o różne bezeceństwa.

Były mąż jest silny, manifestujący swoją dominację, ale jakoś wewnętrznie słaby i reaguje nerwowo. Stoi na kruchym gruncie, otoczony nienawidzącymi go z wzajemnością sąsiadami, no i próbuje być utrzymankiem swoich bogatszych kochanek w Waszyngtonie, a nawet Berlinie czy Moskwie.

Z powodu swojego położenia oboje są w sytuacji nie do pozazdroszczenia, choć wzajemne relacje można było ułożyć z korzyścią dla obu stron. Ale jak to w życiu, a polityka jest jego najważniejszą częścią, to chyba niemożliwe – decydują interesy, czasem cudze podszepty i czynniki irracjonalne.

MNIEJ POLSKI, BARDZIEJ ROSYJSKI

To nie są publicystyczne porównania na wyrost. Mimo oczywistych wzajemnych interesów od pewnego czasu stosunkami polsko-izraelskimi wstrząsają gwałtowne kryzysy. Od trzech lat Polska nie ma swojego ambasadora w Tel Awiwie. W 2021 r. po nowelizacji kodeksu postępowania administracyjnego, mającej na celu ukrócenie procederu dzikiej reprywatyzacji, izraelskie władze nie pozwoliły Markowi Magierowskiemu powrócić na placówkę, wręcz manifestacyjnie wykazując się złą wolą. W 2018 r. było jeszcze gorzej, bo przez pewien czas ambasady obu krajów były kierowane przez chargé d'affaires. Jednak przed dwoma laty prezydenci obu państw uznali, że czas unormować sytuację i już w lipcu 2022 r. do Warszawy przyjechał ambasador Jakow Liwne. Jednak do dziś polskie władze nikogo nie wysłały do Izraela.

Jeszcze przed atakiem na konwój organizacji World Central Kitchen, w którym zginął polski wolontariusz, szef MSZ Radosław Sikorski zapowiadał, że niebawem się to zmieni. Teraz sytuacja

eprasa.pl 77349d6db8

Fot. Shutterstock

znów się skomplikowała, i to wyłącznie z winy izraelskiego ambasadora, którego seria spektakularnych medialnych występów sprowokowała kolejne napięcia oraz uzasadnioną niechęć opinii publicznej. Czy o to mu chodziło?

Liwne jest symbolem pewnej fatalnej zmiany, która nastąpiła w Izraelu w ciągu ostatnich 35 lat. Choć został wychowany w nowej ojczyźnie, urodził się Moskwie jako dziecko rosyjskich Żydów, którzy w latach 70. przybyli tam na fali emigracji, na którą w pewnym momencie zezwoliły władze sowieckie. Jego ojciec, choć obywatel II RP, już od 1939 r. był ochotnikiem w Armii Czerwonej.

Druga taka fala z lat 90., nazywana wielką rosyjską aliją, liczyła ok. 900 tys. osób i zmieniła polityczne oblicze tego kraju, wzmacniając antypolskie fobie, na co w Polsce – wręcz programowo filosemickiej –przez lata przymykano oczy. Zaistniałą sytuację celnie skomentował lider opozycji Jarosław Kaczyński, przyznając, że ambasador powinien zostać wydalony, a postawa, którą państwo polskie przyjęło po 1989 r., całkowicie się nie sprawdziła. „Nic to nie pomogło w stosunkach polsko-izraelskich" – stwierdził prezes PiS.

Testem tego układu była ustawa o IPN przewidująca kary więzienia za przypisywanie Polakom odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie i nagminnie powielane, szczególnie w mediach, wypowiedzi publicystów, polityków, a także w produkcjach filmowych zbitki o „polskich obozach koncentracyjnych". Trwa to od lat, w Polsce niestety często przypisywane ponoć jakiemuś „nieporozumieniu", nieznajomości historii, ale tak naprawdę niewyjaśniające istoty sprawy. Siła rażenia tych kłamstw jest duża, gdyż w społeczeństwach na Zachodzie wiedza o realiach ostatniej wojny obraca się najczęściej wokół Holokaustu, jego „wyjątkowości" i swego rodzaju biblijnej, niemożliwej do odkupienia winy, spadającej na jego sprawców i wskazanych wspólników, do których zalicza się głównie Polaków-katolików. Tą wizją są nasączane kultura, edukacja i polityka, o co zresztą pilnie dba Izrael oraz diaspora. Oskarżenia o antysemityzm są również jednym z głównych motywów moralnego osłabiania prawicy przez lewicowo-liberalny establishment na Zachodzie, który jednocześnie równie ochoczo zwalcza nacjonalistyczne państwo żydowskie.

Motyw Polski jako „antysemickiego" zaścianka nie jest nowy w polityce mocarstw zachodnich, o czym wiedzą zarówno w Tel Awiwie, jak i w Moskwie czy Berlinie. Polska doświadczyła go szczególnie za sprawą brytyjskiego polityka Lewisa Bernsteina Namiera, syjonisty, a w czasie konferencji pokojowej w Wersalu zaciekłego wroga polskich aspiracji terytorialnych na Kresach Wschodnich, faktycznego twórcy tzw. linii Curzona. Był on też propagandowym tłem tzw. pogromu kieleckiego z 1946 r., prowokacji bezpieki mającej służyć legitymizacji budowy ustroju komunistycznego w Polsce, po której amerykańscy korespondenci powielali przekaz o „kraju tradycyjnie antyżydowskim".

Dlatego inicjatywa IPN, mająca na celu respektowanie prawdy historycznej, czego niestety nie uświadamiali sobie niektórzy politycy PiS, natychmiast wywołała gwałtowną reakcję m.in. w Stanach Zjednoczonych oraz oczywiście w Izraelu, gdzie w oficjalnym stanowisku tamtejszego MSZ została sklasyfikowana właśnie jako „antysemicka". Przekaz ten szedł w świat, dewastując wizerunek rządzonej przez prawicę Polski, starającej się m.in. o wzmocnienie swojego bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO. Izrael dobrze wiedział, o co toczy się gra. Na szczęście ten kryzys okazał się politycznym katharsis, pozbawiając Polskę złudzeń co do kontynuacji dotychczasowego modelu relacji.

HISTORYCZNE POROZUMIENIE

Po dwóch latach ostrych ataków Polska w końcu wykonała krok w tył, rezygnując z przepisów ustawy o IPN. Podpisana 27 czerwca 2018 r. wspólna deklaracja premierów Morawieckiego oraz Netanjahu okazała się jednak sukcesem polskiej polityki ostatnich 30 lat. Jej tekst ukazał się wtedy także w kilkunastu wiodących dziennikach w Europie, USA oraz Izraelu i dziś może być punktem wyjścia do uspokojenia sytuacji. Podkreślano bowiem „zaufanie i zrozumienie", na jakim oparto relacje po 1990 r., budując „przyjaźń, partnerstwo i międzynarodową współpracę". Dlatego w deklaracji znalazło się zdanie o „pełnym zrozumieniu dla znaczenia Holokaustu jako najbardziej tragicznej karty w historii narodu żydowskiego", zbrodni bezprecedensowej popełnionej przez Niemcy na Żydach, w tym Polakach żydowskiego pochodzenia. Izraelczycy, a dokładnie radykalni syjoniści u władzy, podpisali się zaś pod opinią, że określenia typu „polskie obozy koncentracyjne" i „polskie obozy śmierci" są kłamstwem i umniejszają odpowiedzialność Niemców za zbrodnie.

eprasa.pl 77349d6db8

Potępiono również antysemityzm, równoważąc go z odrzuceniem stereotypów antypolonizmu.

Oczywiście aby nie było tak słodko, niemal nazajutrz w porozumienie uderzył Instytut Jad Waszem, zarzucając mu „problematyczne sformułowania niezgodne z wiedzą historyczną" i oskarżając Polaków m.in. o aktywny udział w prześladowaniach.

W STREFIE GAZY

„Izrael swoimi działaniami w Strefie Gazy popełnia ogromny błąd, ponieważ podważa swoje prawa moralne" – podkreśla prezes Jarosław Kaczyński. Strefa Gazy to dziś największe getto na świecie, by posłużyć się obrazowym pojęciem. Jednocześnie Hamas, który organizuje życie zamieszkujących ją ok. 2 mln ludzi to organizacja terrorystyczna. O ile OWP była ruchem świeckim, o tyle teraz wojnę z Izraelem toczą wyłącznie siły islamskie. Została ona zbrutalizowana, a moralne kryteria uległy relatywizacji. Realia konfliktu z Palestyńczykami już dawno ustawiły je w innym świetle, dlatego przywróceniu jej normalnych miar powinny ulec również bardzo wyśrubowane oceny zachowań Polaków znajdujących się pod brutalną niemiecką okupacją. Więcej polityki i realizmu, a mniej moralistyki.

BEZ DŁUGÓW

Jak widać, relacje polsko-izraelskie są bardzo skomplikowane i już dawno powinny ulec pewnej rewizji. Nie mamy wobec siebie żadnych politycznych długów. Po wojnie Polska jako jeden z pierwszych krajów poparła istnienie państwa żydowskiego w Palestynie. Oczywiście z woli Moskwy. Ale wsparcie dla syjonizmu okazywali nie tylko komuniści, lecz także emigracja i społeczeństwo w kraju, uznając, że Żydzi powinni stworzyć własne państwo. Wówczas znaczna część jego elit mówiła po polsku i wyrastała w naszej kulturze. Jednak sojusze szybko się odwróciły – najpierw zdecydowała o tym wojna koreańska, a potem wynik wojny sześciodniowej i wsparcie Moskwy dla strony arabskiej. W czerwcu 1967 r. izraelscy dyplomaci opuścili Warszawę, a kropkę nad i postawiły antysemickie rozliczenia w łonie PZPR.

Wzajemne stosunki wznowiono dopiero w lutym 1990 r. Każdy, kto miał trochę wyobraźni, musiał mieć świadomość, że wybijająca się na suwerenność Polska wchodzi w relacje z partnerem silnym, pewnym swych racji, wspieranym przez znakomicie zorganizowane lobby w najważniejszych stolicach świata i po obu stronach upadającej już żelaznej kurtyny. Przez Polskę przerzucono tysiące Żydów z krajów rozpadającego się już wtedy Związku Sowieckiego. Tematyka związana z Holokaustem została w gwałtowny sposób wprowadzona do programu nauczania lekcji literatury i historii, a Polskę zaczęły odwiedzać gigantyczne liczby wycieczek, w czasie których młodych Izraelczyków oprowadzano po dawnych gettach, obozach koncentracyjnych, miejscach związanych z kulturą i historią polskich Żydów. Tego, co im opowiadano na miejscu, nikt już nie kontrolował. Byli więc przekonani, że przyjeżdżają do nieprzyjaznego im kraju, zamieszkiwanego przez potomków oprawców ich przodków, których zamordowano z powodu irracjonalnej nienawiści. Tak bowiem jest ustawiona polityka historyczna Izraela, który jednocześnie zawsze potrzebował silnego wsparcia dla procesu pokojowego z Palestyną, które zawsze otrzymywał od Polski.

Mija właśnie 20-lecie wejścia naszego kraju do UE. Wówczas izraelscy dyplomaci otwarcie wyrażali nadzieję, że po rozszerzeniu Unia Europejska właśnie pod wpływem Polski stanie się mniej antyizraelska. Jakie były wówczas nastroje w krajach unijnych? Większa część opinii publicznej brała stronę Palestyńczyków, a zgodnie z danymi Eurobarometru 59 proc. z nich uważało państwo żydowskie za zagrożenie dla światowego pokoju, większe niż Iran, Koreę Północną i USA. W Izraelu wyrażano zadowolenie z rozwoju wzajemnych relacji i podkreślano fakt, że Polska jako jedyna z dużych krajów europejskich powstrzymuje się od krytykowania Izraela i jest wolna od zjawiska tzw. nowego antysemityzmu ożywianego przez muzułmańskich imigrantów.

> Od wybuchu wojny na Ukrainie Tel Awiw ostro lawiruje między Moskwą a Waszyngtonem, a jego naczelnym celem jest zagwarantowanie własnych interesów narodowych. W imię ich obrony nie cofnie się przed niczym

POLITYKA ZAMIAST MORALIZOWANIA

Od wybuchu wojny na Ukrainie Tel Awiw ostro lawiruje między Moskwą a Waszyngtonem, a jego naczelnym celem jest zagwarantowanie własnych interesów narodowych. W imię ich obrony nie cofnie się przed niczym.

Izraelem od lat nie rządzi lewica. Kolejny rząd premiera Netanjahu jest złożony z sił wyraźnie konserwatywnych i syjonistycznych, odmawiających Palestyńczykom prawa do ich aspiracji państwowych. Władzę objęto pod hasłami religijnymi, narodowymi i antyliberalnymi. Dlatego tym mocniej Izrael przedstawia prowadzoną przez siebie wojnę jako toczoną w obliczu egzystencjalnego zagrożenia. Szczególnie jeśli chodzi Iran, Bractwo Muzułmańskie, ISIS czy Hamas. W propagandzie od lat mówi się o „nowym Holokauście", bo Teheran nawołuje do wymazania Izraela z mapy. Nieustające zagrożenie jest głównym argumentem, którym posługuje się państwo żydowskie, torując drogę swoim racjom i uzasadnieniom jakichkolwiek politycznych działań. Wobec wrogów czy sojuszników.

Warto więc przekonywać Izraelczyków do liczenia się z naszymi racjami, interesami i wrażliwością. Transakcyjność, a nie podporządkowanie wymuszane wywoływaniem poczucia winy. Te czasy odchodzą w przeszłość.

eprasa.pl 77349d6db8

Kamieni milowych kupa

Unijny Fundusz Odbudowy miał stanowić „kopernikański przewrót" w europejskiej gospodarce i polityce. Tyle że miliardów z funduszu (prawie) nikt nie chce. A tam, gdzie są wydawane, nierzadko są wydawane źle

„Możemy zbudować drogę, nie popełniając przy tym żadnych błędów, ale jeśli prowadzi ona donikąd, to nadal jest to 100-proc. strata pieniędzy naszych podatników" – tak Kristalina Georgiewa, dyrektor zarządzająca Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a do 2019 r. wiceszefowa Komisji Europejskiej, skomentowała próby unijnej egzekutywy, by wydawać pieniądze bardziej „efektywnie". Było to osiem lat temu i mowa była wówczas o unijnej inicjatywie „Budżet UE zorientowany na wyniki". Najwyraźniej się ona nie powiodła, a co najmniej nie wszędzie, bowiem flagowy postpandemiczny projekt Brukseli, czyli Fundusz Odbudowy, utknął w martwym punkcie. Okazał się drogą donikąd, o której mówiła Georgiewa.

Fot. Anna Kondratiuk-Świacka/Shutterstock

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

NIE TEN RUBIKON

19 lutego minęły trzy lata od wejścia w życie funduszu, znanego w brukselskim żargonie jako Next Generation EU. Pakiet stymulacyjny opiewający na 750 mld euro w postaci dotacji i pożyczek na odbudowę gospodarek po pandemii koronawirusa, transformację energetyczną i cyfryzację miał się stać „Hamiltonowskim momentem Europy", w aluzji do Alexandra Hamiltona, pierwszego sekretarza skarbu Ameryki, który zaplanował federalizację fiskalną Stanów Zjednoczonych. Inni, jak szef Rady Europejskiej Charles Michel, mówili o „kopernikańskim przewrocie" w procesie europejskiej integracji, a „Financial Times" zachwycał się, że Unia Europejska „przekroczyła Rubikon niczym Juliusz Cezar".

Dziś z tego entuzjazmu niewiele pozostało. Problem polega na tym, że prawie żaden kraj nie korzysta ze swoich uprawnień. Prawie, bo wyjątkiem są Włochy, tyle że to wyjątek potwierdzający regułę. Według portalu „Politico" nie wydano ponad 500 mld euro, czyli do krajów członkowskich trafiła mniej niż jedna trzecia dostępnych środków.

Już w październiku ub.r. europoseł niemieckiej FDP Moritz Körner ostrzegał na łamach „Welt am Sonntag", że

eprasa.pl 77349d6db8

„niektóre rządy przeznaczają pieniądze z funduszu na wątpliwe projekty". Inne w ogóle ich nie uruchamiają. Według jego wyliczeń każde państwo członkowskie wykorzystało średnio tylko 23 proc. dotacji i tylko siedem krajów w ogóle ubiegało się o pożyczki.

Od tego czasu sytuacja znacząco się nie zmieniła, a w 2026 r. projekt dobiegnie końca. Komisja Europejska obniżyła już całkowitą dostępną kwotę z 750 do 648 mld euro po tym, jak rządy nie złożyły wniosków o pożyczki o wartości prawie 100 mld euro do końca 2023 r.

ZWYKŁY SZANTAŻ

Do tej pory Komisja Europejska odblokowała więc zaledwie 225 mld euro. Hiszpania, która ma być drugim co do wielkości odbiorcą środków z Next Generation EU po Włoszech, otrzymała 340 mln euro pożyczek, co stanowi niewielki ułamek z 83 mld euro przeznaczonych na ten kraj. Tylko dlaczego fundusz, z którego nie wypłacono do tej pory środków Polsce czy Węgrom na tle sporu o praworządność, jest tak mało atrakcyjny dla państw członkowskich?

Dlatego, że pieniądze z niego są przyznawane tylko w zamian za reformy. Odbiorcy muszą przejść przez dziesiątki, a czasem setki tzw. kamieni milowych. Może to być np. uchwalenie określonej ustawy, modernizacja infrastruktury lub spełnienie wymogów Komisji Europejskiej odnośnie do zielonej transformacji.

„Financial Times" przytacza przykład wyspy Księżnej Elżbiety, pierwszej na świecie sztucznej wyspy energetycznej na morzu. Otworzy ona przyszłą strefę wiatrową Księżnej Elżbiety (3,5 GW) i połączy Belgię z Wielką Brytanią oraz Danią poprzez dodatkowe interkonektory (projekty Nautilus i TritonLink). Jest to projekt, który belgijskie władze chciały sfinansować właśnie z Funduszu Odbudowy (20 mld euro), ale w zamian Bruksela domagała się reformy emerytalnej. Spór w tej sprawie trwał latami (miejscowi politycy mówili o szantażu), aż w końcu latem ub.r. reforma została przegłosowana w parlamencie. W lipcu kraj otrzyma więc pierwszą transzę środków.

Są też inne warunki. Każde państwo ma wykorzystać 37 proc. przekazanych środków na przyjazną dla klimatu restrukturyzację gospodarczą. Tyle że, jak pisze „Politico", kraje, które mogą pożyczać po niskich kosztach na rynkach finansowych nie są gotowe przeprowadzać niepopularnych reform w zamian za (o wiele mniej korzystne) pożyczki, które ostatecznie będą musiały zwrócić Komisji Europejskiej. To czyni Next Generation EU nieatrakcyjnym dla wielu państw. W przypadku choćby Niemiec te środki odpowiadają zaledwie za ok. 0,7 proc. produktu krajowego brutto. We Włoszech jest to prawie 11 proc. PKB.

> Postpandemiczny projekt Brukseli, czyli Fundusz Odbudowy, utknął w martwym punkcie. Do krajów członkowskich trafiła mniej niż jedna trzecia dostępnych środków

U podstaw tego wszystkiego leży oczywiście pytanie, jak daleko powinna sięgać władza Brukseli i czy Unia nie wtrąca się za bardzo do wewnętrznych spraw swoich 27 członków?

ODWAŻNI I AMBITNI

Jeden z krajowych urzędników w rozmowie z „Politico" ubolewał nad tym, że państwa muszą pokonać „tyle trudności", aby uzyskać dostęp do pieniędzy z Funduszu Odbudowy, że im się zwyczajnie nie chce. Według niego rygorystyczne wymogi Komisji Europejskiej są „bardziej podobne do audytu". Inny dyplomata powiedział, że rządy zaczęły uważać, że zwracanie się o pożyczki w ramach Funduszu Odbudowy „nie jest warte zachodu". To oznacza, że dziesiątki lub setki miliardów euro może pozostać niewykorzystanych.

Oczywiście Komisja Europejska nie widzi powodów do samokrytyki. Wręcz przeciwnie: na początku marca opublikowała 56-stronicową broszurę zatytułowaną „Dotrzymanie obietnicy złożonej Europie: Bilans Komisji von der Leyen". Kończy się ona zdaniem: „Obiecaliśmy, że będziemy odważni i ambitni. Pozostaliśmy na kursie i spełniliśmy tę obietnicę". A na stronie KE możemy przeczytać, że Fundusz Odbudowy „w dalszym ciągu napędza pozytywne zmiany i wspiera gospodarkę UE".

Tymczasem Włosi zwrócili się do Brukseli o przedłużenie terminu na realizację projektów w ramach Funduszu Odbudowy na okres po 2026 r.

W latach 2021–2023 Rzym wydał 45,65 mld euro, czyli znacznie poniżej pierwotnego celu wynoszącego 86 mld. Istnieje więc ryzyko, że włoskim władzom nie uda się rozdysponować całości tych 191,5 mld euro, które zostały im przyznane (68,8 mld euro w postaci dotacji i 122,6 mld euro w postaci pożyczek) w wyznaczonym czasie. Włoski plan odbudowy był zresztą już wielokrotnie zmieniany i poprawiany, co doprowadziło do poważnego konfliktu między rządem premier Giorgii Meloni a samorządami. W Brukseli mają nadzieję na sukces włoskiego planu, ponieważ jego realizacja będzie miała głębokie implikacje dla architektury fiskalnej UE. Jeśli się nie uda, postawi to pod znakiem zapytania decyzję Unii o „złamaniu zasad" i zwiększeniu wspólnego zadłużenia, aby pomóc państwom członkowskim wyjść z pandemii. „To bardzo ważny plan" – mówił w rozmowie z „Financial Times" Filippo Taddei, starszy ekonomista europejski w Goldman Sachs, wskazując na jego potencjał w zakresie zwiększania wzrostu w UE poprzez inwestowanie w rzeczy, które mają wpływ na poziom produktywności.

POD PRESJĄ

Fundusz Odbudowy miał być odpowiedzią Unii Europejskiej na konkurencję Chin oraz USA, gdzie ustawa

Fot. paparazzza/Shutterstock

eprasa.pl 77349d6db8

administracji Bidena o redukcji inflacji (Inflation Reduction Act) z 2022 r., która pozwala na inwestycje o wartości 783 mld dol. w walkę ze zmianami klimatycznymi i dekarbonizację, głównie w drodze ulg podatkowych, wywołała światowy wyścig o dotacje. Fundusz Odbudowy miał zapewnić Europie środki umożliwiające dotrzymanie kroku tej konkurencji, jednak niektórzy kwestionują, że to się uda.

„11 z 27 państw członkowskich znajdowało się w recesji [w 2023 r.] nie dlatego, że Next Generation EU jest bezużyteczny, ale dlatego, że wojna na Ukrainie zmieniła wszystko w środowisku gospodarczym w Europie" – uważa Taddei. Wiele rządów antydatowało więc inwestycje, w efekcie zastępując wydatki krajowe funduszami UE – co jest dozwolone, o ile są one zgodne z unijnymi celami, ale to dodatkowo ograniczyło efekt wzrostu. Wraz ze zwiększeniem się inflacji koszty wszystkiego, od robocizny po materiały budowlane, przekroczyły założenia budżetowe, w związku z czym większość krajów zwróciła się o wprowadzenie korekt w celu uwzględnienia wyższych cen. Zmiany rządów skutkowały także długotrwałymi renegocjacjami planów narodowych, tak jak we Włoszech, opóźniając ich realizację.

Komisja Europejska jest przekonana, że wydatkowanie całości środków z Funduszu Odbudowy wciąż jest możliwe do 2026 r., zwiększyła więc presję na państwa członkowskie. To prowadzi jednak do kolejnego problemu: nadużyć. Na początku kwietnia Europejska Prokuratura (EPPO) ogłosiła, że we Włoszech, Austrii, Rumunii i Słowacji przeprowadzono dziesiątki przeszukań oraz aresztowano 22 osoby, które w ramach zorganizowanej grupy przestępczej zdefraudowały 600 mln euro z Funduszu Odbudowy. W 2021 r. członkowie tej grupy aplikowali o bezzwrotne dotacje na wspieranie cyfryzacji, innowacyjności oraz konkurencyjności małych i średnich przedsiębiorstw. Sfabrykowali bilanse tych przedsiębiorstw, aby udokumentować, że ich firmy są aktywne i rentowne, podczas gdy w rzeczywistości były fikcyjne. W celu ukrycia przestępczych transakcji wykorzystano serwery w chmurze za granicą, kryptowaluty i sztuczną inteligencję. W nielegalną działalność byli także zaangażowani notariusze.

Ze sprawozdania rocznego EPPO za 2023 r. wynika, że tylko we Włoszech wszczęto 556 śledztw, które dotyczyły sprzeniewierzenia środków z Next Generation EU na kwotę ok. 6 mld euro oraz łącznie 1927 dochodzeń w 19 państwach członkowskich UE. Całkowite szkody dla budżetu UE szacuje się na 19,2 mld euro.

EPILOG

Spłata zadłużenia z unijnego Funduszu Odbudowy ma się rozpocząć w 2028 r. Według prezesa Europejskiego Trybunału Obrachunkowego Tony'ego Murphy'ego oznacza to, że „UE wkrótce znajdzie się pod znaczną presją fiskalną". O ile pożyczki będą musiały zostać spłacone przez państwa członkowskie, które je otrzymały, o tyle spłata dotacji z funduszu naprawczego będzie wymagała środków z budżetu Unii. Murphy oszacował obciążenie odsetkami z tego tytułu na „od 17 do 27 mld euro [do 2027 r.]", dodając, że obecnie Wspólnota nie ma na to własnego źródła finansowania. „UE ma także ambicje finansowe w innych obszarach, takich jak rozszerzenie, Ukraina, obrona i bezpieczeństwo, a wszystko to kosztuje. Trzeba więc skądś wziąć pieniądze lub zwiększyć zadłużenie" – dodał. Jego zdaniem Next Generation EU to właściwa nazwa dla funduszu, bo „następne pokolenia będą musiały za to zapłacić".

eprasa.pl 77349d6db8

Dylematy spikera Michaela Johnsona

Najbliższy czas okaże się zapewne rozstrzygający dla nurtującego świat pytania o amerykańskie wsparcie militarne dla Izraela, Tajwanu i Ukrainy

JAN ROKITA

Sławna, a zarazem tak konfliktowa ustawa o programie pomocy, opiewająca na kwotę 95 mld dol., wniesiona przez rząd Bidena, chłodzi się w „zamrażarce" spikera niższej izby Kongresu USA od lutego, odkąd została uchwalona przez Senat zdominowany przez Partię Demokratyczną. Globalne znaczenie tego programu jest oczywiste dla każdego. Wszystkie trzy kraje – Izrael, Tajwan i Ukraina – są w istocie militarnymi klientami Ameryki, bez której nie tylko ich bezpieczeństwo, lecz także sama egzystencja staje pod znakiem za-

eprasa.pl 77349d6db8

pytania. I żaden z nich, jeśli znajdzie się w potrzasku, nie może w istocie liczyć na nikogo innego poza Ameryką.

Co więcej, Izrael i Ukraina aktualnie prowadzą morderczą wojnę, zaś Ukraińcom już za chwilę (jak niemal zgodnie uważają znawcy prowadzenia wojen) grozi przełamanie frontu na wschodzie i południu, a w konsekwencji wtargnięcie wrogiej rosyjskiej armii nad Dniepr, do samego centrum kraju. Z kolei Izrael brutalnie pacyfikuje Palestyńczyków w Strefie Gazy, co w USA wzmaga naciski na zatrzymanie programów dostaw sprzętu wojskowego do tego kraju, lecz zarazem stoi wobec realnego niebezpieczeństwa kolejnej wojny z całą perską potęgą. Tajwan na razie nie musi prowadzić żadnej wojny, ale każdy rozumie, iż w Pekinie szukają tylko wygodnej okazji, absorbującej Amerykę w innych rejonach świata, aby zaryzykować blokadę morską wyspy i jej szybki podbój.

WARUNEK REPUBLIKANÓW

Cały ów kontekst międzynarodowy i fundamentalne znaczenie programów militarnego wsparcia ze strony USA jest dobrze znany. Rzecz jednak w tym, że kwestia finansowania pomocy została w Ameryce uwikłana w kilka wewnętrznych konfliktów o kolosalnym politycznym znaczeniu dla przyszłości.

Republikanie, dla których priorytetem (zresztą podobnie jak dla europejskiej prawicy) od dawna jest powstrzymanie narastającej fali imigracji Latynosów, już w połowie 2023 r. sygnalizowali zamiar powiązania swojej zgody na zagraniczną pomoc militarną od zmiany liberalnej polityki imigracyjnej lewicowego rządu. Ekipa Bidena przez długi czas lekceważyła jednak owe zapowiedzi, najwyraźniej mając nadzieję, że w obliczu wojny na Ukrainie, a od 7 października również na Bliskim Wschodzie, uda się przymusić prawicowych parlamentarzystów, uzyskując w efekcie dwupartyjny placet dla pomocy zagranicznej.

W październiku 2023 r. republikanie w Senacie zgodzili się na stworzenie dwupartyjnego zespołu, który miał wypracować nowy, bardziej restrykcyjny model polityki imigracyjnej kraju. Negocjatorem z ramienia prawicy został senator James Lankford z Oklahomy, baptystyczny pastor młodzieży, opisywany wszędzie nie tylko jako konserwatysta i zwolennik Trumpa, lecz także, co ważne, jako „jeden z najbardziej szczerych i lubianych członków Senatu". Z daleko idącą dobrą wiarą Lankford pracował z demokratami niemal cztery miesiące nad zmianą prawa imigracyjnego.

Jednak w czasie, gdy te dwupartyjne negocjacje zmierzały do finału, rząd Bidena wszczął nieoczekiwaną „wojnę" z Teksasem, wysyłając federalną Straż Graniczną, aby siłą niszczyła zasieki, jakie stan wzniósł na brzegu Rio Grande, przez którą tylko w grudniu 2023 r. przedostało się aż 300 tys. nielegalnych imigrantów. Sprawa oparła się w końcu o Sąd Najwyższy, który uznał wyższość federalnej polityki imigracyjnej nad polityką stanową.

Jednak ideologiczne zacietrzewienie rządu Bidena w kwestii imigracji, a zwłaszcza „wojna" federalnej Straży Granicznej z Teksasem, wywołały skrajną irytację republikanów. Nic zatem dziwnego, że kiedy na początku lutego Lankford osiągnął kompromis z demokratami, jego własna partia zignorowała jego prace, nieprzyzwoicie wystawiając samego negocjatora do wiatru. Niemal wszyscy senatorowie Partii Republikańskiej *a priori* odrzucili kompromis imigracyjny po tym, jak Donald Trump uznał go za niewystarczający i szkodliwy dla jego kampanii prezydenckiej. „Myślę, że to także fatalna ustawa dla dalszej kariery Lankforda, zwłaszcza w Oklahomie" – dodawał prowokacyjnie Trump w audycji radiowej. Jedno było jasne: arogancka polityka wobec Teksasu walnie przyczyniła się do tego, że wśród republikanów odrzucono ideę jakiejkolwiek współpracy z Bidenem na polu imigracji aż do listopadowego rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich.

W konsekwencji oznaczało to paraliż powiązanego z imigracją planu pomocy militarnej dla trójki sojuszników. Ustawa o 95 mld dol., uchwalona 13 lutego w Senacie, kilka dni po zerwaniu kompromisu Lankforda, znalazła się w ręku Michaela Johnsona – spikera Izby Reprezentantów, zdominowanej przez republikanów. A ten, jak łatwo było przewidzieć, odmówił poddania jej pod głosowanie, do czego – dodajmy – w świetle zwyczajów Kongresu ma prawo. Od połowy lutego trwa więc zmasowana presja, mająca na celu wymuszenie zmiany stanowiska Johnsona, wywierana przez rząd Bidena. Kluczowym argumentem stała się oczywiście pogarszająca się z dnia na dzień wojenna sytuacja Ukrainy, przegrywającej kolejne bitwy i tracącej powoli, ale konsekwentnie terytorium na rzecz Moskwy. W tej kampanii presji na Johnsona istotną rolę odgrywają europejscy przywódcy, na serio wystraszeni perspektywą, iż w najbliższym czasie to na unijną Europę spadłby główny ciężar ratowania zagrożonej ukraińskiej państwowości.

Europejczycy mają różne strategie presji na amerykańskiego spikera. Podczas lutowej wizyty w Waszyngtonie premier Tusk wystąpił przed Białym Domem wobec dziennikarzy z frontalnym atakiem na Johnsona, czyniąc go odpowiedzialnym za śmierć „tysięcy istnień ludzkich na Ukrainie". W tym samym czasie prezydent Duda spotkał się z Johnsonem, chwalił szczerość przeprowadzonej z nim rozmowy i wspierając Bidenowski plan pomocy dla zagranicy, unikał osobistych ataków na spikera Izby Reprezentantów. Z kolei w ostatnich dniach szef brytyjskiej dyplomacji Cameron, który przed swoją wizytą w USA publicznie przechwalał się, iż zamierza wywrzeć presję na Johnsona, został przezeń zlekceważony i w ogóle odmówiono mu spotkania. Nie pomogło nawet to, że szef brytyjskiego MSZ zjadł kolację z samym Trumpem w jego rezydencji w Palm Beach na Florydzie, podczas której miał prosić o pomoc w organizacji spotkania ze spikerem. Przy okazji angielska dyplomacja stała się obiektem prasowych kpin, gdyż nieudolnie próbowała ratować twarz swojego szefa, przekonując, że to wszystko z powodu niemożliwych do przezwyciężenia kłopotów z kalendarzem obu polityków.

KONIEC MIĘKKIEJ GRY Z BIDENEM

Sam Johnson znalazł się w wyjątkowo niekomfortowym położeniu. Kiedy w drugiej połowie marca ogłaszał dwutygodniową przerwę w pracy posłów, zapowiedział, że po jej zakończeniu Izba

eprasa.pl 77349d6db8

Reprezentantów zajmie się projektem Bidena, tyle tylko że „zapewne wprowadzi do niego kilka istotnych zmian".

Republikanie zastanawiali się nad zmniejszeniem kwot pomocy, by ściąć (ze względów na postulowane przez nich oszczędności fiskalne) pomoc humanitarną, pozostawiając w ustawie jedynie fundusze na sprzęt wojskowy i amunicję. Sam Johnson sugerował, iż w przypadku pomocy Ukrainie (co stanowi dwie trzecie kwot przewidzianych w projekcie) można by dotacje budżetowe zamienić na jakąś formę kredytu, obniżając koszty amerykańskiego podatnika poprzez konfiskatę i przekazanie Kijowowi zamrożonych w Ameryce rosyjskich aktywów. Wyglądało więc na to, że Johnson nie jest przeciwny militarnej pomocy dla zagranicy, chciałby tylko, aby uszanowano przy tej okazji tak kluczową dla republikanów troskę o to, by zwykłych Amerykanów nie obciążać podatkami, z których miałyby korzystać obce kraje.

I pewnie tak by się stało już w ostatnich dniach, gdyby nie to, że swoimi zapowiedziami spiker nadział się na ostrą kontrę przede wszystkim ze strony znanej z ekstrawagancji posłanki z Georgii – Marjorie Taylor Greene. Ta radykalna „trumpistka", znana ze nietypowej rady udzielonej publicznie brytyjskiemu szefowi dyplomacji („kiss my ass"), jeszcze nim Kongres rozjechał się na marcowe wakacje, złożyła wniosek o odwołanie Johnsona z funkcji spikera. Argumentowała, że swoimi zapowiedziami w sprawie ustawy o pomocy „zdradza Amerykanów i wysługuje się Bidenowi".

Jak do tej pory pani poseł Green nie zażądała rychłego głosowania swego wniosku (a mogłaby to przeforsować zgodnie z procedurami), ale najwyraźniej traktuje go jako swoisty miecz Damoklesa zawieszony nad głową spikera. Rzecz bowiem w tym, iż przewaga republikanów w Izbie Reprezentantów jest minimalna, a sam Johnson doskonale musi pamiętać to, co przytrafiło się jego poprzednikowi – spikerowi Kevinowi McCarthy'emu, kiedy postawił na (jak mu się zdawało) lojalną współpracę z obozem Bidena przy okazji uchwalania prowizorium budżetowego rządu w październiku 2023 r.

Alt-prawicowe skrzydło republikanów postanowiło wówczas doprowadzić rząd Bidena do głębokiego kryzysu konstytucyjnego, blokując nie tylko pomoc zagraniczną, lecz także cały budżet federalny, a nawet uniemożliwiając przyjęcie prowizorium budżetowego. Ale poprzednik Johnsona na funkcji spikera w najbardziej krytycznym dla rządu momencie oświadczył, iż jego partia „zrobi to, co do niej należy i zachowa się tak, jak winni zachować się dorośli ludzie". McCarthy zmienił kurs republikanów, wraz z demokratami ratując budżet i wyciągając Bidena z opresji. Wiedział, że skrajne skrzydło partii zaatakuje go wnioskiem o odwołanie, ale nie krył się z tym, że liczy na pomoc ludzi Bidena. Mylił się jednak.

> W Ameryce kwestia finansowania pomocy militarnej dla sojuszników została uwikłana w kilka wewnętrznych konfliktów o kolosalnym politycznym znaczeniu dla przyszłości

Demokraci natychmiast wykorzystali osłabienie spikera, aby go obalić, wywołując potężny kryzys Partii Republikańskiej, a sam McCarthy jako polityk wypluty przez obie partie z dnia na dzień znalazł się na marginesie polityki. Tak właśnie kończy się patriotyczny idealizm w warunkach głębokiej międzypartyjnej nienawiści.

Michael Johnson wyłonił się z tego kryzysu jako nowy partyjny lider jednoczący republikanów. To rzetelny i ideowy polityk, który sam o sobie mówi, iż to jego „chrześcijańska wiara kształtuje wszystko, co czyni". Ale nowy spiker musi mieć zarazem świadomość tego, jak wiarołomnymi partnerami są ludzie Bidena. I że każda utrata poparcia własnego skrajnego skrzydła zostanie przez demokratów wykorzystana dla obalenia go i wywołania długotrwałych wstrząsów w Partii Republikańskiej tuż przed wyborami prezydenckimi.

Tym razem stawka jest nawet wyższa niż w przypadku McCarthy'ego, bo nie idzie już tylko o przywództwo w Kongresie i partii, lecz także o prezydenturę USA. Tym bardziej że ostatnio sondaże Bidena ruszyły nieco w górę, a urzędujący prezydent znów ma lekką, choć wzrastającą przewagę nad Trumpem. Nieostrożne zachowanie spikera w sprawie ustawy o pomocy zagranicznej grozi zamętem i kompromitacją republikanów, wprost uderzającą w szanse Trumpa. Johnson, który jest jego stronnikiem i wiąże przyszłość Ameryki z jego prezydenturą, zastanowi się więc pięć razy, niźli zrobi coś, co sprowadziłoby katastrofę na Trumpa, republikanów i niego samego.

SOJUSZNICY NIECIERPLIWIE CZEKAJĄ

Gdy piszę te słowa, nikt nie wie, jak potoczą się losy amerykańskiej pomocy militarnej dla trójki sojuszników znajdujących się w poważnej potrzebie.

Izrael i Tajwan nie są jeszcze w potrzasku, ale mogą się w nim znaleźć w razie nagłego wybuchu wojny z Iranem czy Chinami. W gorszej sytuacji jest Ukraina, choć po prawdzie istnieje coraz mniejsze prawdopodobieństwo, aby nawet zgoda Kongresu na sfinansowanie dostaw broni mogła jeszcze odegrać istotną rolę w militarnym rozstrzygnięciu losów wojny z Moskwą. Ostatnio prezydent Zełenski mówił z wyraźną pretensją, że amerykańskie dostawy broni wydłużają się w czasie, a często bywa tak, iż sprzęt potrzebny na wcześniejszym etapie wojny pojawia się, gdy jego potrzeba przestaje być już aż tak kluczowa.

Jest dość prawdopodobne, że losy Ukrainy rozstrzygną się latem i jesienią br. Wtedy okaże się, czy armia ukraińska jest nadal zdolna do obrony jakiejkolwiek części południowo-wschodnich, lewobrzeżnych regionów kraju. Nawet gdyby amerykańska ustawa weszła w życie w maju, to kolejne duże dostawy amerykańskiej broni na Ukrainę pewnie i tak okazałyby się spóźnione.

eprasa.pl 77349d6db8

Czy Białoruś przygotowuje się do wojny?

MAREK BUDZISZ

Alaksandr Łukaszenka, przebywając niedawno w okolicach Grodna, oświadczył bez ogródek: „Przygotowujemy się do wojny, mówię o tym uczciwie". Do czego tak naprawdę przygotowuje się Białoruś i czy zagrożenie z jej strony jest realne?

Fot. Sasa Dzambic Photography/Shutterstock.com

To nie pierwsza tego rodzaju wypowiedź białoruskiego dyktatora. Pod koniec lutego w czasie rozszerzonego posiedzenia z przedstawicielami resortów siłowych, diagnozując sytuację geopolityczną, oznajmił, że jego zdaniem „sytuacja na świecie jest na tyle poważna, że należy odrzucić wszelkie złudzenia co do możliwości dyplomatycznego rozwiązania globalnego konfliktu", a to oznacza, że starcie jest nieuchronne i należy być gotowym.

W takiej sytuacji zasadne wydaje się pytanie, czy Białoruś przygotowuje się do wojny, czy może raczej mamy do czynienia wyłącznie z retoryką ekstrawaganckiego dyktatora.

W PODWYŻSZONEJ GOTOWOŚCI

To nie retoryka, uważa Waleryj Sachaszczyk, były dowódca jednej z białoruskich brygad sił powietrzno-desantowych, który

eprasa.pl 77349d6db8

związał się z opozycją i w emigracyjnym rządzie tymczasowym odpowiada za sprawy bezpieczeństwa. W czasie niedawnych obchodów Dnia Wolności, święta niezależnej Białorusi, powiedział, że rosyjscy i białoruscy wojskowi przygotowują się do ataku na Litwę. Jego elementem miałby być też szantaż nuklearny, a nie można nawet wykluczyć równoległego użycia przez Moskwę broni jądrowej. Sachaszczyk został skrytykowany za te słowa przez sympatyzujące ze „starą emigracją" i krytyczne wobec polityki Cichanouskiej media, które zarzuciły mu uleganie „teoriom spiskowym", a także przez reprezentantów inicjatywy BelPol, skupiającej byłych pracowników resortów siłowych, którzy przeszli na stronę opozycji.

Sachaszczyk nie wycofał się jednak ze swoich tez, a nawet rozwinął je w późniejszych wywiadach radiowych. W jego opinii obserwowana od pewnego czasu większa aktywność białoruskich sił zbrojnych, w tym realizowane w ramach akcji sprawdzania gotowości bojowej ćwiczenia, m.in. wzmacnianie jednostek odpowiedzialnych za ochronę w sytuacji użycia broni masowego rażenia, potwierdzają, że tego rodzaju scenariusz jest testowany, co nie oznacza 100-proc. pewności jego uruchomienia. Nie zmienia to jednak faktu, że przygotowania trwają, remontowane są m.in. mosty i przeprawy drogowe, po to, aby obsłużyć zwiększone w czasie wojny potrzeby logistyczne. Zarówno w Moskwie, jak i w Mińsku jest podtrzymywana narracja o niezdolności kolektywnego Zachodu do walki w obronie państw bałtyckich.

Pawieł Łatuszka, białoruski polityk emigracyjny i bliski współpracownik Swiatłany Cichanouskiej, powiedział również pod koniec marca w wywiadzie radiowym, że jego zdaniem atak pancerny białoruskiej armii na Litwę, która miałaby chcieć w ten sposób „przebić się do obwodu królewieckiego" jest „realistycznym scenariuszem". Na potwierdzenie swych słów polityk przywołał słowa Pawła Murawiejki, zastępcy szefa białoruskiej Rady Bezpieczeństwa, który miał powiedzieć, że Mińsk „ma prawo" do operacji tego rodzaju. Zwrócił także uwagę na fakt, iż na wyposażeniu białoruskich sił zbrojnych znajdują się rosyjskie Iskandery, które są systemami podwójnego przeznaczenia. Oznacza to, że jeśli Łukaszenka zdecydowałby się na agresję, byłby w stanie budować sytuację „strategicznej ambiwalencji". Przemieszczając wyrzutnie tych rakiet w stronę Litwy, mógłby sugerować, że są one uzbrojone w głowice jądrowe, czemu zresztą mogła by sprzyjać aura nieodpowiedzialności czy wręcz szaleństwa, otaczająca białoruskiego dyktatora. Łatuszka powiedział też, że białoruska opozycja pozyskała informacje potwierdzające, iż tego rodzaju scenariusz jest analizowany przez wojskowych.

Na słowa Sachaszczyka zareagował też Alaksandr Łukaszenka, który pod koniec marca wizytował jeden z poligonów na granicy z Litwą, niedaleko Oszmian „na kierunku" wileńskim. Oświadczył on, że Białoruś „nie ma zamiaru na nikogo napadać", ale jeśli zostanie naruszona granica państwowa, to siły zbrojne są gotowe do walki. Alaksandr Naumienko, dowodzący północno-zachodnim kierunkiem operacyjnym, powiedział, raportując Łukaszence, że prawdopodobne są „prowokacje graniczne ze strony Litwy i Polski", w tym próby przeniknięcia na Białoruś grup dywersyjnych i „nielegalnych formacji zbrojnych". W połowie marca generał-major Wiktor Gulewicz, pierwszy zastępca białoruskiego ministra obrony, oświadczył, że trwające właśnie „sprawdzanie gotowości bojowej" w siłach zbrojnych zostanie w najbliższym czasie nasilone, a jego słowa potwierdzają ostatnie doniesienia o postawieniu w stan podwyższonej gotowości bojowej jednostek odpowiadających za obronę powietrzną, ochronę medyczną i sił powietrzno-desantowych.

> Manifestowanie wojowniczej postawy przez białoruski reżim nie jest zapowiedzią wybuchu wojny, służy raczej polityce wewnętrznej – uważają niektórzy komentatorzy. W sytuacji zagrożenia obywatele mają skłonność do „jednoczenia się wokół sztandaru", jak mówią amerykańscy socjologowie, a to wzmacnia pozycję obozu władzy

Wojna i tak zbliża się do granic Rzeczypospolitej. Kilka dni temu wybuchł pożar na okręcie rakietowym Sierpuchow, dokującym w Bałtijsku w obwodzie królewieckim. Jak informują media, straty są poważne. Jednostka została na dłuższy czas wyłączona z eksploatacji, a cała operacja ma być skuteczną akcją ukraińskiego wywiadu wojskowego, który przyznał się do tego, umieszczając w mediach oświadczenie, w którym napisano m.in., że „będzie więcej" tego rodzaju działań. Jeśli tak, to trzeba się liczyć z „przenikaniem" na teren Białorusi „grup dywersyjnych", o czym mówili przedstawiciele tamtejszych resortów siłowych.

PEŁNA MOBILIZACJA

W tej sytuacji zasadne wydaje się pytanie, do czego może się przygotowywać Białoruś – do wojny, prowokacji granicznych czy mamy jedynie do czynienia z sygnalizacją strategiczną ze strony Mińska, który w ten sposób informuje państwa ościenne, iż jest gotowy na każdą ewentualność? Wydaje się, że na Białorusi mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko działaniem na pokaz. Świadczy o tym też ostatnia decyzja brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dodająca naszego sąsiada do listy siedmiu krajów, do których, zdaniem resortu, obywatele Zjednoczonego Królestwa nie powinni jeździć z powodów bezpieczeństwa.

Ale to niejedyne powody do niepokoju. Oprócz „sprawdzania gotowości bojowej" białoruskie władze zmieniły w ub.r. zasady mobilizacji. W świetle przedstawionych w październiku ub.r. projektów teraz obywateli będzie można wzywać za pośrednictwem esemsów, a operatorzy sieci komórkowej będą zobowiązani udostępnić numery swoich abonentów w ciągu tygodnia i zagwarantować, że wezwania dotrą. Zaostrzono też kary dla tych, którzy nie stawią się na komisjach wojskowych lub będą się uchylać od udziału w ćwiczeniach. Te są organizowane częściej i, jak w przypadku nieujawnionego z nazwiska

eprasa.pl 77349d6db8

męża Jelizawiety, którego przygody opisał niezależny portal Zierkało, z uczestnictwa w nich nie zwolniło go nawet to, że żona jest w siódmym miesiącu ciąży. Powiedziała ona dziennikarzom, że „i tak miała szczęście", bo jak mąż dowiedział się od oficerów, następne szkolenie nie będzie trwało 25 dni, ale 60, lecz odbędzie się już po urodzinach dziecka. Mąż Jelizawiety, który jest podoficerem, usłyszał też w jednostce, że „oficerów i podoficerów szkoli się dalej od linii frontu". Już sama wzmianka o froncie zatrwożyła mieszkankę Mińska.

UZALEŻNIONA OD MOSKWY

Stale pogłębia się też współpraca wojskowa Białorusi z Rosją. W ocenie niezależnych ekspertów zapisy podpisanego w maju 2023 r. programu współpracy wojskowo-technicznej między obydwoma krajami, który jest znacznie obszerniejszy od poprzedniego dokumentu na ten temat, świadczą o tym, że ma miejsce podział ról i obowiązków. Białoruś miałaby specjalizować się w niektórych rodzajach uzbrojenia, których znaczenie na współczesnym polu walki rośnie. Chodzi m.in. o systemy walki radioelektronicznej i drony własnej konstrukcji. Jeszcze w 2022 r. władze Białorusi zapowiedziały zwiększenie produkcji amunicji artyleryjskiej i dążenie do zlokalizowania na terenie kraju całego cyklu produkcyjnego systemów bezzałogowych we współpracy z Iranem.

Nowa Koncepcja Bezpieczeństwa Narodowego, która ma być przyjęta w br., ale już w styczniu ujawniono jej niektóre zapisy, ma kłaść większy nacisk na kwestie odstraszania państw NATO, przede wszystkim Polski. Obecność rosyjskiej broni jądrowej na terenie Białorusi, co zostało potwierdzone w połowie marca przez przedstawicieli zachodnich służb wywiadowczych, ma być jednym z elementów wzmocnienia systemu odstraszania. Jeśli chodzi o liczebność i rzeczywiste zdolności białoruskich sił zbrojnych, to w związku z utajnieniem danych przez władze jesteśmy skazani na szacunki ekspertów. Jeszcze przed sfałszowanymi przez Łukaszenkę wyborami w 2020 r. stan kadrowy sił zbrojnych Białorusi oceniano na 46–50 tys. żołnierzy i 14–15 tys. pracowników cywilnych. Te liczby nie oddają jednak rzeczywistych zdolności. Jedynie Siły Operacji Specjalnych (brygady 103. 85. i 5., łącznie ok. 6 tys. żołnierzy i oficerów) uznawano za gotowe do szybkiego podjęcia działań operacyjnych, pozostałe związki taktyczne armii białoruskiej miały w dużej mierze charakter szkieletowy i taki utrzymały również w kolejnych latach.

Na zdolności do działania sił zbrojnych negatywny wpływ miały też wieloletnie oszczędności budżetowe. W latach 2011–2020 wydatki na obronę oscylowały wokół 1 proc. PKB, czemu zresztą przez długie lata towarzyszyła niechęć Moskwy do dostarczania na Białoruś bardziej zaawansowanych technologicznie systemów uzbrojenia. Po 2020 r. te ostatnie ograniczenia zostały zdjęte, ale póki co trudno mówić o przełomie.

Eksperci wypowiadający się o zdolnościach białoruskich sił zbrojnych już po 2022 r. podkreślają, iż niezależnie od deklaracji Mińska nie udało się rozwiązać kryzysu kadrowego. Zdolności amii szacują oni na ok. 45 tys. żołnierzy, a potencjał przeszkolonych rezerwistów na 290 tys. osób. Do tego należałoby dodać 120 tys. Wojsk Obrony Terytorialnej. Ich zdaniem prawdopodobieństwo użycia tych sił przez Łukaszenkę jest niewielkie ze względu na powszechną niechęć społeczeństwa, w tym tych, którzy sami określają się mianem zwolenników obecnych władz, do ewentualnego angażowania się w wojnie po stronie Rosji. To skłania niektórych komentatorów, takich jak Waleryj Karbalewicz z Radia Swoboda, do formułowania poglądu, że manifestowanie wojowniczej postawy białoruskiego reżimu nie jest zapowiedzią wybuchu wojny, a służy raczej polityce wewnętrznej. W sytuacji zagrożenia obywatele mają skłonność do „jednoczenia się wokół sztandaru", jak mówią amerykańscy socjologowie, a to, niezależnie od innych czynników, wzmacnia pozycję obozu władzy. Łukaszenka już po aneksji Krymu budując narrację, w świetle której na Białorusi może nie żyje się bogato, ale w przeciwieństwie do sąsiedniej Ukrainy spokojnie i bezpiecznie, przed kolejnymi wyborami prezydenckimi ma zamiar odwoływać się do tego rodzaju mechanizmów psychologicznych, prezentując się jako gwarant pokoju.

Jeśli zatem analizować ewentualne zagrożenie ze strony Białorusi, to trzeba podkreślić dwa elementy. Po pierwsze, rosnące uzależnienie polityczne i ekonomiczne Mińska od Moskwy, co przejawia się choćby pogłębiającą się współpracą w obszarach wojskowych. Drugim czynnikiem jest gotowość reżimu Łukaszenki do podejmowania agresywnych działań poniżej art. 5, co potwierdził kryzys migracyjny na granicach z państwami NATO. Jak można przypuszczać, wojownicza retoryka jest również elementem strategicznej komunikacji Mińska, który w ten sposób dąży zarówno do odstraszenia sąsiadów, jak i pokazania Kremlowi, iż jest wiarygodnym sojusznikiem.

Nawet jeśli zgodzić się z opiniami ekspertów, w świetle których Łukaszenka nadal utrzymuje sporą dozę autonomii wobec Rosji, to możemy w najbliższym czasie mieć do czynienia ze scenariuszami zakładającymi zaostrzenie sytuacji na granicach z państwami NATO. W tym przypadku nie chodzi o ryzyko wybuchu wojny na pełną skalę o wysokim poziomie intensywności, bo Mińsk nie ma zdolności do samodzielnych działań tego rodzaju. Taki scenariusz jest możliwy jedynie wówczas, gdyby w Moskwie podjęto decyzję o rozpoczęciu wojny z Paktem Północnoatlantyckim, co obecnie wydaje się mało realne. Nie można jednak wykluczyć, że w ramach rosyjsko-białoruskiej strategii rywalizacji z NATO Mińskowi przypadnie rola „proxy-agresora", państwa działającego w zastępstwie Rosji, które będzie destabilizowało sytuację na swych granicach, nie przekraczając jednocześnie granicy konfliktu kinetycznego.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 77349d6db8

Zapaść Grupy Wyszehradzkiej

Dziś coraz trudniej o wspólne stanowisko Warszawy, Pragi, Bratysławy i Budapesztu w jakiejkolwiek istotnej sprawie

GRZEGORZ GÓRNY

Ostatnie spotkanie Grupy Wyszehradzkiej odbyło się w Pradze w lutym tego roku

Fot. KPRM

W listopadzie ub.r. zostałem zaproszony na prywatny uniwersytet CEVRO w Pradze, by wziąć udział w dyskusji na temat sytuacji politycznej w Polsce po wyborach 15 października. Prowadzący dyskusję redaktor naczelny czeskiego tygodnika „Echo 24" Dalibor Balšínek zapytał mnie, czy nowy rząd w Warszawie będzie (tak samo jak jego poprzednicy) wyciągał zamiast Czechów gorące kasztany z ognia.

Co kryło się za tą metaforą? Otóż polska władza niejeden raz przeciwstawiała się Brukseli, gdy w Unii podejmowano decyzje uderzające w interesy krajów Europy Środkowej. Warszawa robiła to jednak najczęściej samotnie, ponieważ pozostałe, mniejsze państwa naszego regionu co prawda gorąco nam kibicowały i zachęcały do stawiania oporu, ale same nie przyłączały się do protestu. Grały przed unijnymi elitami rolę przewidywalnych, spolegliwych prymusów, chowając się za plecami Polaków i zostawiając im czarną robotę do wykonania. W efekcie to głównie Warszawa broniła konkurencyjności gospodarek Europy Środkowej. Byliśmy bowiem uznawani za duży kraj, który może postawić się Niemcom, Francuzom i eurobiurokracji, zaś inne państwa regionu wolały się nie narażać potężnym graczom.

Powyższa diagnoza czeskiego publicysty dotyczyła głównie rządów PiS, które potrafiło zachowywać większą asertywność wobec nacisków Unii Europejskiej. Przypominano, że w latach 2007–2014 poprzednia ekipa Donalda Tuska bardziej starała się płynąć w głównym nurcie UE, przywiązując większą wagę do udziału w Trójkącie Weimarskim razem z Niemcami i Francją niż w Grupie Wyszehradzkiej (V4) z Węgrami, Czechami i Słowacją.

W praskiej dyskusji pobrzmiewało zaniepokojenie, czy nasz format regionalnej współpracy przetrwa. Z nostalgią odwoływano się przy tym do pamięci o najlepszym okresie funkcjonowania naszego środkowoeuropejskiego sojuszu, który przypadł na lata 2016–2021.

V4, V3+1 CZY V2+2?

W tamtym czasie Grupa Wyszehradzka wydawała się prezentować na arenie międzynarodowej jako monolit. Mówiła na forum unijnym wspólnym głosem, protestując przeciw polityce imigracyjnej Brukseli, wyśrubowanym normom transformacji energetycznej, coraz większym tendencjom centralizacyjnym Unii czy dyrektywom likwidującym konkurencyjne przewagi naszego regionu. Komentatorzy w zachodnich stolicach zwracali wówczas uwagę, że po raz pierwszy od upadku komunizmu Europa Środkowa zyskała podmiotowość i sprawczość, artykułując własne interesy oraz wpływając na procesy decyzyjne w skali kontynentu. Niektórzy porównywali nawet V4 do czterech muszkieterów, których miała obowiązywać zasada: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

W rzeczywistości owa jednomyślność wcale nie była tak oczywista. Wcześniej bywały bowiem okresy, gdy muszkieterowie nie dotrzymywali swych zobowiązań.

W 2015 r. podczas spotkania premierów V4 wszystkie państwa członkowskie ustaliły, że wspólnie wystąpią na forum unijnym przeciw kwotowemu mechanizmowi przymusowej relokacji uchodźców. Gdy doszło jednak do szczytu UE w Brukseli, Ewa Kopacz wyłamała się z wcześniejszych ustaleń i w imieniu Polski wyraziła gotowość przyjęcia określo-

eprasa.pl 77349d6db8

nej liczby uchodźców. Czechy, Słowacja i Węgry solidarnie głosowały przeciw. Po tym zdarzeniu czeski minister spraw wewnętrznych Milan Chovanec stwierdził, że w ten sposób Polska sama się wykluczyła z Grupy Wyszehradzkiej. „Obawiam się, że od teraz to V3", napisał na dawnym Twitterze.

Później w przestrzeni publicznej pojawiło się też określenie V2+2. W ostatnich latach było ono używane głównie przez publicystów i polityków w Pradze i Bratysławie, którzy namawiali swoje rządy do rozluźnienia relacji w ramach Wyszehradu. Czeski politolog i pisarz Jiří Pehe zachęcał premiera Petra Fialę, by ten zdystansował się od „nacjonalistycznego populizmu" Polski i Węgier, dzięki czemu poprawi swój wizerunek na arenie międzynarodowej. Wtórował mu Ondřej Benešík z Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, a więc partii wchodzącej w skład koalicji rządowej, mówiąc, że do tej pory Czesi odgrywali w Grupie Wyszehradzkiej rolę pożytecznych idiotów, walcząc o interesy Węgier, dlatego już czas z tym skończyć. W podobnym tonie wypowiadał się Jan Farský z będącego u władzy ugrupowania Burmistrzowie i Niezależni, który mówił, że Grupa V4 jest przereklamowana i nie wnosi niczego wartościowego do polityki Czech, a jedyne, co dobrze się w niej sprawdza, to relacje ze Słowacją.

Głosy te znajdowały posłuch w niektórych kręgach w Bratysławie. Słowacki politolog Tomáš Strážay zauważał, że podobne stanowisko zajmował stojący na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych w latach 2020–2022 Ivan Korćok. Jego zdaniem zbytnie zbliżenie z Warszawą i Budapesztem było niemile widziane w Brukseli, Berlinie czy Paryżu. Nic więc dziwnego, że francuski „Le Monde", widząc pęknięcia wewnątrz V4, wyrażał nadzieję, iż Grupa Wyszehradzka, ta „siła destabilizująca w Unii Europejskiej", chyli się ku upadkowi.

Powtarzano wówczas, że bliższa rzeczywistości pozostaje formuła V2+2, sytuująca po jednej stronie Warszawę i Budapeszt, a po drugiej Pragę i Bratysławę. Jeszcze rok temu Czechów i Słowaków stawiano za wzór harmonijnej współpracy. Dziś to już tylko wspomnienie. Między obydwoma krajami panuje dyplomatyczna zima. Wcześniej premierzy obu państw odwiedzali się regularnie kilka razy w roku. Choć od zaprzysiężenia słowackiego rządu minęło już sześć miesięcy, Robert Fico i Petr Fiala nie rozmawiali ani razu podczas dwustronnego spotkania, a – jak mówią przecieki z czeskiego obozu władzy – nie wiadomo, kiedy mogłoby do niego dojść.

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Tak naprawdę poważny kryzys Grupy Wyszehradzkiej zaczął się po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Z powodu odmiennego stanowiska Warszawy i Budapesztu doszło wręcz do zamrożenia wzajemnych relacji między obydwoma stolicami, które do tej pory były kołem zamachowym w Grupie Wyszehradzkiej. W niedawnych wyborach parlamentarnych i prezydenckich na Słowacji triumfowała z kolei koalicja socjalistów i narodowców, która odżegnuje się od pomocy militarnej dla Kijowa, wykazując daleko idące zrozumienie dla Moskwy.

W związku z tym ujawniło się zjawisko, na które zwrócił uwagę m.in. czeski socjolog Ivan Gabal. Otóż jego zdaniem problemem jest nie tyle prorosyjskie stanowisko rządów Węgier i Słowacji, ile prorosyjskie i antyamerykańskie nastawienie tamtejszych społeczeństw, które kontrastuje z nastrojami panującymi w Polsce i Czechach. Interesujące były wyniki badań na ten temat przeprowadzonych przez specjalizujący się w problematyce środkowoeuropejskiej think tank GLOBSEC z Bratysławy. W 2022 r. (kilka miesięcy po agresji na Ukrainę i ujawnieniu zbrodni w Buczy) aż 37 proc. Słowaków i 35 proc. Węgrów uznawało, że najważniejszym strategicznym partnerem ich kraju pozostaje Rosja. Dla porównania: odsetek osób tak myślących w Polsce wynosił zaledwie 2 proc. Aż 74 proc. obywateli naszego kraju za głównego sojusznika uznawało Stany Zjednoczone, podczas gdy na Węgrzech uważało tak tylko 13 proc.

> Tak naprawdę poważny kryzys Grupy Wyszehradzkiej zaczął się po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Z powodu odmiennego stanowiska Warszawy i Budapesztu doszło wręcz do zamrożenia wzajemnych relacji między obydwoma stolicami, które do tej pory były kołem zamachowym grupy

Podobne były wyniki badań przeprowadzonych przez GLOBSEC w 2023 r. Okazało się, że ponad połowa Słowaków (51 proc.) była przekonana, iż odpowiedzialność za wybuch wojny ponosi albo prowokujący do starcia zbrojnego Zachód (34 proc.), albo uciskająca rosyjskojęzyczną mniejszość Ukraina (17 proc.). Tylko 40 proc. uważało, że winna jest Rosja. Dla porównania: 85 proc. Polaków i 71 proc. Czechów uznawało Moskwę za głównego winowajcę konfliktu.

Odmiennie kształtował się też stosunek do wsparcia militarnego dla Kijowa. Przekonanych, że dzięki temu pomagamy Ukraińcom bronić się przed Rosją, było aż 93 proc. Polaków i tylko 57 proc. Słowaków. Natomiast 34 proc. Polaków i 69 proc. Słowaków uważało, iż w ten sposób prowokujemy Moskwę do ataku. Znamienne wyniki miały również badania demoskopijne RevivEU, w których ponad 70 proc. respondentów na Słowacji opowiedziało się przeciwko wysyłaniu broni na Ukrainę. Te nastroje znalazły odzwierciedlenie w słowackich wyborach w 2023 i 2024 r.

Zwycięstwo totalnej opozycji w Polsce spowodowało, że lista rozbieżności między krajami V4 poszerzyła się o kolejne pozycje, które dotyczą zwłaszcza polityki wewnątrzunijnej. O jednomyślność w Grupie Wyszehradzkiej jest dziś coraz trudniej.

eprasa.pl 77349d6db8

Prawnuk wodza Apaczów broni podboju białych ludzi

„Tylko prawda jest ciekawa" – powiedział Józef Mackiewicz. Tyle że poznanie prawdy staje się dziś nie lada wyzwaniem, zwłaszcza gdy lewicowa ideologia pod hasłami wrażliwości i sprawiedliwości manipuluje faktami i każe patrzeć na przeszłość oczami ignorantów lub głupiutkich Julek. Czy biały człowiek, a w szczególności chrześcijanin, powinien odczuwać wyrzuty sumienia z powodu dzieła swych przodków, tym bardziej że papież Franciszek już przeprosił za podbój Ameryki w wykonaniu Hiszpanów i Portugalczyków?

MAŁGORZATA WOŁCZYK

W dzieciństwie większość z nas pochłaniała książki oraz filmy o Indianach i kowbojach (lub osadnikach), sympatyzując na zmianę to z jednymi, to z drugimi, w zależności od siły perswazji autora lub inwencji scenarzysty. Urodzeni w tzw. strefie zgniotu – między jednym imperialistą a drugim – wrażliwość na losy rdzennych mieszkańców poddanych eksterminacji wysysaliśmy z mlekiem matki, tym bardziej że byliśmy nazywani przez mocarstwa rozbiorowe „Irokezami Europy". Jednocześnie oglądając czasem wyczyny czerwonoskórych zrywających skalpy z głów osadników, przypominały nam się hordy znajomych dzikusów ze Wschodu i trzymaliśmy kciuki, aby cywilizowani wojownicy wycięli ich w pień. Nasze położenie geograficzne, choć częściej było przekleństwem, mimo wszystko uczy empatii i pozwala się wczuwać w różne role, co pozwala się zbliżyć do obiektywnej prawdy. Dziś, gdy od Kremla po Waszyngton historia jest pisana na nowo, to ważne, aby nie dać się zmanipulować.

PROPAGANDA Z WESTERNÓW

Zdarza nam się zapominać, że ponad jedna trzecia terenów obecnego USA była w pewnym momencie dziejów częścią imperium hiszpańskiego. Ba, nawet

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 77349d6db8

dolar i jego symbol $ jest dziedzictwem hiszpańskiego reala i godła Hiszpanii. Hollywoodzkie filmy ze swoją dyskretną, a czasem ordynarną propagandą wbiły nam do głowy obraz wozów osadników przemierzających dziką prerię, gdzie jeszcze nie postała stopa Europejczyka, a nagły jazgot i krzyk dzikusów w pióropuszach zwiastował najgorsze nieszczęście. I jakoś zupełnie nam umykało, że te wszystkie nazwy, doskonale nam znane z westernów, np. Río Bravo, Colorado, Sierra Madre, jakoś tak niespecjalnie odsyłały do języka Siuksów czy Apaczów, za to bezpośrednio do języka Cervantesa. Amerykanom udało się niemal całkiem przekonać świat, że protestancki osadnik przybył na ziemię niczyją, bo żaden Kolumb wcześniej do niej nie dotarł. Tymczasem biali osadnicy z Anglii, Irlandii, Francji, Niemiec zjawili się w świecie, który w większości był już cywilizacją hiszpańską, z jej językiem, religią i kulturą.

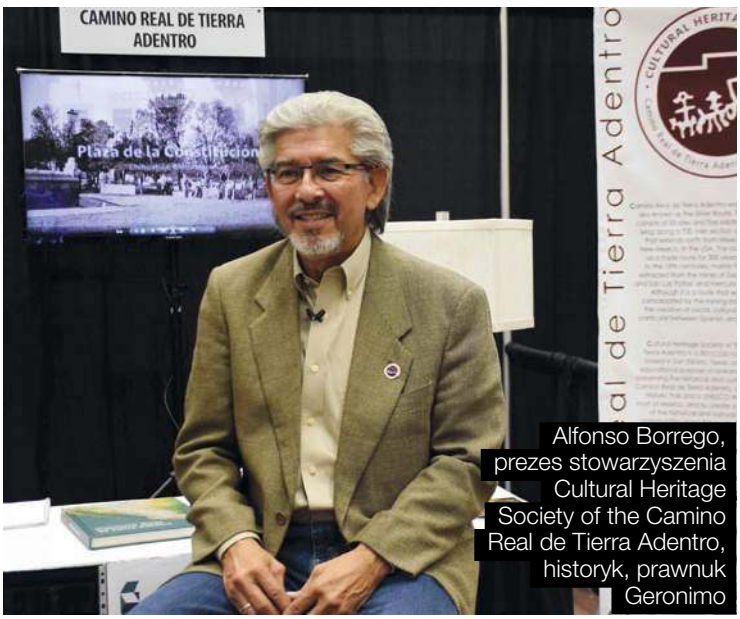

Alfonso Borrego, prezes stowarzyszenia Cultural Heritage Society of the Camino Real de Tierra Adentro, historyk, prawnuk Geronimo

GERONIMO – LEGENDARNY WÓDZ

W tym hiszpańsko-metyskim tyglu, w Apacheria na terytorium północnego Meksyku i południowej Arizony, w miasteczku, które dziś nosi nazwę Arizpe, 1 czerwca 1821 r. urodził się Geronimo – sławny wódz Apaczów. Miasteczko zostało założone przez hiszpańskiego jezuitę Jerónimo de la Canal, dlatego imię było popularne wśród Apaczów Bendoke.

Geronimo i jego rodzice zostali ochrzczeni, zachowały się nawet ich metryki chrztu. Apacze byli bardzo pokojowym plemieniem, w przeciwieństwie do stale nękających ich Komanczów, ale i to musiało się zmienić, bo ataki Meksykanów i Amerykanów spowodowały, że poczuli się zmuszeni do brutalnej walki o przetrwanie. W 1880 r. oddziały gubernatora Sonory zamordowały żonę, trójkę dzieci i matkę Geronimo. Nie pozostało mu nic innego, jak zgodnie z kodeksem honorowym poprzysiąc zemstę i stanąć na czele swego plemienia.

W 1884 r. Apaczów próbowano zmusić do zamieszkania w rezerwacie. Geronimo odmówił i przekonywał swoich ziomków, aby pod żadnym pretekstem nie dali się zapędzić do życia w niewoli. Po akcjach odwetowych Indian na osadnikach wydano rozkaz schwytania wodza, wysyłając po niego 3 tys. żołnierzy (wówczas trzecią część armii amerykańskiej). Dzięki sprytnej zasadzce został pochwycony i na trzy lata trafił do więzienia. Po tym czasie został zmuszony przez Amerykanów do pozostania w rezerwacie w Oklahomie, bez możliwości ponownego zobaczenia się ze swoim ludem. Część Apaczów, mimo poddania się Geronimo, nie zgodziła się na zniewolenie i walczyła do końca.

Wódz spędził ostatnie lata swojego życia zmuszony do grania roli tzw. wzorowego Indianina. Wziął więc udział w paradzie prezydenckiej Roosevelta oraz w licznych wystawach „dziwów", gdzie ustawiano go np. obok szympansa umiejącego posługiwać się sztućcami. Zmarł w wieku 79 lat wskutek problemów z alkoholem, jako człowiek w zasadzie złamany przez Amerykanów.

PODZIĘKUJCIE HISZPANOM

Gdy rozpoczął się amok niszczenia pomników uznawanych za symbole kolonizacji ze strony aktywistów Black Lives Matter, Hiszpanie natychmiast zareagowali odpowiedzią, że imperium hiszpańskie dbało o wolność i godność rdzennych mieszkańców, a w sukurs przyszli im profesorowie historii z krajów iberoamerykańskich i nawet potomkowie Indian, z których najbardziej znanym jest właśnie prawnuk Geronimo – Alfonso Borrego. Jego opinia wybrzmiała dość dobitnie: „Mają prosić o przebaczenie? To wy złóżcie podziękowanie za wszystko, co pozostawili nam Hiszpanie".

Ów Al (tak zwykł sobie skracać imię) Borrego stoi na czele stowarzyszenia Cultural Heritage Society of the Camino Real de Tierra Adentro i od wielu lat gości na konferencjach oraz kongresach poświęconych historii oraz kolonizacji obu Ameryk. Jego wygląd nie pozostawia wątpliwości, stąd łatwo dajemy wiarę jego słowom. „Jestem prawnukiem Geronimo, to jest zapisane w moim DNA, od strony mojej matki, która była Apaczem Chiricahua. Moi prapradziadkowie mieszkali w Arizonie, budując pierwsze linie kolejowe" – powtarza w wielu wywiadach. „Czuję się dumny z tego, że jestem Amerykaninem i wstaję, aby oddać hołd fladze USA. Ubolewam, że Indianie nie chcą wyjeżdżać z rezerwatów. Są wolni, mogą wyjechać, kiedy chcą, ale żyją w przekonaniu, że potrzebują wsparcia rządu lub że muszą tam tkwić. Nie rozumiem, dlaczego nie wyjeżdżają. Są rezerwaty, w których nie ma prądu ani wody" – mówi Borrego. Pogłębiona wiedza o przeszłości każe mu jednak przypominać o zbrodniach na jego współplemieńcach, ale dokonanych przede wszystkim przez protestantów z Anglii i samych Amerykanów.

„W szkole, gdy byliśmy mali, gdy mówiliśmy po hiszpańsku, bili nas, mówiąc, że mamy się uczyć angielskiego. Teraz uważam, że chodziło o to, aby zatrzeć dziedzictwo Hiszpanów i aby poszło ono w zapomnienie. To wszystko jest częścią wielkiego oszustwa, bo między Indianami a Hiszpanami istnieje wielowiekowy

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 77349d6db8

związek. Wierzę, że mój naród musi poznać prawdę, że topili nas w morzu kłamstw, ucząc, jakoby Hiszpanie dopuścili się okrucieństw wobec Indian, jakby to oni zabijali rdzenną ludność, podczas gdy w rzeczywistości byli to osadnicy protestanccy, głównie z Anglii" – opowiada Borrego przed publicznością Latynosów, którzy kiwają głowami na znak zgody.

„Jeśli pojedziesz do stanów o hiszpańskich nazwach: Montana, Nevada, Nowy Meksyk, Kolorado, Arizona, Utah, Kalifornia, Teksas i Floryda, to napotkasz rezerwaty Indian. Ale w Iowa, Ohio, Alabamie, Missisipi, Karolinie Północnej, Wirginii nie ma żadnych. Wiecie, dlaczego? Ponieważ różnica między Anglikiem a Hiszpanem jest taka, że Anglicy wymordowali wszystkich Indian od Plymouth Rock po stany o hiszpańskiej nazwie. Na tym polega różnica. Tam, gdzie byli Anglicy, nie ma ani jednego Indianina" – podsumowuje w wywiadzie udzielonym hiszpańskiemu dziennikowi ABC.

KULTUROTWÓRCZA ROLA MISJONARZY

Dla Hiszpanów to nic nowego: potomkowie Indian z Peru, Boliwii, Ekwadoru otaczają ich w życiu codziennym, a na mszy w madryckiej katedrze Almudena jest ich więcej niż autochtonów, o czym sama przekonałam się wielokrotnie. Nie można zatem mierzyć tą samą miarą wszystkich białych Europejczyków, skoro Hiszpanie na podobieństwo starożytnych Rzymian nieśli w odległe zakątki cywilizację, religię, postęp. Nie tylko wznosili miasta na planie rzymskim, budowali ratusze, szkoły i uniwersytety, lecz także z woli królów katolickich żenili się z autochtonkami, szanując język i kulturę rdzennych Indian, a nawet pomagając im je zachować dla późniejszych pokoleń.

Zakony franciszkanów, dominikanów, augustianów, jezuitów, podążając za radą św. Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian, uznali, że mają obowiązek „mówić językami", aby przekazywać słowo Boże. Musieli wykonać gigantyczną pracę: najpierw zapisując w alfabecie to, co usłyszeli, następnie odzyskując teksty ustne, którymi dysponowała rdzenna ludność, a wreszcie dokonać analizy elementów języka, zasad i reguł dyskursu oraz gramatyki. Wszystko to przyczyniło się do pojawienia się wyspecjalizowanych misjonarzy, którzy napisali kompendia gramatyczne i poinformowali świat o naturze oraz zwyczajach rdzennych ludów Ameryki. I tak np. franciszkanie byli pionierami w rozwoju gramatyki i katechizmów w językach nahuatl, otomi i purépecha z wyżyn środkowo-meksykańskich, a także w językach rodziny Majów z Jukatanu i Gwatemali. Hiszpańscy dominikanie opublikowali pierwsze gramatyki języków Zapoteków i Misteków z regionu Oaxaca, a jezuici poświęcili się badaniu języków obszarów przygranicznych północnego Meksyku.

> Musimy zdawać sobie sprawę z ciągłych prób ukrywania prawdy na ten temat, czyli ideologicznych wypaczeń w edukacji naszych dzieci, obalania pomników i pisania historii na nowo. Historycznymi kłamstwami chcą sfabrykować „swoją prawdę" – mówi tygodnikowi „Sieci" Alfonso Borrego, prawnuk Geronimo

Jak ta gigantyczna praca ludzi pełnych poświęcenia, którzy porzucili swoją ziemię i zaryzykowali śmierć, aby zanieść Boga i cywilizację na drugi, nieprzyjazny koniec świata, ma się do brutalnego kolonialnego wyzysku w wykonaniu Anglików czy Belgów? I o tym zawsze przypominają iberoamerykańscy historycy. Tylko opętana nienawiścią i ignorancją tłuszcza może z równym zapałem niszczyć pomniki handlarzy niewolników, Tadeusza Kościuszki, Krzysztofa Kolumba czy mnicha franciszkańskiego Junípero Serra (beatyfikowanego przez św. Jana Pawła II), który złożył San Francisco, Santa Barbarę i wiele innych amerykańskich miast.

Fakt, że wielu konkwistadorów czy osadników było okrutnych, to raczej gorzka prawda o ułomnej ludzkiej naturze, zaś faktem jest, że prawa nadawane przez Koronę Hiszpańską mieszkańcom „nowych Hiszpanii" były na owe czasy po prostu genialne i z ducha chrześcijańskie.

WALKA O PRAWDĘ PRAWNUKA GERONIMO

Gdy pytam Alfonso o to, czy jego ziomkowie odczuwają rodzaj żalu wobec białego człowieka, odpowiada mi jak historyk, który brzydzi się prezentyzmem.

– Nie da się dzisiaj ocenić uczciwie, co zdarzyło się ponad 400 lat temu. Po prostu pozostaje nam podnosić świadomość tego, co się stało złego, aby w przyszłości się to nie powtórzyło. Musimy także zdawać sobie sprawę z ciągłych prób ukrywania prawdy na ten temat, czyli ideologicznych wypaczeń w edukacji naszych dzieci, obalania pomników i pisania historii na nowo. Kłamstwami historycznymi chcą sfabrykować „swoją prawdę" – mówi Borrego.

Gdy pytam go, czy ma świadomość, że Indianie ze swoim kodeksem honorowym i obroną własnej ziemi byli także inspiracją dla wielu Polaków, a sam Henryk Sienkiewicz niezwykle często powracał w swych listach do ich sytuacji, odpowiada mi nieco zagadkowo: – Chociaż niektórzy mogą mieć inne zdanie w tym względzie, nigdy nie twierdzimy, że tamta ziemia była, jest „nasza". Tam był „nasz kraj", ale nie „nasza ziemia". Tamte czasy były okresem, w którym walczyliśmy o przetrwanie i moi przodkowie na pewno wiedzieli, że to sprawa życia i śmierci. W dzisiejszym świecie ziemia ma już właścicieli. Dobrze czy źle, ale tak już jest.

No cóż, trudno się tym nie zgodzić. Szkoda, że Rosjanie pozostają w tym względzie jakby mniej cywilizowanym plemieniem, które wciąż prowadzi wojny najeźdźcze o ziemię należącą do sąsiadów.

Autopromocja

eprasa.pl 77349d6db8

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 77349d6db8

Bronimy wartości chrześcijańsko-europejskich

Mamy dobrych sędziów, ale widać też, że większość z nich wywodzi się z byłego systemu komunistycznego lub jest z nim powiązana

Z Filipem Đekiciem, sekretarzem organizacji Ordo Iuris Chorwacja, rozmawia Goran Andrijanić

Jako prawnik i sekretarz chorwackiego Ordo Iuris przebywał pan ostatnio w Warszawie. Jaki był powód tej wizyty?

Filip Đekić: Przede wszystkim chcieliśmy dowiedzieć się więcej o doświadczeniach kolegów z polskiego Ordo Iuris, o skuteczności pracy tej instytucji prawnej. Chcieliśmy też nieco lepiej poznać mechanizm działania prawnych think tanków, wpływających na ekspertów prawnych i polityków, co jest bardzo istotne zarówno w tworzeniu prawa, jak i systemu prawnego. Chcemy zrobić coś podobnego w Chorwacji. Pomaga nam w tym fakt, że zarówno Polska, jak i Chorwacja są krajami katolickimi i europejskimi, co jest bardzo ważne. Wychodzimy ze wspólnego założenia, że zachodnie prawo i filozofia prawa mają korzenie w cywilizacji chrześcijańskiej. Chcemy do nich wrócić, podnieść świadomość znaczenia chrześcijańsko-europejskiej tożsamości w tworzeniu prawa i kształtowaniu opinii publicznej. Wierzymy, że ten powrót do źródła doprowadzi do prawdziwego rozwoju pod każdym względem – gospodarczym, demograficznym i kulturalnym.

Jak długo Ordo Iuris istnieje w Chorwacji?

Zaczęliśmy pracę w 2019 r. i pierwsze miesiące naszej działalności były dość intensywne. Potem przyszła jednak pandemia, która bardzo nas spowolniła. Poza tym wszyscy jesteśmy prawnikami, mamy własne biura i mnóstwo pracy. Te okoliczności w pewnym stopniu nas hamują. Teraz jednak dokonaliśmy pewnych zmian w strukturze zarządzania i można powiedzieć, że to nasz nowy początek.

Jakie są pańskie wrażenia z pracy Ordo Iuris Polska?

Widzieliśmy, że jest to dobrze zorganizowana instytucja, która oprócz Polski aktywnie działa także w organach ONZ, UE i w Europejskim Trybunale Praw Człowieka. Będąc w Polsce, obserwowaliśmy konsekwencje zmiany rządu. Jako prawnik mogę powiedzieć, że władza Donalda Tuska dokonuje prawdziwego ataku na system prawny i swoistej rewolucji, co jest całkowicie nie do przyjęcia.

Po zapoznaniu się z pracą polskiego Ordo Iuris, który element jego know-how można zastosować w Chorwacji?

Uważam, że bardzo ważna jest umiejętność rozpoznania ważnych tematów, w które my, prawnicy, możemy się zaangażować, a jednocześnie zgromadzić wokół siebie ekspertów zajmujących się danym tematem, od historyków po lekarzy czy psychologów.

W Chorwacji pozostają nierozwiązane kwestie zbrodni komunistycznych po II wojnie światowej, a także te związane z naszą wojną o niepodległość w latach 90. Ktoś może powiedzieć, że to sprawy z przeszłości, a powinniśmy zająć się przyszłością. Jednak dopóki nie zostaną rozwiązane pewne problemy historyczne, nie możemy ruszyć do przodu jako społeczeństwo. W Chorwacji dużo się mówi o zbrodniach nazizmu i kolaboracyjnym rządzie podczas II wojny światowej. To dobrze. Jednak o zbrodniach komunistycznych nie mówi się wcale lub bardzo mało i jest to duże zaniedbanie. W naszym kraju istnieją już pewne ramy prawne, w których można wszcząć dochodzenia w sprawie tych zbrodni oraz poszukiwania masowych grobów. Trzeba ustalić prawdę, aby w końcu dowiedzieć się, ile osób zginęło.

Jednocześnie w Chorwacji trwa obecnie kampania przeciwko naszej wojnie o niepodległość. Kilka finansowanych z zagranicy organizacji pozarządowych promuje tezę, że była to wojna domowa. Takie podejście oznacza, że postawiono znak równości między siłami agresji wielkoserbskiej a armią chorwacką. To wielka nieprawda, bo wojna o niepodległość Chorwacji w sensie prawnym i pod każdym innym względem była wojną obronną.

Wierzymy, że jest miejsce na takie prawa, które skuteczniej zachowają godność naszej wojny o niepodległość. Zamierzamy jeszcze bardziej zaangażować się w tę sprawę. Często zdarza się, że lewicowo-liberalni dziennikarze obrażają symbole naszej walki i ludzi, którzy się bili za Chorwację. Wtedy usiłujemy reagować środkami prawnymi, ale problem w tym, że tacy ludzie są chronieni jak niedźwiedzie polarne – przez wymiar sprawiedliwości i media.

eprasa.pl 77349d6db8

Jakie są inne, ważne dla chorwackiej opinii publicznej kwestie, w które jako organizacja zamierzacie się zaangażować?

Trwa intensywna kampania stowarzyszeń LGBT+, feministycznych i „zielonych", które chcą interweniować w chorwacki system prawny. Niedawno wprowadzili do kodeksu karnego termin „kobietobójstwo", a teraz myślą nawet o zbrodni „ekobójstwa". Uważamy to za całkowicie absurdalne. W chorwackim prawie istniały już przepisy, które traktowały zabójstwo osoby słabszej lub bezbronnej jako okoliczność obciążającą dla sprawcy. Kara grozi także za zanieczyszczanie środowiska. Te nowe przepisy powstały zatem wyłącznie ze względów ideologicznych. W każdym razie mamy poważny problem z wymiarem sprawiedliwości.

Jaki?

Mamy dobrych sędziów, ale widać też, że większość z nich wywodzi się z byłego systemu komunistycznego lub jest z nim powiązana. W tym sensie, że zostali w nim ukształtowani, bo wtedy rozpoczynali karierę i po prostu nie odeszli od tej mentalności.

Podam przykład. W czasie pandemii w chorwackiej telewizji publicznej w programie dla dzieci wyemitowano niemiecki dokument o parze lesbijek wychowujących małą dziewczynkę. To był film dla dzieci, w którym jest scena całowania się dwóch kobiet na oczach dziecka. Konserwatywne stowarzyszenie Vigilare wystosowało petycję „Stop homopropagandzie w telewizji publicznej". W tekście dokumentu użyli określenia dotyczącego społeczności homoseksualnej – opisali ją jako „nienaturalną". Stowarzyszenie LGBT+ złożyło przeciwko nim pozew o dyskryminację, a my udzieliliśmy Vigilare pomocy prawnej w tej sprawie. Napisaliśmy bardzo szczegółową odpowiedź na pozew, odnieśliśmy się także do praktyki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, która opowiada się za Vigilare. Jednak sąd pierwszej instancji orzekł na korzyść stowarzyszenia LGBT+. Okazało się, że sędzia była zaangażowana politycznie w rządzie socjaldemokratów i publicznie wspierała parady gejów. Była więc całkowicie stronnicza.

Mamy problem ze skorumpowanym wymiarem sprawiedliwości – niekoniecznie w sensie finansowym, ale w sensie ideologicznym. Podobnie jak w mediach panuje lewicowo-liberalny sposób myślenia, nietolerancyjny wobec innych.

Podobną sytuację mamy w Polsce. Jak się jej przeciwstawić?

Konieczne jest oddziaływanie na opinię publiczną i formowanie nowych kadr prawniczych, które wprowadzą nowy sposób myślenia. Te procesy wymagają czasu. To walka, w której na początku może być więcej porażek niż zwycięstw, ale trzeba ją kontynuować. Należy kształcić młodych ekspertów, którzy następnie wejdą do struktur i powoli je zmienią. Wydaje mi się, że Ordo Iuris Polska rozpoczęło ten proces, a teraz my chcemy to zrobić w Chorwacji.

Aborcja na żądanie nadal jest legalna w Chorwacji, jednocześnie wzmacnia się ruch pro-life. Czy jest nadzieja, że to prawo uda się zmienić?

Ustawa legalizująca aborcję jest jedną z najstarszych ustaw w Chorwacji. Została uchwalona w Jugosławii w 1978 r. Niestety nie uległa zmianie nawet w czasie naszej wojny o niepodległość, mimo zapału narodowego i religijnego, który panował wówczas w Chorwacji.

Na przełomie XX i XXI w. kilka stowarzyszeń zwróciło się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o ocenę konstytucyjności tej ustawy. Po latach oczekiwań uznano, że ustawa nie jest niezgodna z konstytucją, ale zawiera pewne przestarzałe koncepcje z czasów reżimu komunistycznego, które należy zmienić. Jednak od tamtej pory nic w tej sprawie nie zrobiono. Obecnie pracujemy nad projektem ustawy. Zaproponujemy go niektórym konserwatywnym politykom, którzy wejdą do nowego parlamentu. Wybory zaplanowano na 17 kwietnia.

Wciąż zastanawiamy się nad konkretnymi propozycjami. Oczywiście najwłaściwszą rzeczą byłaby ochrona życia od samego początku, ale wydaje mi się, że obecnie jest to politycznie i społecznie niemożliwe do przeprowadzenia. Inną opcją, moim zdaniem bardziej realną, jest próba wprowadzenia zakazu aborcji od momentu bicia serca dziecka, czyli już w trzecim tygodniu ciąży. Niedawno zrobili to w amerykańskim stanie Alabama. Może się zdarzyć, że pójdziemy w tym kierunku.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy wolność słowa i pluralizm w Polsce zostały naprawdę zagrożone. Mimo to uważam, że ta wolność wciąż jest większa niż w innych krajach Europy Środkowej. Mogę np. powiedzieć, że w Chorwacji siłom konserwatywnym jest znacznie trudniej wysunąć się na pierwszy plan. Czy zgadza się pan z tą tezą?

Zgadzam się. Jak mówiłem, między Polską a Chorwacją jest wiele podobieństw, ale i różnic. Główna to wolność mediów. Chorwacja nie ma ani jednego silnego konserwatywnego medium. W Polsce wolność mediów jest większa. Jednocześnie zauważyłem, że podobieństwem jest żywa wiara ludzi. W tym sensie Chorwacja i Polska są wyjątkami w Europie. Jest wiele rzeczy, w których możemy was naśladować. W Chorwacji trzeba obudzić siłę drzemiącą w każdym człowieku. Wierzę, że ją mamy, co wielokrotnie udowodniliśmy w naszej historii.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 77349d6db8

Instrukcja PAP, czyli nowa mowa uśmiechniętego Polaka

DARIUSZ MATUSZAK

Nowa władza poprzez swe instytucje będzie nam narzucać nowy język, z którego znikną takie pojęcia, jak choćby „racja stanu”

Nie będzie Murzynów, Eskimosów, Indian, Cyganów. Jak u Sowietów z ulic zniknęli inwalidzi, tak w Polsce mają zniknąć z przestrzeni publicznej języka. Polska Agencja Prasowa (tak naprawdę to nie ona, ale o tym poniżej) wymyśla nowe zwroty, słowa, pojęcia, hoduje językowe nowotwory na użytek także hodowanego nowego, postępowego, wiecznie uśmiechniętego Polaka.

INSTRUKCJA PAP

Obecna władza chce nie tylko prowadzić inną politykę, do czego ma prawo – jej wielką ambicją jest dokonanie całkowitej przemiany kulturowej Polaków. Przestają oni być podmiotem, a stają się przedmiotem, plastyczną masą do uformowania na nowo – w postępowych, czystych rasowo Europejczyków. Przeszkodą jest to, co buduje naszą tożsamość, a więc tradycja, obyczaje, historia, więzy wspólnotowe, a zwłaszcza język ze swymi znaczeniami, kontekstami, odniesieniami do wartości, moralności, dziejów czy religii. Nie będziemy się wdawali w rozważania o filozofii języka. Dość powiedzieć, że nowy, postępowy człowiek, zaprojektowany przez nową, uśmiechającą się władzę musi się posługiwać nowym językiem i od tego teraz są instytucje państwa, by go do tego zmusić.

Takie m.in. zadanie ma postawiona w stan likwidacji uśmiechnięta Polska Agencja Prasowa. Opracowała ona właśnie „Vademecum Dziennikarza PAP”, które ma nie tylko zrewolucjonizować sposób opowiadania o świecie, lecz także myślenia o nim, rozumienia go. Ma na nowo zbudować hierarchię wartości, sprawić, byśmy prawidłowo, czyli tak samo jak władza, oceniali i interpretowali zjawiska zachodzące w świecie. Samo słowo „vademecum” oznacza „pójdź za mną”, co oddaje istotę językowych wytycznych opracowanych przez PAP. Zawarta w dokumencie deklaracja nie pozostawia złudzeń: „Nie powielamy takich informacji za innymi mediami – to PAP jest dla nich wzorcem, a nie oni dla PAP” (cytujemy w oryginale. Zauważyli państwo błąd? Powinno być „one”, a nie „oni”, bo są „te media”, nie „ci media”).

Ta butna deklaracja dotyczyła tego, że PAP „nie akcentuje pochodzenia narodowościowego, koloru skóry i przynależności rasowej. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, gdy chodzi o osobę zatrzymaną pod zarzutem przestępstwa czy wykroczenia”. To bezmyślne naśladowanie Zachodu, taka paranoiczna politpoprawność. Zasada zakłamywania, ukrywania rzeczywistości przyda się, gdy trzeba będzie tłumaczyć przymusowe przyjmowanie imigrantów,

eprasa.pl 77349d6db8

Fot. Shutterstock

których Bruksela chce dystrybuować jak towar. Nie wiadomo więc, kto w sylwestrową noc 2015 r. próbował zgwałcić w niemieckich miastach tysiące kobiet. Wiadomo, że nie Eskimosi czy Indianie, bo ci już dla PAP i w PAP zniknęli.

Pyszna deklaracja oczywiście dotyczy nie tylko tego, że za Agencją teraz inni mają zakłamywać rzeczywistość, pomijać fakty, które nie podobają się aktualnej władzy, lecz także samego języka. Jak PAP wymyśliła (wiadomo, że nie ona), że zamiast Eskimosów są Inuici, że nie ma „bezdomnych", tylko są „osoby w kryzysie bezdomności", ani „autystycznych dzieci", tylko „osoby w spektrum autyzmu", to wszystkie redakcje państwowej telewizji i radia, wszystkie instytucje publiczne – urzędy, sądy czy komisariaty – pod rządami obecnej władzy będą naśladować ten język, wynikający z paranoi, obsesji i kompleksów.

Historia zastępowania Eskimosów Inuitami czy Indian „rdzennymi mieszkańcami Ameryki" jest szczególnie symptomatyczna, bo dla nas odległa i neutralna. Co nas powinny obchodzić cudze obsesje językowe na tle jakichś tam dalekich ludów? A jednak. Jacyś tam Amerykanie i Kanadyjczycy wymyślili sobie i wmówili rodzimym Eskimosom, że to określenie ich obraża, bo oznacza niby tych, co jedzą surowe ryby (gdy postępowe jaśniepaństwo wcina sushi, jest to kulturowo wyższe niż jakieś tam zwykłe jedzenie surowych ryb jak u Eskimosów). Skoro Amerykanie i Kanadyjczycy wymyślili, że Eskimosów obraża „Eskimos", to i aspirujący do postępowego świata urzędnik z PAP wie, że Eskimos będzie się czuł dotknięty tym, że ktoś w Polsce nazwie go Eskimosem, a nie Inuitą.

DOZNAJĄCA FRANCUSKOŚCI OSOBA PREZYDENCKA

Przykład z Eskimosami specjalnie opisujemy szerzej, bo jest jednym z dowodów na to, skąd się wziął pomysł dokonywania rzezi języka. Nie wymyślają tego w PAP, tylko różni/różne/różno obłakani/obłąkane/obłokano aktywiści/aktywistki/aktywiszcza na Zachodzie. Pozostający w spektrum kryzysu umysłowego (staram się używać języka inkluzywnego) polscy funkcjonariusze nowego ładu tylko gorliwie to wdrażają. Instrukcje można było znaleźć choćby w tzw. księdze stylu amerykańskiej agencji Associated Press. Tam np. zalecano, by „Czarny" – jako określenie rasy, co u nas jest akurat dość obraźliwe – pisać właśnie dużą literą, ale „biały" już małą, bo wiadomo, że jest on rasowo podejrzany i nacierpiał się mniej niż „Czarny", którego trzeba uszanować.

Na marginesie zauważmy, że PAP zlikwidowała Murzynów. Są tylko osoby czarnoskóre. To też jakaś próba ominięcia problemu afroamerykanizmu. Biała jak śniegi Kilimandżaro aktorka Charlize Theron, która pochodzi z Południowej Afryki, nie może być Afroamerykanką, ale po matce Hindusce i ojcu profesorze z Jamajki jest nią wiceprezydent USA Kamala Harris.

Agencja AP dała m.in. takie instrukcje: „Zalecamy unikania ogólnych i często odczłowieczających etykiet, takich jak biedni, chorzy psychicznie, Francuzi, niepełnosprawni. Zamiast tego używaj sformułowań takich jak osoby z chorobami psychicznymi. I używaj tych opisów tylko wtedy, gdy są one wyraźnie istotne" (w „odczłowieczającym etykietowaniu" chodzi nie tylko o Francuza, ale także o francuski czy francuska, bo po angielsku to „french"). Tych bredni nie zrozumiała nawet ambasada Francji w Waszyngtonie, która przemianowała się na tę okoliczność na „ambasadę francuskości". Francuzi konsekwentnie stali się osobami doznającymi francuskości. To się mogło nawet spodobać Emmanuelowi Macronowi, który śmiało twierdzi, że nie ma czegoś takiego, jak „kultura francuska", co najwyżej jest tylko „kultura we Francji". Tak na to patrząc, Macrona można szczerze uznać za doznającą francuskości osobę prezydencką.

Wiem, że to brzmi jak brednie, ale niestety jest rzeczywistością. Przemysław Gintrowski i Jacek Kaczmarski śpiewali w „Autoportrecie Witkacego": „Jesteście wierszem idioty odbitym na powielaczu". Nowy, wielki powielacz stoi teraz w Polsce, w siedzibie PAP, pracując dzień i noc. Przecież to nie Agencja wymyśliła, choć napisała w swym vademecum, że ma nie być homoseksualistów czy lesbijek tylko „osoby nieheteronormatywne". Nie ma już polskich „staruszków" i „staruszek", tylko są anglosascy „seniorzy" i „seniorki". Nie będzie piosenki Andrzeja Waligórskiego o jesieni: „Raz staruszek, spacerując w lesie, / Ujrzał listek pożółkły i blady / I pomyślał: Znowu idzie jesień [...] I oznajmił, stanąwszy przed chatą, / swojej żonie, tak samo staruszce: / – Jesień idzie, nie ma rady na to!".

Senior oznajmił swej partnerce seniorce, że idzie jesień. A jak seniorka jest głucha, to oznajmił „osobie głuchej". Musi być „osoba", bo inaczej w PAP nikt by nie wiedział, kto jest głuchy/głucha: może koń, cisza, noc czy – by zacytować klasyka – „kilof albo kasztan". Dla PAP nie ma już „głuchych staruszek", podobnie jak nie ma Cyganów, więc Rodowicz ma śpiewać: „Jadą wozy kolorowe z Romami".

KATALOG ZAKAZANYCH SŁÓW

Na portalu wPolityce.pl podaliśmy liczne przykłady, jak należy teraz mówić poprawnie: nie „nielegalny imigrant", lecz „osoba przekraczająca granicę w sposób niezgodny z przepisami,

eprasa.pl 77349d6db8

nielegalny lub nieuregulowany"; nie „kaleka" czy „inwalida", lecz „osoba z niepełnosprawnością"; nie „bezdomny", lecz „osoba w kryzysie bezdomności"; nie „chory psychicznie", lecz „chorujący psychicznie". To zwykły bełkot, papka słowna. Nawet posługując się logiką paranoików od politycznej poprawności, nie da się racjonalnie wytłumaczyć zastąpienia „nielegalnego imigranta" „osobą przekraczającą granicę w sposób niezgodny z przepisami, nielegalny lub nieuregulowany". Ej, wy tam w PAP, np. na oświeconym Zachodzie nielegalnych imigrantów nazywają też „osobami o nieudokumentowanym statusie pobytu".

Mają też zniknąć „prostytutki". Nie po to „Gazeta Wyborcza" od lat zachwala kopulowanie za pieniądze z przypadkowymi osobami, by teraz wyzywać kogoś od „prostytutek", by kojarzyło się z nierządem, a może nawet z domami publicznymi, z niewolnictwem i handlem ludźmi, deprawowaniem, odurzaniem, chorobami i całym tym nikczemnym biznesem sprzedawania ciała i duszy. Więc PAP uznaje, że teraz są „pracownice seksualne", czy bardziej światowo – „seksworkerki". PAP za „Wyborczą" będzie wmawiała, że coś, co prowadzi do nieszczęść, wynaturzeń, upodlenia, odczłowieczenia jest ot taką zwykłą działalnością człowieka, zwykłym kobiecym trudem mam, córek, sióstr czy żon.

W vademecum nakazano też: „W przypadku osób niebinarnych respektujemy preferowaną przez nie formę rodzajową".

RACJA STANU BLOKU PAŃSTW

Wielokrotnie pisaliśmy, że nie ma na Zachodzie takiej tandety intelektualnej, dość żenującego projektu czy pomysłu, którym nasi wyznawcy postępu by się nie zachwycili i nie zaimportowali. PAP czerpie też jednak z tradycji, a więc nie oderwała się od korzeni. Tych komuszych, reżimu cenzury PRL. Jak to skojarzymy, już nie tak dziwne wyda się wyrugowanie pojęcia „racja stanu". Czytamy w vademecum PAP: „W narracji dziennikarskiej unikamy archaicznego określenia »racja stanu«. Błędne jest traktowanie tego pojęcia jako synonimu ponadczasowego, trwałego interesu narodowego, gdyż ten jest pojęciem dynamicznym (np. inny był interes Polski przed przyjęciem do Układu Warszawskiego, a diametralnie inny przed przyjęciem do NATO). Po drugie, jest to pojęcie opisujące spolaryzowany świat z minionych stuleci, podczas gdy obecnie jest on zorganizowany przez rywalizujące bloki państw".

> Jak należy teraz mówić poprawnie? Nie „nielegalny imigrant", lecz „osoba przekraczająca granicę w sposób niezgodny z przepisami, nielegalny lub nieuregulowany"; nie „kaleka" czy „inwalida", lecz „osoba z niepełnosprawnością"; nie „bezdomny", lecz „osoba w kryzysie bezdomności"; nie „chory psychicznie", lecz „chorujący psychicznie"

To jest nie tylko służalcze wobec „rywalizujących bloków państw", lecz także prymitywne intelektualnie. Racja stanu to nadrzędny interes państwa czy wspólnoty, stojący ponad bieżącą polityką, często nad interesem indywidualnym i grup społecznych. Nawet w warunkach braku suwerenności racja stanu ma rację bytu. To tylko kwestia tego, czym się wypełnia to pojęcie. I tak komuniści za PRL, do których tradycji nawiązuje dzisiejsza PAP, mogli uznawać tkwienie pod butem Kremla za polską rację stanu, a teraz postępowa władza za ową rację ma wpatrywanie się w światła Brukseli oraz Berlina i tam sterowanie nawą państwa. A może racja stanu, a więc racja państwa (raison d'Etat, reason of state za dziełem włoskiego jezuity Giovanni Botero „Della Ragion di Stato") znika, bo Polska ma być tylko elementem w „bloku państw", więc znikają polskie interesy.

Na portalu wPolityce.pl Jakub Maciejewski pisze, że vademecum PAP przypomina instrukcję dla pracowników Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Dzięki podręcznikowi cenzorzy mogli sprawdzić, czy dane słowo jest zgodne z linią partii, czy nie. I tak np. wykreślano przymiotnik „niepodległościowy" z dziejów XIX w. i zamieniano go na „narodowowyzwoleńczy", zaś „rosyjskie" (zabory, represje) na „carskie". Nie chodzi o stylistykę, a o świadomość. Nowy, postępowy Polak nie może myśleć, że istnieje interes Polski powyżej interesów „rywalizujących bloków państw", jak choćby Unia Europejska. PAP uznała, że interes wspólnoty Polaków, jakkolwiek byśmy go nie rozumieli, jest archaiczny, czyli przestarzały, niepasujący do postępowej Europy i trzeba zlikwidować już samo pojęcie.

Likwidacji racji stanu nie zaordynował likwidator PAP Marek Błoński, który przez 25 lat był korespondentem tejże Agencji na Śląsku. Takich rzeczy nie wymyślają nawet najbardziej gorliwi dziennikarze. To przyszło z góry. Może od uczonych z Uniwersytetu Warszawskiego, co to czegoś tam uczą osoby studenckie, bo jak zapowiadał Błoński, audyt w przeprowadzić mieli likwidowanej Agencji. Ale nie – za tym stoi jakiś wielki, geopolityczny, strategiczny mózg. Taki na miarę Giertycha czy kogoś. Jakiś wizjoner, który jednym ruchem ręki przesuwa na globalnej szachownicy rywalizujące bloki państw, którego wzrok sięga ponad horyzonty nas, maluczkich. Taki gość, co przewidział przyszłość, pojął światowe mądrości. O takim tytanie pisał Jan Kochanowski we fraszce „ Na matematyka": „Ziemię pomierzył i głębokie morze, / Wie, jako wstają i zachodzą zorze; / Wiatrom rozumie, praktykuje komu, / A sam nie widzi, że ma ku...ę w domu".

eprasa.pl 77349d6db8

Powrót Amy

9 lat po głośnym dokumencie pt. „Amy" i 13 od śmierci brytyjskiej wokalistki na duże ekrany wchodzi pełnometrażowa fabuła „Back to Black. Historia Amy Winehouse". Główną rolę śpiewająco udźwignęła w niej Marisa Abela

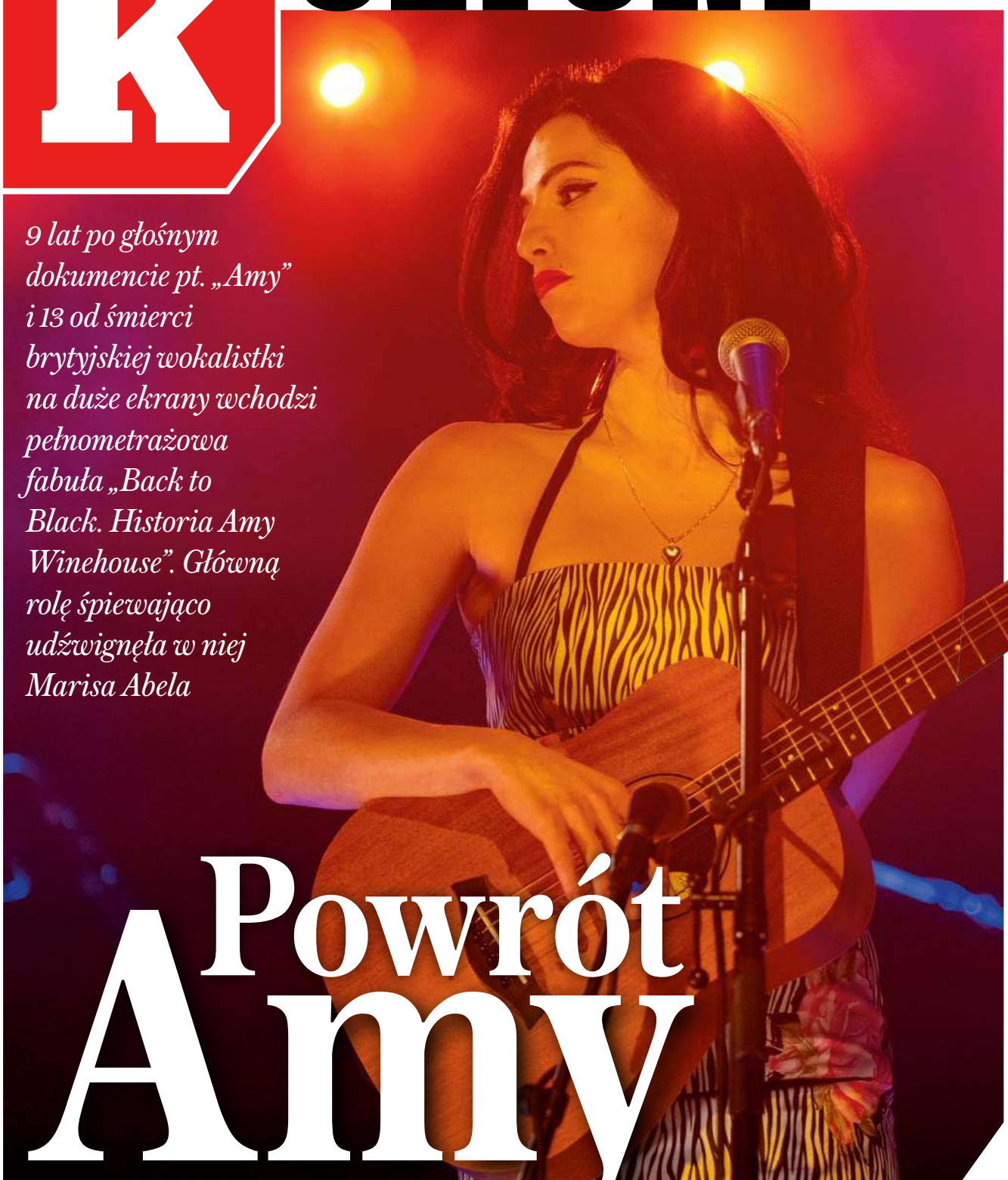

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 77349d6db8

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

To było karkołomne wyzwanie – wcielić się w ikonę muzyki. Charyzmatyczną, dysponującą mocą głosu i oryginalnością wizerunku. Bezpardonową w zachowaniu i dosadnie szczerą w przekazie. Czerpiącą z własnych przeżyć artystkę i nieprzyjmującą ograniczeń dziewczynę z londyńskiej ulicy. Niezależną buntowniczkę, która chciała śpiewać na własnych warunkach, ale nie udało jej się tego udźwignąć.

ODCZAROWAĆ FATUM

Decydenci muzycznej branży widzieli w oryginalnej jazzowej wokalistce kolejną gwiazdkę pop. Mężczyźni, których kochała i potrzebowała – zwłaszcza długo nieobecny w jej życiu ojciec czy partner, a z czasem mąż (Blake Fielder-Civil) – przyczynili się do jej upadku, żerując na rosnącej sławie i zasobności. Osamotniona wśród najbliższych, osaczona przez media, spalała się we własnych emocjach, niekontrolowanych doświadczeniach i nałogu.

Marisa Abela – do tej pory znana przede wszystkim z serialu „Branża" – wydawała się nie przystawać do zachłannego stylu bycia Amy Winehouse, jej drapieżnego wizerunku i tragicznej historii. A jednak ta brytyjska aktorka, urodzona 7 grudnia 1996 r., przekuła klątwę Klubu 27 w swój aktorski sukces.

Wbrew delikatnej urodzie i wcześniejszym ekranowym doświadczeniom – oczywiście za sprawą charakteryzacji, ale przede wszystkim dzięki tytanicznej pracy – zbudowała wiarygodny wizerunek Winehouse. Wokalistki o mocnej, wyrazistej osobowości, która dołączyła do słynnego grona muzyków (m.in. Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison czy Kurt Cobain) zmarłych w wieku 27 lat.

Abela nie tylko odnalazła w sobie pokłady drapieżności i buntu, lecz także wiarygodnej psychologicznie i emocjonalnie spirali samozniszczenia, w jaką dała się wciągnąć jej bohaterka.

WYŚPIEWAĆ ROLĘ

W wywiadzie dla „The Sun" aktorka podkreślała: „Amy to nie tylko skomplikowana postać, lecz także osoba posiadająca niezwykłą charyzmę. Chcieliśmy pokazać ją taką, jaką była... Zabawna, błyskotliwa, czarująca i okropna zarazem".

Sam Taylor-Johnson (reżyserka „Back to Black", a wcześniej m.in. „50 twarzy Greya") nie kryje podziwu dla Abeli: „Włożyła w tę postać ogromną pracę, dbając o każdy szczegół, codziennie trenując godzinami, aby móc śpiewać przez cały film. Ona nie wciela się w Amy, ona ją uosabia". Taylor-Johnson zwróciła uwagę, że aktorka na bardzo dobrym poziomie wykonuje przed kamerami (i mikrofonami) najsłynniejsze utwory Amy Winehouse.

PORUSZYĆ WIDZA

Abela aktorsko i wokalnie poradziła sobie z zadaniem postawionym przez twórców „Back to Black...". Dlaczego więc film nie porusza tak jak nagrodzony Oscarem w 2016 r. pełnometrażowy dokument pt. „Amy" Asifa Kapadii? Tamten projekt nie tylko imponował wykorzystanym na ekranie archiwalnym materiałem: wideoklipami, sesjami muzycznymi, koncertami, backstagem oraz nagraniami z domowej kolekcji. Dawał szeroki i zarazem bliski obraz bohaterki, jej otoczenia i sytuacji, które ją budowały, ale też niszczyły.

Kapadia, brytyjski filmowiec o hinduskich korzeniach, stworzył wielowymiarowy, poruszający portret dziewczyny, którą talent doprowadził do spektakularnego sukcesu sfinalizowanego podczas gali Grammy w 2008 r. – zdobyła wtedy pięć statuetek, w tym trzy w najbardziej prestiżowych kategoriach (piosenki – „Rehab", najlepszej wokalnej płyty pop i wokalnego solowego wykonania) – ale też do tragicznego końca, gdy osamotniona śmiertelnie przedawkowała alkohol.

GŁOSEM SPADKOBIERCÓW

Twórca „Amy" był podporządkowany zasadzie dokumentalnego obiektywizmu. Scenarzysta „Back to Black. Historia Amy Winehouse" Matt Greenhalgh musiał się liczyć z głosem spadkobierców. W tej sytuacji przestaje dziwić fabularne przeskalowanie niektórych wątków i usuwanie innych.

Jest więc m.in. podkreślenie roli żydowskiej rodziny w kształtowaniu talentu Amy, a zwłaszcza wpływu babci, dawnej wokalistki jazzowej, która – według ekranowego przekazu, a wbrew faktom – miała też stworzyć słynną tapirowaną fryzurę wnuczki. W scenariuszu kontrolowanym przez spadkobierców (w tym ojca) winą egoizmu, pazerności i braku wsparcia obarczono jedynie toksycznego partnera artystki (sugerując również, że Blake zyskał po jej śmierci, podczas gdy wyłącznymi beneficjentami stali się rodzice).

W kuriozalny sposób skrócone też zostały ostatnie lata życia bohaterki i zbanalizowany (a także uładzony wizualnie) problem jej uzależnienia. Porażającego i tragicznego w skutkach – gdy na wielkie sceny wychodziła nie wspaniała artystka, a zniszczona przez narkotyki i alkohol kobieta. Nie pokazano, że w tym krytycznym czasie Amy została właściwie pozostawiona sobie samej. I nałogowi.

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 77349d6db8

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Zofia Kucówna: dar mądrego głosu

W wieku 90 lat zmarła Zofia Kucówna. Ostatni raz na scenie pojawiła się w 2008 r., ale wciąż żyła w świadomości wielu aktorów jako ich nauczycielka z Akademii Teatralnej. W 2023 r. festiwal Dwa Teatry nagrodził ją za całokształt. Nie przyjechała do Zamościa, ale dała się nagrać w domu aktora w Skolimowie. Mówiła o swojej miłości do widzów.

Po jej śmierci TVP przypomniała jeden z czterech odcinków czarno-białego teatru telewizji. W 1970 r. Stanisław Wohl nakręcił adaptację dwóch powieści Poli Gojawiczyńskiej – „Dziewczęta z Nowolipek" i „Rajskiej jabłoni". Opowiedział równolegle o każdej z dziewcząt w oddzielnym odcinku. Bronka (w tej roli Kucówna) była trzecia. Pamiętam, że te widowiska robiły wrażenie. Także dzięki aktorom, zwłaszcza Elżbiecie Kępińskiej, Emilii Krakowskiej, Ewie Wiśniewskiej i właśnie Zofii Kucównie.

W połowie lat 30. Gojawiczyńska napisała powieść ze społecznym pazurem (choć drukowała ją najpierw w odcinkach sanacyjna, więc niespecjalnie radykalna „Gazeta Polska"), a także próbowała pokazać zmiany w Polsce od I wojny światowej poprzez wrażliwość młodych kobiet. „Dziewczęta z Nowolipek" sfilmował po raz pierwszy Józef Lejtes w 1937 r. Potem była adaptacja Wohla. W 1985 r. własny dwuczęściowy film nakręciła feministka Barbara Sass-Zdort.

Oglądałem ten film razem z moją mamą. Był efektowny, sugestywny wizualnie, pełen aktorskich kreacji. Trudno nie pamiętać choćby zaczynającej aktorską karierę mojej ulubionej Marii Ciunelis. A jednak mamie trudno było przyjąć ostrość scen naginających wrażliwość widza ku współczesnym kanonom. „Ja pamiętam swoje starsze siostry, ich świat, ich sposób bycia. One się zachowywały nie jak w tym filmie, a jak w adaptacji Wohla" – twierdziła.

Aktorki Wohla nie były naturalnie rówieśnicami swoich bohaterek, a osobami o jedno, półtora pokolenia młodszymi. Ale czuły tamten świat, nosiły go w sobie. Czuł go zapewne także reżyser. Choć Gojawiczyńska nafaszerowała swoją opowieść obyczajowymi drastycznościami, to one kontrastowały ze swoistą pastelowością, staroświeckością postaci. Ich młodość była inna niż ta z naszych czasów. Pastelowa była – zobaczyłem to dziś ponownie – Bronka w wykonaniu Kucówny.

Widzę ten kontrast i na innych przykładach. Zestawcie „Akcję pod Arsenałem" Jana Łomnickiego z 1977 r. i współczesne „Kamienie na szaniec" Roberta Glińskiego. Mirosław Konarowski czy Cezary Morawski, pierwsi filmowi „Zośka" i „Rudy", urodzili się po wojnie. Ale może nawet mimowolnie umieli oddać wrażliwość tamtych wojennych chłopców. Ich współczesne odpowiedniki grają dobrze, ale nie czują ducha czasów.

Kilka słów o Kucównie. Była obdarzona darem losu. Trudno ją opisać jako klasyczną piękność, ale miała znakomity głos, niosący tajemnicę. Głos rasowy, naładowany jakąś pierwotną mądrością.

Adam Hanuszkiewicz, który poślubił ją jako swoją trzecią żonę, uczynił ją gwiazdą swojego teatru: Powszechnego, potem Narodowego. Trudno nie wspominać jej Natalii Pietrowny w „Miesiącu na wsi" według Iwana Turgieniewa (1974 r.), kiedy pośród prawdziwej trawy i prawdziwych psów przeżywała w Teatrze Małym z pełną samoświadomością spóźnioną miłość do młodzieńca, Krzysztofa Kolbergera. Albo nie pamiętać telewizyjnych „Opowieści mojej żony" Mirosława Żuławskiego, w których dzieliła się życiowym doświadczeniem. Reżyserował ją naturalnie Hanuszkiewicz.

Kiedy się rozwiedli, Kucówna nadal grała – w Ateneum, potem we Współczesnym, ale jakby przygasła. Była jedną z wielkości kilku epok, mistrzynią słowa. Aktorzy koło czterdziestki mówią, jak wiele jej zawdzięczają. Ta jej mądrość nie była tylko iluzją pięknego głosu.

Piotr Zaremba

prasa.pl 713 19d6db8

3 MIŁOŚCI

Doświadczymy nienawiści

ROBERT TEKIELI

Młodzież pojawiła się w efekcie XIX-wiecznej rewolucji industrialnej, a do rangi kategorii społecznej podniósł ją rozpoczęty w XX w. proces otwarcia dostępu do edukacji. Zaraz po wojnie w USA uformowało się pokolenie bitników, po nich pokolenie dzieci kwiatów. I tak rozpoczęła się karuzela pokoleń.

Młodzież ma przywileje dorosłych, a obowiązki dzieci. Już podstawowa sprzeczność zaszyta w samej tej definicji rodzi wiele problemów.

Osobiście miałem szczęście poznać świat jeszcze sprzed społecznej rewolucji, którą było pojawienie się młodzieży. Gdy na początku lat 70. odwiedzałem rodzinę na Śląsku, na ulicach widziałem wiele 18-, 19-letnich kobiet z dziećmi w wózkach, natomiast niewiele rówieśnych im dziewczyn. Model wchodzenia w dorosłość był tam zupełnie inny niż w znanej mi reszcie Polski. U śląskich normalsów 18-letni facet szedł do kopalni, żenił się, miał dzieci. Dziewczyna brała ślub, ondulowała włosy, rodziła dzieci. Moment inicjacji w świat dorosłych był wyrazisty. Brak we współczesnych społeczeństwach instytucji inicjacji rodzi oczywisty zamęt w głowach i sercach ludzi.

Młodzież pojawiła się 70 lat temu i zniknie za 70 lat, wraz ze starzeniem się populacji *homo sapiens*. Już za 25 lat, jak podaje prestiżowy „Lancet", trzy czwarte krajów na całym świecie znajdzie się poniżej poziomu zastępowalności pokoleń (do 2100 r. – 97 proc. krajów). Kurczące się wspólnoty nie będą w stanie utrzymywać tak dużej jak dziś niepracującej grupy dorosłych – ale niedojrzałych – ludzi, czyli młodzieży.

Dobrze już było, przed nami trudne czasy. Kto się z nimi zmierzy? Jaka jest dzisiejsza młodzież?

Wśród rówieśników moich dzieci widzę coraz mniej osób, które czują się kreatorami swego życia, coraz więcej takich, które oskarżają świat za swoje niepowodzenia, mają poczucie krzywdy, uważają, że życie im się przydarza, że nie mają kontroli nad własnymi reakcjami i wierzą w zewnętrzne wobec nich przemożne siły decydujące o tym, co się z nimi stanie.

Amerykański psycholog prof. Jonathan Haidt w artykule, którego tłumaczenie zostało zamieszczone na portalu totylkoteoria.pl Łuksza Sakowskiego, odnotował pojawienie się masy młodych ludzi, którzy „nagle, ok. 2013 r., zaczęli przyjmować trzy wielkie nieprawdy: po pierwsze, uwierzyli, że są delikatni i mogą być skrzywdzeni przez książki, wykłady i słowa, które nauczyli się rozpoznawać i traktować jako rodzaje przemocy; po drugie, uwierzyli, że ich uczucia, szczególnie ich lęki, są miarodajnymi wyznacznikami otaczającej ich rzeczywistości, po trzecie, zaczęli widzieć społeczeństwo jako składające się z ofiar i ciemiężycieli – dobrych i złych ludzi".

W USA mówi się o trwającej największej dotąd epidemii zaburzeń psychicznych u młodzieży. Jak wykazuje Haidt, jednym z powodów jest „nadopiekuńczość i związana z tym utrata dzieciństwa opartego na zabawie, w tym gier bez udziału rodziców i uwzględniających potrzebę podejmowania ryzyka". Jednak głównym powodem tej epidemii są smartfony i media społecznościowe. Badania naukowe wykazały, że „platformy, takie jak TikTok czy Instagram, mogą powodować cielesne zaburzenia dysmorficzne, czyli niechęć do własnego ciała i poczucie jego nieadekwatności". Młodzi ludzie są poddawani odwróconemu warunkowaniu, czyli warunkowaniu ich w taki sposób, „by zamiast blokować autodestrukcyjne i depresyjne myśli, mieli ich jeszcze więcej". W dodatku „postępowi liderzy instytucjonalni swoiście nauczyli młodych progresywistów, że robienie ze wszystkiego tragedii jest dobrym chwytem na dostanie tego, czego chcą". Oto mamy pokolenie ludzi ranionych przez słowa, ludzi porównujących się do „płatków śniegu" – w nawiązaniu do tego, że każdy płatek śniegu jest wyjątkowy, osób, które „kreują się na unikatowe, by później bronić swojej wyjątkowości w niesamowicie przewrażliwiony sposób, reagując wściekłością, gdy ktoś tę niezwykłość podważa".

Oczywiście słowa mogą ranić, nawet zabić, ale wypowiadane przez bliskie osoby. Krzywdę mogą też zrobić słowa obnażające nasze słabości. Jednak zrównoważonego człowieka nie może zranić zanegowanie stwierdzenia, że planeta płonie.

Jonathan Haidt tak konkluduje swój wywód: „Czas, byśmy zaczęli traktować media społecznościowe i inne aplikacje stworzone do uzależniania behawioralnego jak alkohol, tytoń i hazard, ponieważ mogą szkodzić społeczeństwu i pojedynczym osobom".

W Polsce w kwestii młodzieży mamy jeszcze jedno zadanie: musimy zatrzymać proces, który w USA zniewolił uniwersytety. Na UAM w Poznaniu zostały już wdrożone przepisy, według których molestowaniem może być niechęć, by do mężczyzny zwracać się jak do kobiety, a do kobiety jak do mężczyzny. Jeśli dopuścimy do wprowadzenia w Polsce przepisów o mowie nienawiści, doświadczymy nienawiści. Płatki śniegu bardzo łatwo urazić.

eprasa.pl 77349d6db8

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Pamiętasz, jak włożyłem głowę twojego sześcioletniego syna w imadło? Krew lała mu się z dziur nad uszami. Pamiętasz, jak wyrywałem mu ząb obcęgami?" Czysta groza. Na szczęście w thrillerze/dramacie psychologicznym ***„Jestem otchłanią"*** ukazywanie przemocy zostało ograniczone do niezbędnego minimum, nie ma tu fascynacji anatomopatologią. Film wychodzi poza schematy historii o seryjnych mordercach. Opowiada o złu jako takim. Próbuje wyjaśnić jego tajemnicę. Zło rodzi zło, czy można przerwać tę pętlę?

W kolejnych sekwencjach jest precyzowany przepis na psychopatę. Ojciec, synek i kombinerki do miażdżenia kości. Matka, która próbuje utopić sześciolatka w basenie opuszczonego hotelu.

Główny bohater filmu nie dostał szansy na wyrwanie się z zaklętego kręgu przymusu krzywdzenia. Jego skrzywienie przekroczyło granicę ciężkiej choroby. A mimo to „Jestem otchłanią" nie stało się opowieścią o nieuchronności rozpaczy. Jak silny musi być pierwiastek dobra w każdym człowieku, skoro nie potrafi go stłumić największa trauma, najdolegliwsze zło?

Drażnią mnie filmy francuskie. W swej masie, bo oczywiście oglądałem kilka doskonałych. Drażnią mnie, bo albo starają się być „artystyczne", albo próbują być z Hollywood, tylko bardziej. Gdy zobaczyłem, że produkcja jest włoska, przez moment zawahałem się, czy w ogóle ją oglądać – z podobnego powodu. Na szczęście Donato Carrisi, reżyser „Jestem otchłanią", nikomu nie chce się przypodobać, nic nie chce kopiować. Naprawdę byłem zaskoczony. Nic nie jest tu oczywiste czy stereotypowe, może poza wątkiem małżeństwa bogaczy, którzy nie są w stanie dostrzec faktu, iż ich 13-letnia córka zostaje zmuszona do prostytuowania się i nawet próba samobójcza nie zmienia ich postawy. Ale poza tym motywacje głównych bohaterów są dla nas zagadką, a w pozostałych portretowanych rodzinach zło pojawia się w miejscach, w których się go nie spodziewalibyśmy.

Film rozpoczyna się sceną, którą trudno zapomnieć. Nie będę spojlerował, ale konsekwentnie i owocnie do samego finału będzie rozbudowywany wątek toksycznego macierzyństwa oraz motyw wody – symbolu bezpieczeństwa/zagrożenia/oczyszczenia/życia/niestałości/zmartwychwstania/ potęgi/chaosu/płodności/mądrości/prawdy/dobra i zła/łaski/zapomnienia/kobiecości.

Zadziwiające jest, że zawarty w „Jestem otchłanią" komentarz społeczny nie niszczy artystycznej wymowy filmu. Reżyser doskonale kontrapunktuje go autyzmem Łowczyni, ścigającej mordercę aktywistki społecznej obciążonej rodzinną tragedią i chcącej odpokutować grzechy przeszłości.

Piękny film o bestii. Opowieść o nieznośnym ciężarze bytu. Mroczny moralitet bez moralizowania. Holenderska paleta barw, mnóstwo wąskich, klaustrofobicznych kadrów, precyzyjnie wpisana w ton obrazu muzyka i ścieżka dźwiękowa.

Do tego doskonała rola Gabriela Montesiego. Psychopata w jego wydaniu jest równie bezwzględny, co naiwny. Tak samo 14-letnia Sara Ciocca tworzy zaskakująco dojrzałą kreację. Bardzo skromnymi środkami, ale używanymi z konsekwencją i wyczuciem.

Film opowiada poruszającą historię dwóch dziecięcych dramatów. Dwóch dziecięcych ofiar, w pierwszym przypadku skrajnie brutalnej przemocy fizycznej, w drugim przemocy psychicznej i kalectwa emocjonalnego rodziców. Bohaterowie nie mają imion, jest Sprzątacz, Łowczyni, Dziewczyna z fioletowym pasmem we włosach, Policjantka, Profesor. Ta uniwersalna opowieść mogłaby się toczyć wszędzie i kiedykolwiek. Liczą się fakty, nie słowa. Czyny nie kłamią. Tak samo jak nie kłamią nasze śmieci. Ludzie oszukują, ale ich śmieci nie. Śmieci nigdy nie kłamią. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co ukrywasz przed światem, przejrzyj kosze w swoich aplikacjach i czatach oraz te fizycznie istniejące kosze.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

REKLAMA

21/0324/F

eprasa.pl 77349d6db8

Igazságos Fejbőr, „Regősök dalai", H-Music Hungary 2024

Scytowie punk rocka

Stepowy wiatr przywiewa kolejny manifest narodowego rocka z Węgier. Igazságos Fejbőr udowadnia, jak intrygująco można korzystać z własnej tradycji i grać swoje.

Egészséges Fejbőr, bo tak się przez lata nazywali, to weterani z oi! punk rocka znad Dunaju. Ich znakiem rozpoznawczym były i są piosenki niezwykle melodyjne, idealnie wręcz wykrojone z bardzo skromnej palety możliwości, jaki daje ten gatunek muzyki – z założenia energicznej i nieskomplikowanej, ale pełnej zadziorności i wigoru. Nie ma w niej kiczu, pozy i komercji, jest za to dużo szczerości, specyficznego poczucia humoru oraz miłości do Węgier. To być może zasługa warunków, w jakich rozwijała się ta scena – bez rozgłosu, pieniędzy i na krawędzi politycznej niepoprawności. Zaczynali w końcówce epoki gulaszowego socjalizmu od jamajskich rytmów ska, będąc częścią rodzącej się subkultury skinheadów – antykomunistycznej i chuligańskiej, co po latach zostało nawet wyciągnięte w postaci raportów tamtejszej bezpieki na temat wokalisty zespołu Zorána Petrovitya. Choć 30 lat temu nagrali płytę rodem z irlandzkiego pubu, nie zabrnęli w kopiowanie anglosaskich wzorców, bo wyspiarskie wpływy wyparł karpacki folklor, a żywiołowość i melodyjność oi! music uzupełniły skrzypce czy tárogató – turecka piszczałka, powszechna w węgierskim folklorze.

W swojej prawie 40-letniej historii zdążyli zagrać już kilka „pożegnalnych" koncertów. I za każdym razem wracali. Tym razem jako Igazságos Fejbőr dojrzali, silni, trzeźwi, z płytą w całości opartą na motywach muzyki tradycyjnej. „Hej, Hunowie! Hej, Madziarzy! Hej, Węgrzy!" – śpiewa Zorán, wywołując duchy przeszłości i snując opowieści o koczownikach Wielkiego Stepu. Tę muzykę nie przypadkiem przywiewa odgłos wiatru – niczym scytyjskich łuczników na koniach („Hun-Gar") czy Hunów, którzy „nigdy nie kłaniali się obcym". Cała płyta to nieustannie wibrujący karpacki folk, wzmacniany punkrockową motoryką, a skrzypce Tibora Molnára, spod których wybrzmiewa nawet gardłowa kargyraa, są tu tak samo ważne, jak gitary Attili Szilágyia, przenosząc nas do Siedmiogrodu, na Zakarpacie czy pontyjski step. Kto chce być Węgrem („Aki magyar akar lenni..."), niech więc wsiada na koń i pędzi, gdzie „słońce wschodzi na niebiański tron".

Maciej Walaszczyk

Świadectwo człowieczeństwa

Poetyckie zapiski sporządzane w ukryciu przekazał w ostatniej chwili, jakby spodziewając się najgorszego. Są świadectwem człowieczeństwa, choć wojnę poznał z najgorszej strony. 18 listopada 1991 r. Serbowie wdarli się do Vukovaru, przełamując opór chorwackiej Gwardii Narodowej oraz ochotników z oddziałów HOS. W oblężonym mieście Siniša Glavašević spędził 87 dni. Zginął z rąk serbskich bojówek paramilitarnych Željko „Arkana" Ražnatovića w pobliskiej wsi Ovčara, jako jedna z pierwszych 200 ofiar zbrodni popełnionej tam na pacjentach i pracownikach personelu pobliskiego szpitala. Jako redaktor Radia Vukovar był dobrym duchem oblężonego miasta, przez cały czas pełniąc swoje dziennikarskie obowiązki. Tuż przed upadkiem miasta Chorwackie Radio rozpoczęło nadawanie jego zapisków, które faksem przesłał ze szpitala – trafił do niego raniony szrapnelem.

„Słowo jest podstawą człowieczeństwa – pisał – słowem czystym jest poezja", a poeci jego strażnikami. W krótkich, filozoficznych gawędach snuł rozważania o życiu i wojnie, kosmosie, przyjaźniach, miłości i rodzinie, czasie, przytulaniu i przywoływanych wspomnieniach. Złożyły się one na wydany również po polsku zbiorek 24 lirycznych miniatur pt. „Opowiadania z Vukovaru". „Twoja przeszłość jest po prostu zniszczona i teraz nie masz już nic" – zanotował w jednej z nich. Oblężenie, intensywny ostrzał, kolejne szturmy i metodyczne równanie miasta z ziemią, przyrównywane przez wydawcę do rujnowania Mariupola przez Rosjan, stały się dla niego pretekstem do rekapitulacji podstawowych pojęć, spojrzenia w głąb nich, refleksji, do której zdolny jest tylko człowiek w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, ostro widzący wszystko, co za chwilę może stracić, a co jest tak prozaiczne i niedostrzegalne. Przed rozpadem Jugosławii w Vukovarze mieszkali Chorwaci i Serbowie, a także przedstawiciele różnych innych narodowości. Wojna i konieczność opowiedzenia się po jednej ze stron przecięła ich życia na pół, pojawiła się nienawiść, która poróżniła ludzi znających się z ulic, sklepów, kin, szkół czy parku. Jugosławia rozpadała się w potężnych bólach, pozostawiając wspomnienia „kilku magicznych kropel życia", np. z dzieciństwa – jak pisał autor, czasu, który „jest dla człowieka wszystkim, co posiada".

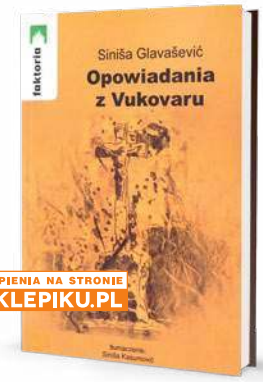

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Siniša Glavašević, „Opowiadania z Vukovaru", Stowarzyszenie Żywych Poetów 2023

eprasa.pl 77349d6db8

Triady prof. Dumézila

Ta najbardziej starożytna Europa została stopiona z paleolitycznych łowców-zbieraczy, neolitycznych rolników i indoeuropejskich zdobywców, którzy narzucili jej swoje idiomy, bóstwa i wizję świata. Są one kluczem do zrozumienia nas samych

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Georges Dumézil, „Bogowie Germanów", Replika 2024

Ostatnie wspólne siedlisko Indoeuropejczyków jest sytuowane gdzieś na pontyjskich stepach, między Dnieprem a Wołgą, w IV tysiącleciu p.n.e. Germańskie mity są wspomnieniem owej wielkiej wędrówki i związanych z nią wydarzeń. Wspólny rodowód prowadzi nas do wspólnej kultury i wspólnego modelu trójdzielnej struktury społecznej. Poza archeologią i antropologią to lingwistyka wraz z kluczowymi dla niej pracami Georges'a Dumézila pozwoliła zrekonstruować ten obraz. Jego metoda koncentrowała się na badaniach porównawczych dawnych wierzeń, mitów czy form poetyckich. On sam inspirował się dokonaniami Jamesa Georga Frazera, a jego śladem podążali m.in. Mircea Eliade czy Jean Haudry. Dumézil miał również zaprzysięgłych polemistów podważających jego hipotezy i ustalenia.

Dumézil znał ok. 30 języków i napisał ponad 40 prac naukowych. Od dziecka interesował się studiowaniem mitów, w pewnym momencie zbliżył się nawet do Action Française, przyjaźniąc się zwłaszcza z historykiem Pierre'em Gaxotte'em, co po śmierci będą wykorzystywać jego marksistowscy oponenci. Po wojnie u szczytu kariery wykładał na najważniejszych uczelniach na świecie, ale początkowo miewał z tym kłopoty. W roku akademickim 1921/1922 był lektorem języka francuskiego na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie nauczył się polskiego i rosyjskiego oraz po raz pierwszy podjął próbę odtworzenia mitu o napoju przynoszącym bogom nieśmiertelność. Podczas kilkuletniego pobytu w Stambule poznał m.in. język ludów zachodniego Iranu, a więc potomków Scytów, którzy w swoich epicko-mitologicznych tradycjach przechowali bogate zasoby spuścizny kultury indoeuropejskiej, co dało mu dostęp do tradycji mitycznych Nartów. Odkryte wtedy fabularne archetypy pomogły mu zrekonstruować wspólną Ariom, Słowianom, Bałtom, Celtom czy Rzymianom siatkę wyobrażeń. Dostrzegł bowiem, że w taki sam sposób modelowali oni postrzeganą przez siebie rzeczywistość, wprowadzali do zmitologizowanych dziejów postacie, sytuacje i idee, utrwalając w ten sposób wspólnotę wartości. W przedmowie mediewista prof. Jacek Banaszkiewicz przytacza opinię Joëla Griswarda, który badając średniowieczne eposy rycerskie, uznał, że są one bliższe wzorom sprzed paru tysięcy lat niż swoim średniowiecznym inspiracjom.

Dumézil doszedł też do wniosku, że owe mitologie i ideologie społeczne w kolejnych konfiguracjach stale powracają do zasady trójpodziału, dzięki której Indoeuropejczycy „mierzyli" znany sobie świat. Na czele wielu bogów zawsze stoi „trójca" najważniejszych: zwierzchnik-wojownik i opiekun ładu społecznego, heros-wojownik oraz trzeci, reprezentowany często przez dwie osoby, w tym także kobietę, patronujący płodności i urodzajom. Tak też wygląda triada przedkapitolińska z Jupiterem, Marsem i Kwirynusem, germańska z Odynem, Thorem i Frejem, staroindyjska z Mitrą/Waruną, Indrą i Nastajami. Również wspólnota, by stać się pełna i funkcjonalna, jest podzielona na trzy kasty: kapłańską – reprezentującą mądrość i pełniącą funkcję sakralną; sądowniczą, uosabiających siłę wojowników-władców oraz rolników-wytwórców bogactwa. Również w porządku feudalnym przetrwali oratores, bellatores i aratores – modlący się, wojujący i orzący. By jednak utrzymać stabilność systemu, władcy-wojownicy i kapłani musieli stale powściągać swe sprzeczne aspiracje wobec rolników-wytwórców. We wszystkich mitach ów kontrakt społeczny wyłania się w wyniku najdawniejszej, wyczerpującej wojny, w której żadna ze stron nie uzyskuje przewagi. W mitologii Germanów prowadzili ją Asowie z Wanami, w najdawniejszym Rzymie Latyni Romulusa z Sabinami Tytusa Tacjusza, a w mitach irlandzkich plemiona bogini Dé Danann z Fomorianami. Ten refleks przebija też w czeskich kronikach Kosmasa i Dalimila oraz polskiej kronice Wincentego Kadłubka. Zażegnany pierwotny konflikt ostatecznie spaja, dopełnia i równoważy zależności między kastami. Podobnie antyczny, skandynawski czy staroirański heros ginął dopiero wtedy, gdy w każdej z trzech domen popełnił występek naruszający porządek. Dumézil wyjaśniał, że nie wykreowali go tragicy i poeci – oni jedynie przekazywali utrwalony przez tysiąclecia archetyp.

Strzeżmy więc świętego ognia starożytnego sanskrytu, języka Hetytów i greki, bo przechowują nasze kulturowe geny.

eprasa.pl 77349d6db8

3 WSPOMNIENIE

Ostatni taki ułan

Zmarł Andrzej Kostrzewa. O takich ludziach zwykło się mówić – człowiek legenda. Znawca jeździectwa, pielęgnujący kult tradycji kawaleryjskich, jeden z najlepszych kaskaderów konnych w polskiej kinematografii, założyciel odtworzonego 11. Pułku Ułanów Legionowych oraz grupy kaskaderów East Riders Stunt Team, która obecnie nazywa się Stunt Bros. Odszedł niespodziewanie w wieku 64 lat, choć kochał życie jak niewielu ludzi

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Wyjechaliśmy ze stajni na trening, przygotowując się do filmu Jerzego Hoffmana „1920 Bitwa Warszawska". Razem w 16 koni. Stęp, kłus, galop – rozgrzewka. Potem w lewo polną drogą w las. Miejsca tyle, co na dwa wierzchowce obok siebie. Ale nie, to zbyt proste. „Czwórkami za mną, galopem marsz!" – usłyszałem komendę prowadzącego szefa szwadronu Andrzeja Kostrzewy. „Ciężko będzie" – pomyślałem, ściskając konia łydkami, by nie zwalniał i trzymał szyk. Co chwila unik, by nie oberwać gałęzią w twarz, ale i tak co mniejsze siekły po policzkach. Jechałem na skrajnej prawej i lekko nie było. Ci w środku szyku mieli lepiej. Skok przez zwalony konar i dalej jazda. Oddział rozciągnął się jak stara harmonia i kilku zostało w tyle. Stanęliśmy wreszcie na jakiejś polanie. Kostrzewa wściekły, bo ci z końca dopiero nadjeżdżali. „Równaj od prawego!" – krzyczy. Kiedy linia już była gotowa, Andrzej milczał. Za chwilę da nam popalić – przewidywałem słusznie. „Co to ma być!? – ryknął. – „Banda, nie kawaleria! Nikt wam tu nie kazał siedzieć w siodle. A teraz słuchajcie: jak wam każę przepłynąć Dunaj, to przepłyniecie! A jak się komu nie podoba, to won! Czwórkami za mną galopem marsz!".

Oddział na następnym postoju wyrównał od razu, o dziwo, w pełnym składzie. Widać poskutkowało.

Pochodził z kawaleryjskiej rodziny. Jego dziadek był ułanem w 11. Pułku Ułanów podczas wojny z bolszewikami. Czasem przy ognisku powtarzał opowieści dziadka, jak ten walczył z kozakami. Był to twardy przeciwnik i dziadek nie zawsze wychodził z bojów zwycięsko.

Andrzej mieszkał z rodziną w Słupnie pod Radzyminem. Tam dokupił nieco ziemi i postawił stajnię. Wtedy z Markiem Sobuckim, byłym wojskowym, obecnie płatnerzem (kuje szable na zamówienie), postanowili odtworzyć pułk, w którym służył jego dziadek. Jak powiedzieli, tak zrobili. Dokładnie wtedy, kiedy Polska przystępowała do NATO, podczas obchodów w Pułtusku w obecności kilku generałów i wyższych oficerów oficjalnie zapadła decyzja o rejestracji stowarzyszenia. Rozpoczął się pierwszy nabór. Kostrzewie pomagało dwóch synów – Hubert i Kuba, wtedy jeszcze nastolatkowie. Sztuki kaskaderki konnej nauczyli się od ojca. Młodzież, która zainteresowała się jeździectwem i kawalerią, nie była łatwa. W końcu dżygit (m.in. skok, zeskok z siodła w galopie, zwis czy przechodzenie pod szyją konia w galopie) to nie ciepłe kluchy. Chłopaki musieli być odważni, zaczepni i przede wszystkim czuć kawaleryjskiego ducha oraz umieć pracować w zespole. Trafiali się też tacy jak „Kajman" czy „Bocian", którzy pochodzili z Wołomina, mieli kontakt z mafią i nie byli święci. Szwadron pod dowództwem Kostrzewy ich reedukował. Adrenalina, fajni kumple, praca w filmie, pokazy oraz wychowanie w tradycji kawaleryjskiej – to zastępowało im dawne życie. Dzięki Andrzejowi niejeden z kaskaderów wyszedł na prostą i ułożył sobie normalne życie.

Tak odtworzony 11. regiment zrobił się kaskaderski. Trzeba było nowo powstałą grupę jakoś nazwać i tak powstał East Riders Stunt Team w ramach pułku, zwany potocznie Szwadronem. Ciekawe były metody szkolenia. Chłopaki jeszcze nie umieli galopować, a już ćwiczyli woltyżerkę. Wspomniany Kuba na początek chciał ich uczyć w kłusie. Ale na ujeżdżalnię przyszedł Andrzej i jak zobaczył truchtającą ekipę, wybuchnął: „Nie ma dżygitu w kłusie! Galopem, a co mnie obchodzi, że nie umieją. To się nauczą!". W ten sposób rekrutom już po trzeciej lekcji nieobca była jazda galopem oraz równoległe wykonywanie karkołomnych ćwiczeń ze zwierzakiem. Wbiły mi się w pamięć ćwiczenia z walki wręcz na koniu. Stawaliśmy w odległości 10 m w dwóch szeregach naprzeciwko siebie. Zadanie polegało na przebiciu się jeźdźca przez wrogą linię. W praktyce większość chwytów była dozwolona. Liczył się efekt. Potem dobieraliśmy się parami według wzrostu i podawaliśmy sobie dłonie. Sztuką było ściągnięcie kolegi z siodła tak, żeby walnął ciałem o ziemię. Do tego musztra w stępie, kłusie, galopie, zajęcia z szermierki pieszej i konnej, walka na bagnety oraz obsługa broni palnej różnych typów. Kostrzewie udało się chyba wyszkolić dobrych ułanów.

eprasa.pl 77349d6db8

Jakiś czas temu z wizytą do Szwadronu przyjechał gen. bryg. Michał Gutowski, olimpijczyk z Berlina (1936), uczestnik bojów 1. Dywizji Pancernej, a także trener jeźdźców kanadyjskich i powiedział: „Gdybym miał szarżować jeszcze raz (chodzi o szarżę pod Wólką Węglową we wrześniu 1939 r.), to takich chłopaków chciałbym mieć pod swoim dowództwem". Mieliśmy honor towarzyszyć panu generałowi na koniach w jego ostatniej drodze na powązkowski cmentarz wojskowy.

W pamięci współczesnych ułanów Andrzej Kostrzewa pozostanie drugim ojcem. Podczas występów w obwodzie królewieckim (rekonstrukcja bitwy pod Frydlandem) Rosjanie spóźniali się z wypłatą. Ułani jedli przez trzy dni kaszę z olejem, ale i ta się skończyła. Wtedy Kostrzewa za własne pieniądze (były to ostatnie grosze, które zabrał na wyjazd) kupił jeźdźcom jedzenie. Piotr „Zając" Zajączkowski wspomina, jak po raz pierwszy w husarskiej zbroi dosiadł konia. Jeździł w niej pół dnia i zdarł sobie siedzenie do krwi. Jak się zsunął z wierzchowca, podszedł do niego Andrzej. Szybko się zorientował, że „Zając" cierpi i po chwili przyniósł mu dwie pałatki, z których zrobił posłanie. „Nasz tata" – kończy opowieść.

Fantazję Andrzeja wspomina ułan Gajcy. Jechali konno gdzieś do celu i drogę zastąpił las. „Walimy na azymut" – zdecydował Kostrzewa. „Tu są drzewa, konie nie pójdą" – usiłował protestować Gajcy. Andrzej nawet nie zareagował. Siedział na ogierze Caruso. Smok, nie koń. Skoczył galopem w brzezinę i na przełaj między drzewami. Caruso łamał gałęzie, torując drogę Gajcemu. Ale i tak dostał niezłe cięgi na twarz. „Co by nie mówić, fajnie było" – śmiejąc się, kończy Gajcy.

Ale jak to w życiu, zdarzały się też wpadki. Dojechaliśmy na plan i wyprowadziliśmy zwierzaki z koniowozu na jakiejś polanie pod lasem. „Co z nimi zrobić?" – pyta ułan Arkadiusz „Orzech" Bujalski. „Uwiązać je?". „Niby gdzie?" – pyta Kostrzewa. I zaraz dodaje: „Konie nie sarny, do lasu nie polecą". No to puściliśmy je jak stały. I co? Poszły w las. Trzy godziny lataliśmy po kniejach i krzakach, żeby je połapać. Jak to w życiu: nie każdy jest jednak perfekcyjny.

Siedzimy w siodlarni stajni Słupno wraz z całą ekipą kaskaderów. Obok wiszą wojskowe rzędy końskie, szable, lance, mundury. Odprawa przed pogrzebem. W 30 koni jedziemy pożegnać swego dowódcę. Pogrzeb prawdziwie ułański. Wspominamy Andrzeja i filmy. A było ich trochę. Pierwszy western kręcony w Polsce z Valem Kilmerem „Summer love" czy „1920 Bitwa Warszawska". Słynna szarża w filmie „Legiony" to też dzieło kaskaderów Kostrzewy. Ostatnio jeździli konno w serialu „Korona królów". Do tego rekonstrukcje bitew: Raszyn, Austerlitz w Czechach, Frydland w obwodzie królewieckim, Pułtusk oraz niezliczone pokazy. Wszystko to w dużej mierze zawdzięczamy Andrzejowi Kostrzewie.

Dziesiąta muza ponosi niepowetowaną stratę. No i rodzina. Pozostawił żonę Annę, amazonkę i sportsmenkę, dwóch synów, a także wnuczkę, którą bardzo kochał. „Odszedł człowiek, od którego można było się nauczyć cech i zachowań, które są już na wyginięciu. Brzydził się kłamstwem i oszustwem, uważał, że dane słowo i bycie honorowym to świętość. Uczył swoją postawą pokory, ale też pewności siebie. Nauczył mnie mojego fachu i poprowadził przez najtrudniejsze momenty. Razem cieszyliśmy się z sukcesów i razem przeklinaliśmy porażki" – napisał jego syn Kuba w ostatnim słowie.

Wspominałem nasz konny przejazd tuż za lawetą, na której spoczywała trumna gen. Gutowskiego. Patrząc na pogrzebowy zaprzęg, człowiek siłą rzeczy myśli o kruchości życia. Teraz czeka mnie to samo. Kolejny kawalerzysta stanął na Wiecznej Widecie w Niebiańskim Szwadronie. „Śpij, kolego, w ciemnym...". Cześć Jego pamięci!

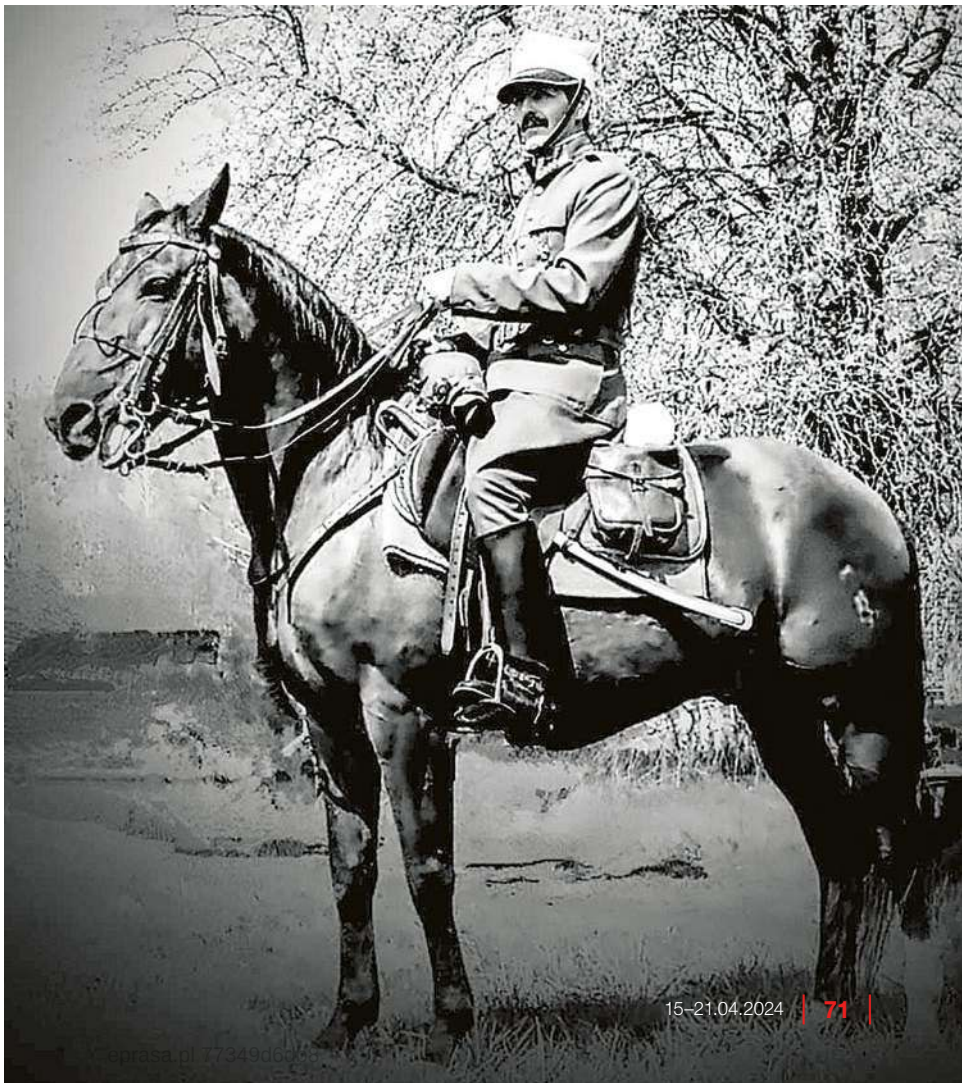

Fot. Archiwum prywatne

Nasz wielki gryzoń

Świstak nawet w Polsce bardziej kojarzy się z amerykańskim świętem niż z Tatrami. Pewnie to zasługa kultowego dla wielu filmu. O co chodzi z dniem świstaka?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przepowiednie pogodowe zawsze pasjonowały ludzi, choć w roli głównej nie zawsze występował świstak. Organizowano huczne festyny, by dowiedzieć się, kiedy przyjdzie wiosna.

Korzenie tego zwyczaju sięgają dawnych czasów i odległych lądów: w chrześcijańskiej Europie 2 lutego świętuje się Ofiarowanie Pańskie, które w zależności od kraju i wyznania jest nazywane świętem Matki Boskiej Gromnicznej, Dniem Ofiarowania Pana Jezusa czy też Oczyszczeniem Marii Panny. W krajach protestanckich, w Niemczech i Holandii, z tym dniem wiążą się różne, bardzo stare zwyczaje ludowe dotyczące przepowiedni pogodowych. Jeden punkt jest wspólny – prognostykiem zawsze było zachowanie zwierzęcia: lisa, niedźwiedzia lub borsuka.

Wraz z europejskimi imigrantami zwyczaj ten przybył do USA, konkretnie do Pensylwanii. Stamtąd rozprzestrzenił się na okoliczne stany, a nawet dotarł do Kanady. Zmianie uległ bohater wydarzenia – pogodę przepowiadał już nie borsuk, lecz świstak amerykański (*Marmota monax*).

2 lutego Amerykanie w różnych stanach organizują festyny, podczas których prognozuje się pogodę na końcówkę zimy. W głównej roli występuje świstak, który wywabiony ze swojej nory może albo ujrzeć swój cień – wtedy zima będzie trzymać jeszcze sześć tygodni, albo nie – wówczas szybko ma nadejść wiosna. A więc pogodę przepowiada się na podstawie tego, czy w dzień festynu są chmury, czy świeci słońce, a świstak jest tylko maskotką.

Dzień świstaka jest najhuczniej obchodzony w Punxsutawney (Pensylwania), mieście, w którym należy szukać amerykańskiej genezy tej uroczystości. Zwyczaj jest dobrym dowodem na brak w świecie przyrody mechanizmu, który umożliwiałby człowiekowi poznanie przyszłości (gdyż tym *de facto* są przepowiednie pogodowe). Amerykańska wróżba z cienia świstaka sprawdza się w 50 proc. Każdy sam może stwierdzić, co to oznacza.

Mimo to obserwacja tych zwierząt jest zajęciem fascynującym. Można na przykład wziąć udział w prywatnym dniu świstaka, niekoniecznie związanym z wróżeniem. A okazja nadarza się właśnie teraz. Wiosna na tatrzańskim szlaku – to jest ten czas i to miejsce.

Tej wyjątkowo ciepłej wiosny polskie świstaki na pewno już się obudziły. Pamiętajmy jednak, żeby koniecznie przestrzegać przepisów i regulaminu obowiązującego w Tatrzańskim Parku Narodowym: poruszać się wyłącznie po wyznaczonych szlakach turystycznych, sprawdzając wcześniej, które odcinki są aktualnie zamknięte dla ruchu; od 1 marca do 30 listopada wędrować po górach tylko pomiędzy świtem a zmierz-

eprasa.pl 77349d6db8

Fot. Shutterstock

chem itd. Tatry bywają tak masowo odwiedzane przez ludzi, że tylko stosując się do tych zasad, możemy zachować przyrodę, w tym rzadkie gatunki zwierząt. Dlatego niestety lepiej nie zobaczyć świstaka, niż go spotkać i zakłócić spokój tych nader rzadkich zwierząt i być może przyczynić się do ich wyginięcia. Ale może pojawią się na szlaku.

PIECZONY BOBAK I ŚWIATŁY SEJM

Ogólnie mówiąc, świstaki, czyli gryzonie z rodzaju *Marmota*, można określić jako duże ziemne wiewiórki. Dla nas, przyzwyczajonych do wiewiórki skaczącej lekko po drzewach, brzmi to dość osobliwie, nie zapominajmy jednak, że gryzonie to najliczniejsza grupa ssaków (2300 gatunków), wśród której oprócz tych znanych są też odmiany o unikalnych przystosowaniach, fizjologii, biologii czy wyglądzie.

Aktualnie na świecie żyje kilkanaście gatunków świstaków, zamieszkują Europę, Azję i Amerykę Północną. Wiele je łączy: kopią głęboki system nor, w którym spędzają znaczną część roku, nie wyglądając nawet na powierzchnię, na kilka miesięcy zapadają w sen zimowy, są roślinożerne i lubią żyć w koloniach.

Są też różnice, nie tylko te natury przyrodniczej: podczas gdy amerykańskie świstaki przepowiadają pogodę i nic im nie grozi, na przykład w Mongolii żyjące w stepach bobaki *Marmota bobak* wciąż są spożywane – po upolowaniu, wypatroszeniu i oskórowaniu mięso bobaka zaszywa się w skórę i piecze w dole wypełnionym rozgrzanymi w ognisku kamieniami. Kto wie, czy takie zwyczaje kulinarne nie stały się początkiem średniowiecznych epidemii dżumy, wciąż bowiem nie do końca wiadomo, czy zaraza rozpoczęła się od szczurów, skoczków czy właśnie azjatyckich świstaków.

Jeżeli dziwią nas mongolskie zwyczaje, musimy sobie przypomnieć, że w Polsce i na Słowacji przez wieki polowano na świstaki w Tatrach w celu zdobycia ich sadła, które miało być panaceum na różne dolegliwości (choć nim nie jest), mimo że już w 1868 r. galicyjski sejm krajowy we Lwowie uchwalił ustawę „względem zakazu łapania, wytępienia i sprzedawania zwierząt alpejskich właściwych Tatrom, świstaka i dzikich kóz", co było pierwszym na świecie przypadkiem uchwalenia przez parlament aktu prawnego z zakresu ochrony gatunkowej. Mimo to kłusownictwo nie ustało.

W ALPACH I TATRACH

Świstak tatrzański (*Marmota marmota latirostris*) jest podgatunkiem świstaka alpejskiego, który w czasach ostatniego zlodowacenia zamieszkiwał rozległe obszary Europy – z tych czasów znane są kopalne szczątki świstaków, odnalezione w okolicach Jasła. Obecnie świstaki w naturalnym otoczeniu żyją wyłącznie w Alpach i w Tatrach.

Świstak tatrzański podobnie jak kozica tatrzańska jest endemitem Polski i Słowacji. Cała populacja tatrzańska liczy niespełna 1 tys. osobników, w związku z czym Polska Czerwona Księga Zwierząt zalicza świstaka tatrzańskiego do kategorii „gatunków bardzo wysokiego ryzyka, silnie zagrożonych wyginięciem" ze względu na liczebność będącą na lub poniżej granicy wystarczającej do przetrwania populacji i porozrywany zasięg. Wprawdzie Tatry tworzą zwarty kompleks, lecz właśnie wspomniany nieregulaminowy ruch turystyczny utrudnia świstakom przemieszczanie się pomiędzy koloniami i wymianę genetyczną.

NA SŁONECZNEJ HALI

Nasze świstaki to zwierzęta wybitnie wysokogórskie. Zamieszkują piętro hal od wysokości 1650 do 2050 m n.p.m. Lubią tereny skaliste, wykorzystują wielkie głazy jako miejsca obserwacyjne, z których wypatrują zagrożenia, np. orłów przednich. Bliskość wody nie jest niezbędna, gryzonie bowiem nawadniają się dzięki roślinnemu pożywieniu: górskim trawom i ziołom. W surowych warunkach gór wysokich preferują stoki o wystawie południowej, zapewniające lepsze warunki termiczne i wyraźnie krócej zalegającą pokrywę śnieżną.

Świstak tatrzański to zwierzę całkiem spore. Dorasta do 60 cm długości, do czego dochodzi kilkunastocentymetrowy ogon. Ciężar ciała sięga 7 kg, przy czym tuż przed snem zimowym sadło może stanowić jedną trzecią jego masy. Kolonie tatrzańskie są niewielkie i liczą najwyżej kilkanaście osobników.

Centrum życia świstaków stanowi nora. Zwierzęta te budują nory ucieczkowe, płytkie, licznie rozmieszczone na obszarze kolonii, służące do szybkiej ucieczki w razie wydania przez któregoś z osobników ostrzegawczego gwizdu, zróżnicowanego zależnie od rodzaju zagrożenia. Są też nory letnie, wykorzystywane w sezonie ciepłym. Najważniejsze są nory zimowe, w których rodziny spędzają większą część roku – nie tylko sen zimowy, lecz także poprzedzającą go surową, górską jesień i początek wiosny. Są wyścielone kilogramami suchej trawy i innych starannie dobranych roślin, zbudowane z korytarzy wyposażonych w mijanki i ustronne, higieniczne latryny. Zagłębiają się pod powierzchnię gruntu nawet na 7 m.

eprasa.pl 77349d6db8

KAROL FRANEK NOWIŃSKI AKTOR

Różne nuty słodyczy

Jako Franek Jones – moje cukiernicze alter ego – prowadzę konto na TikToku, Instagramie oraz piszę bloga cukierniczego franekjones.pl, gdzie dzielę się słodkimi vlogami z całego świata, przepisami i ciekawostkami kulinarnymi. Cukiernictwo – po aktorstwie – to moja druga wielka pasja.

W rodzinnym domu gotowali wszyscy: dziadek, babcia, mama, tata, siostry. Od małego miałem styczność z kuchennymi przygodami. W pewnym momencie zauważyłem, że wspólne przygotowywanie i pałaszowanie ciast czy tortów łączy ludzi bardziej niż jakikolwiek inny posiłek. Zrozumiałem wtedy, że desery mają w sobie coś magicznego.

Moim debiutanckim wypiekiem były ciastka. Przygotowałem je jako siedmiolatek. Mama z tatą byli przerażeni, bo użyłem piekarnika bez ich zgody, ale nie mogłem się powstrzymać. To był początek przygody. Z czasem, kiedy nabrałem wprawy, zacząłem dostawać zamówienia na torty – weselne i urodzinowe.

Przez całą szkołę teatralną w wakacje pracowałem w warszawskim Zamku Ujazdowskim. Wszystkie ciasta, które były tam dostępne w letnich sezonach 2015–2020, były zrobione przeze mnie. Potem znajomi mnie namówili, żebym zaczął opisywać i pokazywać cukiernicze działania. Oprócz przepisów na moich profilach można też znaleźć kulinarne ciekawostki, np. o pochodzeniu różnych deserów czy obyczajów związanych ze słodyczami oraz świętami, takimi jak tłusty czwartek.

W cukiernictwie słodki smak jest oczywisty, ale sam niewiele zdziała. Jest mu potrzebny kontrast w postaci innych smaków: słonych, kwaśnych, a czasem nawet gorzkich. Każdy z nich podkreśla walory ciasta czy deseru. Uzupełnia je o dodatkowe nuty.

Jakie są moje ulubione słodycze? Na pewno każda forma kruchego ciasta. Zaraz potem wszystko, co czekoladowe – od brownie po ciasta ucierane. Na końcu – korzenne i karmelowe smaki.

Nie wyobrażam sobie, że całe życie spędzę jako aktor. Czuję, że moja druga życiowa pasja przejmie w przyszłości życiowy ster i będę gotowy, aby otworzyć własny lokal, dzieląc się tą magiczną atmosferą, która powstaje w trakcie pałaszowania słodyczy.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Wegański sernik na spodzie z ciasta bananowego z orzechami pekan w słonym karmelu

To pierwsza taka sytuacja, gdy receptury proponowane przez bohatera są tak obszerne, że mogłyby wypełnić cały materiał. Dlatego do opisu wegańskiego sernika (całość jest złożona z czterech dużych części) odsyłamy na stronę https://franekjones.pl. Poniżej przedostatni etap – przygotowanie karmelu:

Składniki na karmel: 250 g orzechów pekan (możecie zastąpić włoskimi, jednak są one bardziej gorzkie), 200 g białego cukru, 150 ml wegańskiej śmietany 30 proc. (sklepowej lub z mojego przepisu na doskonałą bitą śmietanę), 60 g roślinnego masła, 1/2 łyżeczki soli, 40 ml rumu.

Wykonanie:

1. Przy robieniu karmelu nie wolno się spieszyć. Niby dwa składniki na krzyż, ale jedno niedopatrzenie i cały proceder trafia szlag. Na małym ogniu postaw patelnię z grubym dnem. Nasyp cukier, wyrównaj powierzchnię, potrząsając patelnią, tak aby nie było żadnych gór. Cukier ma się równomiernie rozpuścić. NIE MIESZAMY. NAWET JEDNYM RUCHEM.
2. Przygotuj pozostałe składniki tak, aby mieć je pod ręką.
3. Gdy cukier zacznie się karmelizować z jednej, a nie zmieniać z drugiej strony, przesuwam patelnię, tak by zdjąć ogień z karmelu.
4. Gdy cały lub prawie cały cukier się skarmelizuje, zaczynam mieszać i po kilku sekundach dodaję śmietanę. Będzie mocno pryskać i skwierczeć. Cały czas mieszam i gdy karmel połączy się w jednolitą masę, wyłączam ogień i dodaję roślinne masło, rum i sól.
5. Na koniec dodaję orzechy i odstawiam do CAŁKOWITEGO wystudzenia. Gorące orzechy roztopią sernik, więc tak, jak pisałem na początku, pośpiech jest niewskazany.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 77349d6db8

SŁODKO-SŁONY

Bardzo wczesny mniszek

ANNA MONICKA

Zadziwiająca ta wiosna – wszystko kwitnie naraz. Magnolie, bzy, konwalie, fiołki. Ostatnio mąż przyniósł ze spaceru z psami wielki bukiet mniszków lekarskich, które tradycyjnie zbierałam z mamą w długi majowy weekend – nad Bugiem są piękne i rozległe łąki, na których aż roi się od żółtych kwiatów. W tym roku za miesiąc będą już dawno zmienione w dmuchawce, więc jeśli ktoś chce zrobić miód mniszkowy, musi pójść z koszykiem teraz, bo na przełomie kwietnia i maja będzie już chyba za późno. Pogoda może jeszcze zrobić niejeden dowcip, np. zasypać nas śniegiem czy gradem, bo przed zimną Zośką i Trzema Ogrodnikami można się tego spodziewać. 12, 13, 14 i 15 maja często robi się niemiło, a doświadczeni plantatorzy roślin muszą mieć się wtedy na baczności. Niech więc nikogo nie zmyli wiosenne lato – trzeba sprawdzać prognozy pogody. Nie zmienia to faktu, że mniszek kwitnie prawie miesiąc przed terminem i szkoda by było nie skorzystać, bo domowy syrop jest świetny na gardło i suchy, męczący kaszel.

Zresztą cała roślina zasługuje na uwagę, a nie bezlitosne tępienie. Fakt, błyskawicznie zarasta trawniki, ale jeśli już z nią walczycie i wyrywacie, nie wyrzucajcie na śmietnik czy kompost, tylko wykorzystajcie. Młode liście można jeść – np. dodawać do wiosennych sałatek z ogórka czy pomidorów; odtruwają i detoksykują organizm. Tak samo płatki – warto nimi posypywać kanapki z białym serem, jogurty, koktajle owocowe – są bogate w minerały, mają dużo naturalnej witaminy C. Palone korzenie można mleć i zaparzać jak kawę. Jest całkiem smaczna, a przy okazji wspomaga odchudzanie, poprawia pracę trzustki, zapobiega cukrzycy (spowalnia wchłanianie cukrów z jedzenia). Żucie świeżych łodyg pomaga z kolei rozpuścić kamienie żółciowe i oczyszcza krew z toksyn.

Dzieciom najbardziej smakuje jednak miód z dmuchawca. 200 ładnych, czystych główek zalewamy w garnku 1 l zimnej wody i wolno doprowadzamy do wrzenia, a potem zostawiamy pod przykryciem na noc. Rano odciskamy kwiaty, a do wywaru dodajemy 1 kg cukru i sok z cytryny. Ustawiamy na gazie i wolno, bez gotowania, odparowujemy i przelewamy złoty miód do słoików.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Fatalny wpływ Księżyca

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyroda jest źródłem mitów. Kto wie, czy genezą legend o bożku Panie nie są opowieści o małpach człekokształtnych, docierające do śródziemnomorskich krain za pośrednictwem kupców i podróżników. W każdym razie wątek mityczny i przyrodniczy połączył się w łacińskich nazwach szympansów: *Pan troglodytes* to szympans zwyczajny, a *Pan paniscus* to szympans karłowaty.

Istnieją również inne mity – przekonania niemające pokrycia w rzeczywistości, np. wpływ Księżyca na ludzi. Jeżeli jego fazy na nas oddziałują, to na razie nikt tego nie potwierdził, poza niewątpliwymi przypadkami autosugestii, kiedy temu ciału niebieskiemu przypisuje się wpływ na nasze samopoczucie i funkcjonowanie organizmu. Istnieją teorie próbujące uzasadnić takie myślenie – trzeba przyznać, że w ciekawy sposób. Podobno w Afryce ataki lwów najczęściej zdarzają się podczas bezksiężycowych nocy. Zapewne dlatego, że wówczas najtrudniej ludziom, będącym wzrokowcami, ustrzec się przed drapieżnikiem, w pewnym stopniu tłumaczy to jednak przypisywanie znaczenia sytuacji, kiedy Księżyc jest w nowiu. Z kolei poszukiwanie mięczaków wzdłuż wybrzeża mogło skończyć się źle, jeżeli nie uwzględniło się przypływów, w niektórych częściach świata bardzo szybkich i groźnych. Księżyc ma wpływ na pływy morskie, a stąd już niedługa droga do uzasadnienia tajemniczych zaginięć magicznym oddziaływaniem naszego naturalnego satelity.

Zajmując się mitami, często przeoczamy sprawy najistotniejsze. Te, które mają katastrofalny wpływ na przyrodę i na nas, a jednocześnie są od nas zależne, bo sami je powodujemy. Mimo XXI w. i nowoczesności lekceważymy je oraz tolerujemy. Kiedyś chirurdzy wykonywali operacje brudnymi narzędziami, nie myli rąk, a prosto od sekcji zwłok szli do odbierania porodu. I przez wieki nikt nie łączył tego z wysoką śmiertelnością.

Jadąc rowerem wzdłuż Rudawy i Wisły w Krakowie, można trafić na wiele miejsc wpływu ścieków prosto do rzeki (tak jest zresztą wszędzie i żadna rzeka nie jest od tego wolna). Szarą wodę widać i czuć – są to jednak chyba zbyt staroświeckie i niewiarygodne metody, bo ponawiane kontrole nie potwierdzają istnienia ścieków. I nikt nie łączy ich spuszczania z zanieczyszczeniem wód.

eprasa.pl 77349d6db8

Z WOLEJA

Sport, igrzyska, polityka, bojkot

Ryszard Czarnecki

Sport i polityka w jednym stoją domu – trawestując bajkę o Pawle i Gawle. Tak było, jest i będzie. Bez złudzeń. Niemcy wykorzystały do wewnętrznych i zewnętrznych celów propagandowych swoje pierwsze letnie igrzyska w 1936 r. Skądinąd dwa kolejne nie odbyły się z powodu II wojny światowej, rozpętanej ich napaścią na Polskę. Związek Sowiecki z powodów politycznych bojkotował wszystkie igrzyska letnie i zimowe aż do zawodów w „neutralnej", a tak naprawdę uzależnionej od ZSRS Finlandii w 1952 r. W sumie zbojkotował ich 10. Polska z kolei nie była na pierwszych igrzyskach, na których mogła być, czyli w belgijskiej Antwerpii w 1920 r., bo była zajęta dramatyczną walką o zachowanie niepodległości.

Wokół igrzysk olimpijskich polityka krążyła zatem od czasów po I wojnie światowej. Jednak pierwszy bojkot miał miejsce wcale nie podczas igrzysk w Moskwie 1980 r., tylko 16 lat wcześniej. Pierwsze w dziejach igrzyska w Japonii zostały zbojkotowane przez Chińską Republikę Ludową. Świeża była pamięć okrutnej okupacji japońskiej i cierpień dziesiątków tysięcy Chińczyków. Igrzyska w Tokio tak naprawdę powinny się odbyć niemal ćwierć wieku wcześniej: ustalono je na 1940 r. No, ale Niemcy zaatakowały Polskę – resztę znamy.

Osiem lat po japońskich igrzyskach doszło do pierwszego – i na szczęście ostatniego – aktu politycznego terroru podczas zawodów w Monachium. Palestyńczycy z organizacji Czarny Wrzesień zabili izraelskich sportowców i dyplomatów. To się już nigdy nie powtórzyło, ale też nigdy nie wróciła ta wyjątkowa atmosfera igrzysk: beztroskiej zabawy po zawodach i w miarę łatwego dostępu kibiców do zawodników. Po Monachium A.D. 1972 igrzyska nie były już takie jak przedtem.

Na kolejnych igrzyskach w Montrealu A.D. 1976 – dla Biało-Czerwonych najbardziej udanych w historii pod względem liczby „Mazurków Dąbrowskiego" za zwycięstwo – znów mieliśmy polityczny bojkot. Spora część krajów afrykańskich (choć nie wszystkie) zbojkotowały igrzyska, ponieważ dopuszczono na nie... Nową Zelandię. Kraj z Oceanii podpadł państwom Czarnego Lądu, jak nazywano Afrykę w błogosławionych czasach przed „polityczną poprawnością", tym, że jego rugbiści zagrali oficjalny mecz z rugbistami RPA – wówczas ojczyzną apertheidu.

Ale brak państw afrykańskich był tylko kaszką z mleczkiem w porównaniu z tym, co się stało trzy lata później w Moskwie A.D. 1980 na igrzyskach zorganizowanych kilka miesięcy po zajęciu przez ZSRS Afganistanu.

wPolityce.pl
NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz
Autopromocja
WEJDŹ NA: wPolityce.pl

eprasa.pl 77349d6db8

Michał Korsun prezentuje:
Aborcyjny Horror Team, czyli persona non grata

Wycinki z przeszłości

Na okładce „Motoru" z kwietnia 1988 r. piękna „cezetka" o pojemności silnika 350 cm³. Ale kryzys w tym czasie narastał i nietrudno znaleźć jego ślady w numerze.

„Ministerstwo Przemysłu ustaliło jednostkowe normatywy sprzedaży benzyn silnikowych w trzecim kwartale br. Dla motorowerów – 2 l na jeden odcinek, dla motocykli – 3 l, dla samochodów – 8 l. Utrzymano obowiązek obecności pojazdu na stacji benzynowej w czasie dokonywania zakupu, co nie dotyczy jednośladów i ciągników rolniczych".

„Po przebiegu ok. 12 tys. km postanowiłem włączyć w moim FSO 125p do eksploatacji koło zapasowe. Po dokonaniu wymiany nastąpiły tak duże drgania, że zmuszony byłem założyć stare koło, a zapasowe (nowe) odwiozłem do wyważenia. Okazało się, że występuje boczne bicie koła wskutek wadliwej obręczy (Bolesław Antkowiak, Gorzów Wielkopolski)".

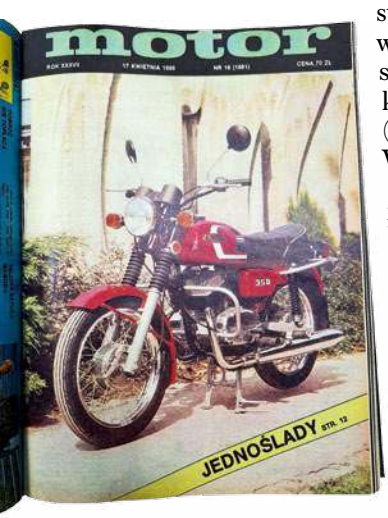

„We wrześniu 1987 r. nabyłem w PP Polmozbyt Białystok nowy samochód Zaporożec ZAZ 968M. Bardzo proszę, pomóżcie mi w znalezieniu schematu instalacji elektrycznej, której niestety w instrukcji brak (Janusz Drabicki)".

(mk)

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

Autopromocja

eprasa.pl 77349d6db8

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cyfrowe patelnie

Nikt nie ma obowiązku rozumienia wszystkiego, w tym językoznawcy, nie mówiąc już o pracownikach mediów. Nikt nie ma szans rozumienia wszystkiego. No, może poeci, ale oni są przecież wyjątkowi.

W tygodniku „Polityka" (3–9 kwietnia 2024 r.) najpierw czytamy artykuł „Słowo do osób czytelniczych". Wywiad z językoznawcą otwiera pytanie: „Co to są osobatywy?". Tak: „osobatywy".

Przerzucamy kilka stron i mamy tekst „Tanie skarby Alibaby" – o tym, że kolejne chińskie mega-platformy sprzedażowe włączyły się do walki o polskiego klienta. Nie musimy długo ze sobą rozmawiać, by zobaczyć, co łączy sprawy przedstawione w tych dwu tekstach. I wcale nie chodzi o kontrpunkt polegający na tym, że tekst o zmianach w dzisiejszym języku dotyczących nowych, oryginalnych kategorii osób czyni komunikację językową mniej wygodną, a konkurujące ze sobą cenowo kolejne platformy sprzedażowe ułatwiają zakupy.

Ludzkość, jeśli ma pozostać ludzka, nie może zupełnie pozbawiać się języka wykluczającego

„OSOBATYWY" – KIERESZOWANIE JĘZYKA

Z Zachodu przywędrowały do nas nowe kategorie osób – tym razem niebinarnych – ani kobiet, ani mężczyzn. W tym takich, które jednego dnia są jednoosobowe, zaś innego dnia mnogie. A przecież jak pojawia się nowy typ człowieka, to potrzebne są nowe słowa, by go określić. Dodatkowo, żeby już nikogo nie urazić, obok osobatywów mamy jeszcze neutratywy. Na przykład „osobę strażacką", mówi w wywiadzie dziennikarka „Polityki", można by nazwać „strażaszcze". Język przecież powinien być inkluzywny – by nikogo nie obrazić.

WYJĄTKOWI TON NADAJĄ

Kto czytał jakieś książki historyczne, ten wie, że w przeszłości inkluzywność zawsze miała swoje granice. Ludzkość, jeśli ma pozostać ludzka, nie może zupełnie pozbawiać się języka wykluczającego. Czy chcemy, by np. wyrzucono z języka współczesności zwroty „zbrodnie wojenne" czy „zbrodniarz wojenny"? A to pojęcia pioruńsko wykluczające. Przecież jedną z odwiecznych – i nadal potrzebnych! – funkcji języka jest dyscyplinowanie osób, które nie przestrzegają norm społecznych.

W przypadku osobatywów widzimy tu konkurujące ze sobą dwa dobra. Z jednej strony dobrostan ogromnej większości użytkowników języka, którzy potrzebują zadomowienia w świecie budzącym zaufanie, a nie stany nerwicowe, z drugiej komfort psychiczny bardzo nielicznej grupy osób – naszym zdaniem zagubionych. Przez dzisiejszą kulturę masową poddanych manipulacyjnym strategiom ideologii wokeizmu. Wokeizmu, który miał przynosić oświecenie i wyzwolenie, a który potęguje zagubienie, już i tak przyniesione przez nadmierną dynamikę współczesnej, coraz bardziej pozbawionej kotwic kultury.

Dziwacy istnieli zawsze. Czasem byli tępieni, czasem tolerowani. Ale nigdy przed epoką mediów społecznościowych i robiących na nich fortuny korporacjach dziwacy nie nadawali tonu życiu społecznemu. Nie niszczyli jednego z fundamentów społecznego ładu – stabilności semantycznej, czyli względnej trwałości znaczeń słów. Dziś marginalna mniejszość próbuje dyscyplinować ogromną większość. Jak jej się to udaje? M.in. dzięki wsparciu użytecznych idiotów. To ich głupota przedłużała trwanie systemu sowieckiego. A użyteczni idioci, jak kiedyś, przychodzą z postępowego Zachodu.

Ale to nic: tylko poczekajcie na kłótnie o to, jaki gender mają kolejne generacje sztucznej inteligencji.

FORTELE INNOWACJI

Drugi ze wspomnianych tekstów wskazuje zagrożenia dla polskiego rynku – np. nikt nie sprawdza, czy produkty z Chin spełniają europejskie normy bezpieczeństwa. A szybko zaburzają reguły gry handlowej na naszym rynku, jak i wzorce przedsiębiorczości. Zagrożenie idące z zewnątrz cywilizacji Zachodu łatwo dostrzegamy.

Ale bodaj czy niebezpieczeństwa nie są równie poważne w przypadku obu zjawisk: obłędnych innowacji językowych oraz cyfrowych podbojów handlowych? Wiele wskazuje na to, że na razie Zachód częściej potyka się o własne nogi niż w wyniku konkurencji z zewnątrz.

USA wymyśliły internet. Teraz tkanka społeczna (nie tylko rynkowa) kraju, od którego zależy bezpieczeństwo wolnego świata, wytapia się na cyfrowych patelniach niczym słonina. Tak nam się poetycko ułożyło.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 77349d6db8

Majówka z e-bookami

Już teraz sprawdź przepisy na dania z grilla i zaplanuj wycieczki blisko natury

– to wszystko znajdziesz w świetnych e-bookach Sieci Extra

Smaczne Wakacje.
60 przepisów na całe lato

Aż 60 przepisów na dania grillowane i zapiekane, warzywne i mięsne, ciepłe i na zimno. Tradycyjne receptury i potrawy w nowoczesnym wydaniu, które łączy jedno: wszystkie smakują znakomicie! Wystarczy kilka cieplejszych wiosennych dni i można zaczynać wielkie grillowanie.

Wędrówki blisko natury.
Wakacje z przyrodą

18 pasjonujących opowieści, dzięki którym dowiecie się m.in.: jak obserwować przyrodę, jak ratować pisklęta i ranne ptaki, co potrafią pająki, jak korzystać z alpakoterapii, czy walenie to szpiedzy Rosji, gdzie mieszkają nietoperze, które góry są nadal dzikie, gdzie można spotkać 100 tys. gęsi.

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA MAJÓWKĘ?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 77349d6db8

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

W KAŻDY PIĄTEK O 17:00

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat) NA POZYCJI 196

NETIA NA POZYCJI 192

orange NA POZYCJI 32

vectra NA POZYCJI 825

PLAY (dawniej UPC) NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 77349d6db8